

28

PAMIĘTNIKI WAMPIRA,

CZYLI

WAMPIR

W ŚWIECIE ARTYSTYCZNO-LITERACKIM.

OBRAZKI, SZKICE, EPIZODY, ŻYCIORYSY, FELIETONY, ZARYSY
OBYCZAJOWE; ORAZ POMNIEJSZE KOMEDYE, DROBNE POEZYJE
I PRZEKŁADY

ZENONA RAPPAPORT.

TOM I.



WARSZAWA.

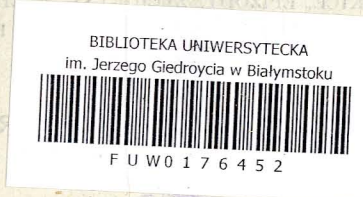
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI A. LEWIŃSKIEGO,
przy ulicy Miodowej pod filarami.

1861.

Wolno drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 29 Sierpnia (10 Września) 1860.

Cenzor, Radca Kolegialny **Stanisławski**.



74022/1-2

K-218/76/74022

Druk Braci Hindemith.

SPIS RZECZY

W TOMIE PIERWSZYM.

Przedmowa	5
Wiktor Każyński. Życiorys (z portretem)	11
Antor Zakochany czyli Polowanie na prenumeratorów, Szkic humorystyczny zdjęty z natury (z drzeworytami)	17
Pierwsza połowa życia wielkiej śpiewaczki. Szkic współczesny wyjęty z własnoręcznych pamiętników Anny de la Grange (z portretem)	99
Wycieczka bez celu, opowiadanie Włóczykija	129
Postęp i Emancypacja. Obrazek współczesny w dzie- więciu szkicach, napisany przez Jana Kapistra- na Włóczykija (z drzeworytami)	161
Obrazek z życia litewskiego Magnata (poświęcony W. L. Rappoport)	209
Poeta na przedstawieniach panny Rachel	219
Miłość artysty	229
Złodziej przez lekkomyślność, szkic z prawdziwego zdarzenia	235
<i>Słowa do muzyki, rymy i poezye ulotne.</i>	
Jakież to dziewczę?	87
O! wspomnij ten uludny czas! (polonez)	88
Pieśń przy winie	88
Krakowiaki	89
Pieśń Cyganki	91
Dziecię ludu	92
Mazureczek	93
Wianki (ballada)	94

Ja go nie kocham (mazurek)	95
Bądź mi zdrow. Improwizacya	95
Śmiech i tęsknota (mazur)	157
Warszawianki	158
Nieodżałowanej pamięci ministra Turkult	159
Pożegnalny śpiew artystki opuszczającej Warszawę ...	159
Miłość, karty i skrzypce	241
Łzy. Fantazyja	244
Sny	248
Do Mani	249
Witam ciebie wiosno miła, (mazur)	250
Kiedy widzę dziewczę moje, (mazurek)	250
Tarantella	251
Dandy salonowy	253

PRZEDMOWA.

Było to w roku 1853 w Petersburgu, kiedy manja do kręcących się stolików, dzięki wieściom rozsiewanym o ich cudotworności, coraz bardziej wchodziła w modę. — Uprzejmość z jaką stoliki odpowiadały na wszystkie zapytania, nieustająca grzeczność dla płci pięknej, którą cyfry wypisane lub wybite przez namagnetyzowany stolik, wskazywały wiecznie młodą — mnóstwo komplementów idących na zawołanie, których damy zawsze rade słuchać, chobiazby i od stołów, ale najwięcej nowość przedmiotów wiele się przyczyniła do rozprzestrzenienia ich wziętości.

Próżno niedowiarki suszyli sobie mózg nad tém, aby wyfilozofować nadobnym magnetyczkom, mylność ich przekonania.... Na upór (niesie przysłowie) nie masz lekarstwa!... Stoliki kręciły się, a kręciły.... młodzież również kręciła się około panien, ale najwięcej kręcili się stolarze z radości, że nie mogli podobać liczny obstalunkom tego rodzaju.

W pewnym towarzystwie zebrało się liczne grono osób przy kręcącym się stoliku, który jako jeden z uczonych stolików, we wszystkich językach odpowiadał na zadawane mu za-

pytania. Byli tacy, co nie rozumieli jego odpowiedzi, ale domyślali się ich natychmiast. — W tém jakiś jegomość wydobył tabakierkę z kieszeni.... szczypta tabaki upadła na magnetyzowany stolik.... ten kichnął!!.... A obok stojący stół namagnetyzował się sam przez się i powiedział mu: „Na zdrowie!..“ Wystawcie sobie państwo zadziwienie widzów téj sceny!!?

Ale, ale zapomniałem, dodać, pewien stolik, kiedyś się go zapytał o moje imię, napisał „Wampir.“ — Odpłacając mu więc grzecznością za grzeczność, odtąd tak mnie przewzano. Dla czego? że pozwalam sobie śledzić za ruchem społeczeństwa, że zjawiam się wszędzie, gdzie złe w samym zarodzie uchwycić można i zniszczyć zgubny wpływ jego na ludzkość, że ufam w poezję.... wiary.... i w wiarę poezji.... Wampir nie wierzy w niebo.... a ja tam widzę tylko prawdziwe życie, bo życie ziemskie zda się dla mnie tylko czyszczeniem, przez które przechodzą grzechy doczesne, aby oczyszczone duszą, stać przed tron najwyższego. — Jam Wampir mój Boże, a tyśiące Wampirów ziemskich, gorszych od tych upiorów, którym podanie ludu naznaczyło pośmiertną wędrówkę — kręci się koło mnie, jak w gorączce.... rzucając mi w twarz obelgą ironii życia, — obelgę gorszą jak życie samo, bo noszącą na sobie — bydlęctwa — rozpusty — błędu — niewiary — zaparcia się samego siebie i oddychania — jedną tylko ziemską rokoszą i namiętnością. — Jam Wampir, — a czy wy, co mię tém imieniem nazywacie, czy wy wiecie co to znaczy Wampir?... Gdy wam wytłómaczę, może być odejmiecie mi ten przydomek, gdy wam opowiem, com widział, com zbadał, com zanotował w codziennych kronikach mojego życia, gdy wam powiem, że Wampir, to najgłupsze, a przytém najszkodliwsze stworzenie z gadów i potworów, blakające się w każdej strefie społeczeństwa. — Wampir, to autor czytający każdemu pięcio-aktową dramę, w której każda scena jest narkotykiem. — Wampir, to ojciec

wożący po jarmarkach małoletniego syna lub córkę koncertantów, bez najmniejszego talentu. — Wampir, to poeta piszący wymowny wiersz za szklanek herbaty. — Wampir, to uczeń wypędzony z drugiej klasy gimnazjum, szukający miejsca w stolicy. — Wampir, to chłop spanoszony, uczący swoje dzieci po francuzku, i wódzący je po balach wielkiego tonu. — Wampir, to ojciec debutantki bez powołania i talentu, to Impressario włoski kupujący duszę Twardowskich nie śpiewaków, i śpiew mających talent od natury. — Wampir, to artysta grający hazardownie w karty. — Wampir, to lichwiarz, — komornik, antreprenier prowincjonalny małych teatrów, którzy sumienie zaprzędali w kolebce; — wreszcie, Wampir, to mąż prima-donny, nie nieznaczący sam przez się, a błyszczący światu porywczym blaskiem, niby fałszywa blaszka pozłocona. O! to najstraszliwszy Wampir, — to Wampir swojej żony i dzieci. O! są jeszcze Wampirki, Wampireczki, ale wyliczyć ich trudno; my się z nimi spotkamy w ciągu opowiadania. — Pójdziemy na koncert, pojedziemy do teatru, będziemy słuchać tragedyi, chwalić dzieci spanoszonego chłopca, obiecamy miejsce byłemu uczniowi gimnazjum, napojemy herbatą poetów, będziemy poklaskiwali debutantkom, wypiszemy biografią impressario, — będziemy poniterami artystów, ale ustępować będziemy z drogi komornikom, lichwiarzom i antreprenierom, bo to naród mściwy. O znajomość, z mężami prima-don nie trudno, dosyć z nimi wypić kilka butelek wina; ale kilka koniecznie, bo po trzeciej lub czwartej wypróżnionej, powie dopiero żeś jego przyjaciel; a teraz hola Wampiry! nie spieszcie się na przód, w swoim miejscu zarekomenduję was Publiczności!!...



WIKTOR KAŻYŃSKI.

„Każda się odboleje i powróci strata,
 „Każda rana zagoi i blizna zasklepi,
 „Ale nigdy nie wrócą utracone lata,
 „I jak było w młodości, nie będzie nam lepiej.“

Na pamiątkę przyjacielską Wiktorowi Każyńskiemu dnia 5 Kwietnia 1854 r.

I. J. Kraszewski.

WIKTOR KAŻYŃSKI.

(Zyciorys z portretem).

Z uczuciem chluby rodzinnej, wspominamy to piękne imię, które w prędkim czasie zjednało sobie europejską wziętość. Ważne bowiem i zaszczytne stanowisko dyrektora muzyki, kompozytora i literata, mocą zalet swoich, dało mu w udziale sławę, wysokie ukształcenie umysłowe, wrodzony dowcip, szlachetność, gościnność i otwartość w obcowaniu z ludźmi, popularność — i przyjaciół wszędzie, gdzie się znajdował; poglądem zaś na rzeczy trafnym i bezstronnym, niezaprzeczonym talentem do sztuki pisarskiej, ciągłą pracą, długim doświadczeniem i gruntowną znajomością cudzoziemskich języków, nabył rodak nasz zasłużonej reputacji znakomitego krytyka muzycznego. Już nad kolebką Wiktorą, unosił się że tak powiem geniusz muzyki, i przepowiedział świetną przyszłość spoczywającemu w niej dziecięciu. — Wilno, ów gród muzyczny, rodzinne miejsce wieszczów, których sławą brzmiał świat cały, było ojczyzną Każyńskiego. — Urodził się on w 1812 roku. Ojciec jego b. dyrektor teatru Wileńskiego i znakomity śpiewak opery, zwrócił pierwszy uwagę na dziecię, obdarzone z natury talentem do muzyki i zajął się pierwotnym wychowaniem jego. On to obudził w nim ów instynkt muzyczny, który nam wskazuje wartość sztuki i jej źródło, on to

zaszczepił w nim pierwsze gruntowne zasady muzyki, które Każyński po dziś dzień zachował w pamięci. Dbały jednak tyle o talent młodego Wiktora ile o umysł, oddał go do szkół publicznych, które ten ukończywszy, wstąpił do uniwersytetu na fakultet prawno-literacki, gdzie pozostał do 1829 roku. Otrzymawszy stopień uczony, pomyślał Każyński o obraniu sobie stanu. Wybór takowego podyktowała mu wrodzona chęć i powołanie. Każyński poszedł za głosem serca, i wkrótce Wilno przyjęło go w rząd pierwszych swoich muzyków. Jako dyrektor orkiestry, rozpoczął on swój zawód muzyczny, w którym czyniąc się coraz więcej głośniejszym, przeniósł się nareszcie na pole obszerniejsze — do stolicy Rosyi, gdzie jego talent otworzył mu wstęp do pierwszych salonów. — W 1844 r. odbył on razem ze znakomitym kompozytorem Rosyjskim jenerałem Lwow, podróż muzyczną po całych Niemczech, i w listach do przyjaciół opisał wrażenia swojej wycieczki pod skromną nazwą „notatek,” które wydane w tymże roku przez zakład Ejnerlinga w Petersburgu miały niepospolite powodzenie w świecie literackim. Podróż ta zaprzyjaźniła Każyńskiego z pierwszymi artystami i kompozytorami Europy, i dała mu w udziale głębokie poważanie i pochlebny o nim sąd potwierdzony autentycznymi dowodami takich znakomitości jak Spontini, Mejerbeer, Kittel, Rossini, Rubini i wielu innych. Chcącemu mieć dowód dotykający wziętości i szacunku, jakie zjednał sobie Każyński za granicą, dość jest zwiedzić jego gabinet ozdobiony portretami najznakomitszych społecznych artystów, z których każdy ma w sobie własnoręczne pismo, skreślone ręką przyjaźni w dowódzie uwielbienia ich dla Każyńskiego. — Ale epoka jego sławy zaczęła się od chwili, gdy rząd powołał go na kapelmistrza cesarskich teatrów w Petersburgu. To stanowisko dało sposobność rodakom ocenić znowu w całej okazałości tę piękną i ważną stronę talentu Każyńskiego, a areopag muzyczny i literacki, — w którym prym trzymał Elsner i Kraszewski, — który odtąd węzłem najserdeczniejszych stosunków połączonym jest z Każyńskim, słusznie nadał mu imię Maestro w swjej sztuce. Odtąd pracował głównie Każyński nad kompozycjami

i nad przyprowadzeniem poruczonej sobie orkiestry w stan kwitnącego. — Któż nie wie jak wysoko stanęła orkiestra pod jego kierunkiem, jak wysoko w tak szczupłej sferze działania potrafił on wzbicić się nad pospolitość i wykazać w całym blasku swoje zdolności. Nie masz ani jednego wieczoru w Alexandryjskim teatrze, w którymby nie słyszano nowej kompozycji Każyńskiego, nowego jakiego utworu muzycznego, zyskującego nazajutrz popularność i uprzyjemniającego chwile antraktów; nie masz ani jednej sztuki używającej ciągłego powodzenia, do którejby muzyki nie ułożył Każyński i nie dodał życia i zajęcia jej osnowie. Kompozycje jego na fortepjan w stolicy i zagranicą drukowane, w przeciągu krótkiego bardzo czasu miały po kilka edycji. Lecz najbardziej powtarzam, zwraca na siebie uwagę jako dyrektor orkiestry. Pięknym, wykwiśniętym od natury obdarzony gustem, obszerne mając wiadomości w różnych sztuki gałęziach; Każyński jest bezwątpienia jednym z najlepszych dziś kapelmistrzów. Ogromna, niepojęta pamięć, słuch zadziwiający, wrodzony zapał i dziwna jakaś siła pociągania za sobą grających, robią go nieporównanym w trudnej sztuce dyrekcji. — Znakomici europejscy artyści przyznali mu to niejednokrotnie.

Skwapliwość z jaką zagraniczni wydawcy nót, ogłaszają drukiem liczne kompozycje Każyńskiego, jest jawnym ich popularności dowodem. Miller obznajomił z niemi Wiedeń, Kranz, Hamburg; Richault, Paryż; Bernard i Denotkin, Petersburg. Wydania te często powtarzane, rozeszły się w tysiącach egzemplarzy. — Polka, ów taniec charakterystyczny, tak lubiony, tak upowszechniony zewsząd, przyjął nowy przydomek od Każyńskiego. — Tak nazwane „Polki Każyńskiego” to zupełnie nowy oryginalny czysto-sławiański rodzaj Polek, czyli fantazji pełnych wdzięku ognia, expressyi, z których wylewa się, że tak powiem, całe źródło najpiękniejszych motywów. — To też zjednały one sobie rozgłos uniwersalny, wziętość niesłychaną. — Ale nie z samych tylko polek ocenić można wartość kompozycji Każyńskiego. — Niewyczerpana pomysłowość, zawsze młoda, zawsze rozpłomieniona wyobraźnia

mistrza naszego, tworzy wszystko bez wyjątku. Każyński odznaczył się w rodzaju muzyki duchownej, i katedry stołeczne zabrzmiały cudną melodią; napisał wielką liczbę utworów salonowych (Morceaux de salons), które miały ogromne powodzenie; orkiestrował całe opery, a niepojęta pamięć jego, która pochłania całe partytury, pozwala mu wykończyć to w dni kilka, nad czém inni cały rok pracować muszą.

Dla Petersburgskich teatrów napisał on mnóstwo antraktów, uwertur i t. p. w stylu wzniosłym i poważnym, które w stolicy wielkie nader miały powodzenie. Zalecają się one oryginalnością pomysłu, nowością form, i dziwnie piękną dowcipną i świetną instrumentacją.

Przed parą laty wydany został „Śpiewnik“ jego, czyli zebranie melodyi dla śpiewu, wziętych z tematów ludowych lub też napisanych umyślnie do utworów poetycznych lepszych naszych poetów, którzy zachęcani tak pięknym celem, tyle pożądanego u nas wydania, dostarczyli mu takowych z koleżeńską ochotą i zapałem. Śpiewnik ten obejmuje pięć poszytów, 30 numerów, i niewiem czy znajdzie się choć jeden dom polski, w którymby go nie miano i nie śpiewano. Dzieło to jest wielkiej wartości i dodało jeszcze jeden świetny laur do sławy Każyńskiego. Wiele numerów z niego przełożono już na obce języki i wykonano na scenach z niepospolitą powodzeniem.

O gabinecie (pracowni) W. Każyńskiego.

Gabinet naszego rodaka w Petersburgu, jest tak piękny, tak artystycznie i gustownie urządzone, tyle zabytków sztuki posiada, że równego mu nie masz u żadnego artysty w Petersburgu. Uderza tam oko mnóstwo portretów najznakomitszych dzisiejszego wieku artystów, a każdy z tych portretów podpisany własnoręcznie przez każdego z tych artystów na pamiątkę przyjaźni i uwielbienia dla Każyńskiego. Podpisy te świadczą o stosunkach przyjaźni, jakie Każyński ma z temi znakomitościami europejskimi, oraz o poważaniu i wziętości jakie zyskał w kraju i za granicą. Portrety: Spontiniego, Rossiniego,

Majerbeerą, Mendelsohna, F. Dawida, Liszta, Lipińskiego, Ole-Bulla, Spohra, Rubiniego, Lablacha, Tamburyniego, pani Viardot-Garcia-Jenny Lind, Fanny Elssler, Rachel, Mario, sławną Leontynę Fay, Salvi, Antoniego Kańskiego, H. Berlioza, Józefa Elsnera (który Każyńskiego szczególną zaszczycał przyjaźnią i kochał jak własnego syna) Kittla (dyrektora konserwatorium Pragskiego), znakomitego Tomaszka, Reissigera, Ernsta, Servais, generała A. Lwowa, M. Glinki i wielu innych znakomitości artystycznych, oraz uczonych i pisarzy: Wacława Hauke, Szafarczyka, Kraszewskiego, Tadeusza Bułcharyna, Nestora Kukolnika, z własnoręcznymi ich i nader dla pochlebnymi podpisami, świadczą dostatecznie o tém; nie mało także ozdoby dodają temu gabinetowi śliczne biusta Beethovena, Mozarta, Hayd'na, Bacha, Glucka, Haendla, Pergolesy, Palestriny, Fr. Szuberta, Webera, Cherubini, Walter-Scotta, Russo, Woltera, Szekspira, Lopez de Wega, Kalderona, Dante, Petrarki, cudną robotą i doskonałym odznaczające się wykończeniem. Lecz szczególną uwagę rzeźbiarzy, zwraca na siebie maska Woltera, oryginalna hors de prix. Trzeba ją widzieć, aby mieć pojęcie o życiu jakim tchnie ta cudna robota. Maskę tę otrzymał Każyński na pamiątkę od jednego wielkiego znawcy, lubownika antyków i rzadkości, z tém jednak zastrzeżeniem, aby nikomu niepozwolił zdjąć z niej kopji. Również piękne są dwa posągi Moliera i Szekspira, przysłane mu z Paryża. Do tak pięknego zbioru, brak tylko biustu naszej wieszczki Deotymy i naszego wieszczki muzycznego Szopena. P. Każyński powinien by się postarać wypisać te biusty z Warszawy. Nie możemy tu zamilczeć o pięknym portrecie Spontiniego, przy którym umieszczony list własnoręczny tego wielkiego mistrza do pana Behrendt, bibliotekarza królewskiego w Berlinie, lub np. pod portretem Rubiniego, umieszczony list znakomitego króla śpiewaków: „Mio caro Każyński, e con gran piacere che Vi dico che sono molto felice, d'avete fatta la Vostra cognoscenza, e che Vi son grato per Vil eccelente modo con cui mi avete accompagnato tutti i miei pezzì, ièri, alla presenza dell Corte Imperiale di

Pietroburgo. Aggradite carissimo Każyński i sentimenti della
vera stima ed amicizia. „dell Vostro
affectuosissimo Amico ed Admiratore
Giovanni Battista Rubini.

19 Marzo 1843.

Lecz czyż można wszystko to opisać? Dóś jest gdy po-
wtórzemy, że trudno jest znaleźć gdzie drugi tak piękny
i rzadki zbiór autografów najślawniejszych i najznakomitszych
dziś ludzi w różnych gałęziach sztuk i nauk.

AUTOR ZAKOCHANY

CZYLI

POLOWANIE NA PRENUMERATORÓW.

SZKIC HUMORYSTYCZNY ZDJĘTY Z NATURY.



AUTOR ZAKOCHANY

CEJLA

POLOWANIE NA PRZEMUDRSTWÓW.

SKIC HISTORICZNY ŻYCIA I TWÓRNOŚCI



WARSZAWA 1911

PROLOG

I niewiedząc jak radzić sobie w takim razie,
Jeden pędzi w doróźnie, drugi na Pegazie,
I lecieli — nieczuli ra skargi, błaganie.
Odbyć walne na cudzę kieszeń polowane.

Roku 18** mania spekulacyjna ogarnęła wszystkie umysły; każdy suszył sobie mózg nad tém, jakby to tanim kosztem Bajońskie nagromdzić summy, a duch przemysłu bujał sobie po Bożym świecie, i lichy go nadało, że i na literacką zawędrował niwę.... Pegaz drapnął ż przestachu... takie tam bowiem wrażenie, ukazanie się ducha zysku zrobiło... że i na ogonie jego miejsca zabrakło... a nawał poetów... był co raz większy... — Jęknęła nieszczęśliwa poezja... bo wzięto ją w kluby niemiłosiernie i rozszarpano... na najobrzydliwsze rymy, które żywcem przenoszono na papier od karmelków... lub też niemi obficie handel kramarski iwzbogacono. Ujrzałeś pomiędzy piszącami gromady adwokackich dependentów, kupczyków korzennych, aplikantów aptekarskich, terminatorów fryzjerskich, chórzystów, statystów, którzy głośno się dopominali o pozwolenie założenia kuźni literackiej, gdzieby jeniałne ich utwory w znacznej liczbie wykute być mogły.

Do ich grona przyłączył się z zapalem orszak szlifbruków, których na każdym kroku napotkać można... i cała ta rzesza postanowiła utworzyć bractwo pod nazwą „*agentów szlifowania bruków i mostów*“ Duch przemysłu kontent z swego dzieła... obwiał ich kadzidłem Monte-chritsowskich marzeń... — Otóż ci panowie wzięli się na dobry sposób, powymyślali sobie tytuły dzieł, które nigdy nie istniały i na świat Boży wyrzucić nie miały, wybrali z swego grona redaktorów, autorów literatów i kollaboratorów i uradzili „*wielkie polowanie na prenumeratorów*“.

A biedni śmiertelnicy spali spokojnie nie śniąc nawet jak epidemia zagrażała ich kieszeniom.

Wiedział tylko o tém autor którego losy na jednej postawiły drodze z wspomnionemi agentami, który z powodu przeciwności, wciąż spotykanych w zawodzie literackim „*autorem pod niezapamiętaną urodzonym gwiazdą*“ przezwany został.

Był to pan Arkadiusz Pokrzywa — on to przedsięwziął zapobiedz złemu.

Zobaczmy jak mu się to udało.

II.

Autor nasz przekonywa się, że i kawiarki lubią filozofów.

— Nie masz jak filozofia, powtarzał to z zapalem pan Edward ściskając białe rączki nadobnej Kornelli Boreckiej a wduży dodał; — zwłaszcza kiedy się tak piękną filozofkę i z subtym posagiem bierze za żonę? Ztąd widzimy! że panna Kornelja musiała lubić filozofią, gdyż inaczej czyżby jęj wielbiciel śmiał w jęj obecności coś innego prócz jęj wdzięków zachwalać?

Działo się to w owęj szalonej epoce, kiedy w modzie był mąż filozof — książka i suknia filozoficzna — rozmowa filozoficzna i marzenia filozoficzne.

Panny które tak się ubiegają za modą, posunęły się aż do strojów filozoficznych i piesków *filozofkami* zwanych.

Na nieszczęście ojciec panny Kornelli był Doktorem filozofii, rzecz więc prosta że córka była doktorówną — biada więc była konkurentom; którzy jęj dyplomu na filozofa nie okazali.

— Panie Edwardzie, co pan sądzisz o postępach filozofii Szlegla, i jakie jest pańskie zdanie w ogóle o całej filozofii Niemieckiej?

— Na dwóch krańcach światów, przebiega postać kobiety jaśniającej wieszczym ogniem, to córka mądrości, to *filozofia*.... to tryumf wiedzy.... to szczyt głupoty!! sarkazm ciemnoty!!! kontrast ślepoty!!! mówił poetycznie pan Edward.

— Rozumiem pan mu szczytność idei przypisujesz.

— Idealność nad sfery ziemskości wyniesiona, szczytność każdemu śmiertelnikowi przynieść musi wudziale, bo ażaliż te i i owe prawdy.... co to ni ztąd ni zowąd.... ot tak sobie... ponieważ!..

— Witamy, witamy, dawno niewidzianego, prosimy do kompanij, zawołała panna Kornella na widok świeżo przybyłej osoby.

Pan Ildefons Puchacz ukłonił się poważnie, sentymentalny uśmiech przyjął na usta i miarowym głosem powiedział:

— Obecność pani, uważam za swój obowiązek i cieszę się z tem wesół.

W tém zbliżył się także i autor pod nieszczęśliwą urodzoną gwiazdą, który dotychczas w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

— Czy mi pan odnosisz *Powołanie kobiety* pani Tańskiej, zapytała panna Kornelia zwracając się do naszego autora.

— Służę pani odpowiedział tenże, kładąc książkę na steliku.

— Czy znacie panowie to dzieło? zapytała znów panna Kornelia zwracając się do dwóch swoich aspirantów.

— O! wzniosłość tak wzniosłego przedmiotu, jak wzniosła kobieta, połączając w sobie nadzwyczajność pomysłu z oryginalnością rzeczy i szczytność obrazowania z egzaltacją uczuć czyż może kogo nie zająć nie zachwycić, mówi pan Edward.

— Każde powołanie pochodzi z powołania, a więc niema się czemu dziwić, że tak piękne dzieło jak powołanie.

— Niebyło przez Pana czytane (przerwała dziewczica) widząc że P. Puchacz nie może się wywikłać.

— Pani! podobne podejrzenie!! Ach!!! (przykłada rękę do piersi).

— Jak Państwo uważacie miłość dla kobiety? zapytała z małym zarumienieniem dziewczica?

— Nieskończoną — bezwarunkową — platoniczną.

— Czy ona cierpi współzawodników, pytała dalej dziewczica.

— O żadnych, wszelka rozkosz inna zmysłowa, wydaj się przy niej jak zwiędły liść przy wiosennym kwiatku, jak nikt przy odurzającym trunku. O ja gdy kocham, gardzę uciechami światowemi, brzydzę się zmysłowością, i umiem jak prawdziwy filozof, zwyciężać nieczne pokusy zmysłowości, wyrecytował z uniesieniem P. Edward wyjątek z świeżo przeczytanego romansu.

— Wielki poeta jesteś P. Edwardzie, wielki i godzien mojej miłości. Pan jeden pojął moją duszę i piękna filozofka podała mu swą pulchną rączkę, na której on ognisty wycisnął pocałunek.

* * *

— W kawiarni przy ulicy Podwał szął przeszedł wszelkie granice. W pośród wybuchów pijanego śmiechu, odgłosu pocałunków i łoskotu kości dominowych, dają się słyszeć dźwięki skocznego tańca, niby to polka, ale wjakąś waryacką przeistoczono nutę.

— O Julio! ja cię nad życie kocham, mówił jakiś długowłosy blondyn, i w tej chwili jakby na potwierdzenie słów swoich potoczył się pod stół odurzony trunkiem i zbytkami.

— Idzie na kwit — już siódmą partya przegrywam, chyba sam czort wdał się wtę sprawę.

— Ponczu!!!.

— Kawy pół z pół kieliszkiem.

— Herbaty z winem.

— A mnie z chlebem.

— Bawarki.

— Kaukan! bacność panowie! I zgryja wylewając się na rozpustę, na w pół senne. Najady kawiarnianne porwała w szalony taniec.

— Andziu, ty przecież mnie jednego kochasz i ze mną tylko tańczyć będziesz, nieprawdasz moja duszko, mówił jakiś rozochocony młodzian, którego szlachetne rysy twarzy oszpecił wyraz rozpusty.

— O! ciebie tylko jednego mówiła dziewczyna, wieszając się u jego szyi i pociągając w wir tańczących.

— Zawrzała krew w rozpalonej trunku młodzieży — to już nie taniec, to jakieś szalone skoki idące w ślad waryackiej muzyki, to rozbydlenie żądz tulących się na lubieżne łono rozpasanych kochanek — o! zaiste ta chwila ściera godło człowieczeństwa z twarzy, usypia rozum i zakazuje mu dopominać się o swoje prawo.

To zdanie podzielał widocznie jakiś poważnych rysów twarzy mężczyzna, której badawcze spojrzenie utkwiał w młodzieńca tańczącego z Julią — i snadź zelektryzował go swym wzrokiem, gdyż tenże zadrżał, pobladł na twarzy, opuścił kić swęj tanecznicy i wzruszenie przebiegało się w jego słowach, które przemówił do nieznajomego.

— Czy podobna! i Pan tu Panie Adamie? co go tu sprowadza?

— Prosta ciekawość P. Edwardzie chciałem zobaczyć filozofia tańczącą szalenie, odpowiedział zagadnięty.

— Ale na miłość Boską P. Autorze — Pannie Kornelii ani słowa o tém coś widział, zgubisz mnie.

— Bądź Pan spokojny, nie mieszam się do filozofów... — ale śpiesz się Pan... — tancerka się niecierpliwi, czas nagli, a patrolu tylko co nie widać.

— Ot filozofia naszego wieku, mówił nasz autr sam do siebie... ten człowiek szlachetny w gruncie duszy, a jednak ze-

psuty przewrotnym wychowaniem — wyfilozofował sobie że tak podle siedlisko jak to, — które sobie dziś obrał za cel brudnej rozkoszy, nie chałbi wcale takiego jak on filozofa!

Niech idzie o jedną łzę napróżno wylaną.. o jedno poświęcenie osobistych widoków — o chwilę cierpienia dla szczęścia bliźnich, pewno nie zgodzi się to z jego filozoficznym poglądem na rzeczy — ale niech idzie o jedną straconą rozkosz, o parę kropli sprośnej uciechy... — wtedy głos świata będzie głosem wołającego na puszczy, on na nią patrzy z filozoficznego stanowiska, i aby ją osiągnąć znajdzie zawsze swoją filozofią w zapasie.

III.

Autor nasz odkrywa, że zebrania Literackie zaczynają się w salonie, a kończą w ogrodzie.

— U Pani Sędziny Matyldy L. siostry Edwarda, towarzystwo tak nazwane *wtorkowe* od godziny się już zebrało.

— Był to jeden z letnich wieczorów literackich, w glansowanych rękawiczkach, który już tak wcześniej rozpoczynał szereg zwyczajnych zabaw w salonach Sędziny.

— Zgromadzenie podzielone na grupy, zajmuje się po części rozmową, po części herbatą.

— Panie Albinie! jakżeż się Panu podobały *Lwy i lwice* Bogusławskiego? — Mówią że teatr był przepełniony.

— Nieuwierzy Pani — jak niezgrabny utwór, ani za grosz dowcipu nie masz w autorze, — wyraźny paszkwil.

— Podobno zebranie literackie nazwał menażeryą.

— *Fi donc! Quel mauvais geure!* Cóż też to za prostactwo u tych polskich *dramaturków!*... odezwał się jakiś błądy... wiodocznie cierpiący literat... który niedawno chorował na zapalenie mózgu, połączone z epilepsją i przez to wiele sobie zjednał współczucia u swoich *dystygnowanych* współzawodników.

— Jakto? zawołała gospodyni domu z oburzeniem — to on się i z nas wyśmiewa.

— *Quel idée!* A któżby śmiał powstawać przeciw tak szanownemu zgromadzeniu ludzi, którzy są jedynym filarem literatury krajowej, odezwał się Pan Albin.

— Pan Albin jakoś nie bardzo jest podobny na filar, biorąc miarę chociażby i ze wzrostu — odezwał się ktoś w tłumie. Chyba w kraju liliputów zdał by się na co, odezwał się ktoś drugi.

Uśmiech pokazał się na ustach kilku dam — Pan Albin wzrokiem bazyliuszka powiódł w około.

W tém dał się słyszeć dzwonek.

— Nowy przybysz wracał zapewne z jakiejś wędrówki literackiej, bo dwa manuskrypta sterczały mu z kieszeni — cztery książki niósł pod pachą — jakiś zwitek papieru zębami podtrzymywał.

— Szmer przytłumiony rozszedł się w około.

— Patrzcie — patrzcie, autor pod nieszczęśliwą urodzony gwiazdą. Licho go nadało! pewno coś czytać będzie, w tem gospodyni przybiegła do naszego bohatera i z uśmiechem wskazała mu honorowe miejsce na fotelu jęj prapradziadów.

— Panie Autorze! zawołano ze wszech stron, jak stoi dzieło pańskie pod tytułem *Pogląd krytyczny na dzieje literatury naszych czasów!!!?*

— Przybył mu jeden rozdział więcej, który obejmuje w sobie historią nowęj szkoły pseudo-literatów — polujących na naszą kieszeń i kradnących nam bez miłosierdzia czas drogi.

— Cóż to za szkoła opowiedz nam Pan z łaski swojej.

— Zbiegowisko ludzi bez czci i wiary, nieprzyjaciół pracy i sumienia. Nie mogąc oni jawnie okradać społeczeństwa, jako nie wprawni w rzemiosło kieszonkowych złodziei, wzięli się na inny sposób. Otoż utworzyli beczelną exekucję zdziierając bez miłosierdzia haracz z miłośników literatury, którzy nie mają serca odmówić im wstępu do gościnnych progów swego domu. Są to niezmordowane sztyldwachy w przedpokoju wielkich panów, nieproszeni goście hotelów. Na każdym kroku napotkać ich można noszących się z swoją tandetą literacką — którą z śmietnika podniosłszy — sprzedają za drogie pieniądze.

— Ależ to jest podłość bez wyrazu, zawołało kilka głosów z oburzeniem.

— Nie, jest to tylko przemysł XIX wieku odpowiedział nasz autor z westchnieniem.

— Panie Autorze, przeczytaj nam Pan ustęp o nieporównanym Malczewskim, który nam Pan na dzisiejszy wieczór przyobiecałeś.

— Nasz autor nie dał się długo prosić i zaczął czytać co następuje:

LOS POETÓW.

(Fantazyja).

— Biegł Anioł śmierci — piętno boleści
Na jego twarzy dziwnie jasniało,
A szatan chciwy ziemskiej powieści
Zbliża się k'niemu z miną nieśmiałą —

I pyta. — Pani! cóż ci się stało?
Że twoje lica smutkiem zgnębione,
Że twoje oczy łzami zroszone; —

Pewno to z ziemskiej jakieś zgryzoty
Twarz twa przyjęła godło tęsknoty. —
A Anioł rzewnym głosem odпові: —

O! całe piekło niechaj się dowie —
Że zgasł męczennik, a jeden z tych
Co cierpiał wzgardę od braci swych.

Słuchaj szatanie. — Niesie podanie
Że i złe duchy płakać umieją
A ty się śmiesz — O! łzę przelejesz
Nad męczenniczych losów kolejną. —

Umarł mąż wielki. — Sarmatów gród
Jego kolebką na ziemi był,
On kochał ziemię — kochał swój lud
I szczęśliw swoją miłością żył. —

I umarł dzisiaj — a z nim runęły
Najświętszych uczuć sztandary;
A na mogile jego stanęły
Widma niezgody, nie wiary! —

On wzniosł ramiona — i z Niebios łona
Porwał skarb wielkiej wartości
I elektryczną i magnetyczną
Iskrę rozniecił w ziemskości. —

I kiedy płomień święty na ziemi rozniecił
Ludziom brnącym w niskości tym promieniem świecił
I nadludzki, męczeński znośił z chęcią trud,
Aby Boską poezją podnieść Polski lud. —

A lud za to, że pragnął go widźwignąć z błota
Wzgardził nim, wyśmiał srodze, bo on nie miał złota,
Ktorem by umiał kupić swych ziomeków współ-
czucie...

O ziemia nasza ciężko zabrnęła w zepsucie! —
Nie miał on czém podeprzeć materyalne życie
Czytano utwór wieszczą, i zamiast w zachwycie
Zanucił dlań hymn chwały — cierniem go zakłuli
Dali łoża szpitalne — i młodość zatruli

A gdy mu już nad grobem wicher śmierci grał
Szyderców jakiś pijany opanował szął
Laur sławy mu przynieśli i gorzkie łzy leli
I trupa!... Wielkim wieszczem okrzyknęli. —

Cha! cha! cha! parsknął szatan — zwyczajne koleje
Z nowego się tryumfu dziś piekło uśmieje
Po cóż chcą walczyć z piekłem ci zuchwali wieszczę —
Małoż im jeszcze kary!? — Małoż im mąk jeszcze?

Oni Boską poezją chcą unosić ducha
A któż się nią dziś karmi — któż poezję słucha? —
Daj im pieniądz daj tytuł, rozkosz z innej sfery
Od prima — donn baletu, lub Wielkiej Opery
Ale bratku! bez rymu w jak najprostszym prozie
Bo będziesz gnił w szpitalu, albo marzył na mrozie
Ja panuję na ziemi. — Jam poetów wróg
Gubię ich, bo piekelnym unikają dróg
Niechaj giną na ziemi, bo im się chce Nieba
Chcąc być wielkim na świecie — djabłu służyć trzeba!

O dzisiaj się wytańczę na piekielnym balu
Że ostatni wróg piekła zgasł marnie w szpitalu;
O jabym pragnął wieszczą zdeptać jak pajaka. —
Jeszcze kilka tułaczów na ziemi się błaka.
Ale wkrótce, już wkrótce każdego z nich dogoni
Tego co umarł dzisiaj, wszak zwał się Antoni.

Wiész co próżno łyż lejesz, ot posłuchaj czarta
Nad ich grobem zaśpiewaj Requiem Mozarta
Zginęli i śpiew zginął, co ich sławę głosi
Próżno echo ich pienia mistrzowskie roznosi —
Pod nimi wieczna... wieczna przepaść się rozwarła
Nastał wiek finansowy — poezya umarła!!!!

— Podczas czytania toczyła się następująca rozmowa:

— Panie Albinie takiś Pan już dawno u nas nie był, — mówiła sentymentalnie gospodyni domu, siadając koło młodego człowieka, który romansowo palił papierosa. I czemuż młody wieszczu, złotopłynnemi gwiazdy swojej fantazyi, nie opromieniłeś naszych salonów.

— O Pani! przed obliczem takiej gwiazdy jaką ty jesteś, gasną wszystkie inne, i nie śmiałem stanąć przed tobą z zapłonioną od wstydu twarzą.

— O przestań wieszczu!.. Czuję o ile niżej stoję od Ciebie, czuję brak twoich wzniosłych utworów... o! nie dręcz mnie dłużej... — rozjaśnij swe czoło blaskiem jakiejś nowej twojej poezyi! O! sięj brylanty przed sobą i dozwól nam biednym śmiertelnikom zbierać je z rozkoszą.

— Gdyby 'to szło o prawdziwe brylanty, nie dałby się pewno tak prędko nasz pseudo — poeta namówić, ale że ta rzecz szła o brylantowy wiersh, zaczął więc pochwili deklamować:

Ja ją kochałem miłością Turka
Szaleństwo w zęby schwyliłem,
A ta niewdzięczna Warszawy córka
Zdradziła mnie — i wypilem
Kielich smutku... — kielich zdrađ;
I duszę pochłonał jad. —
I dźwigam na mém sercu umarłą nadzieję.

— O mdleję! — mdleję!! krzyknęła Pani L. — Moc uczucia... uderzyła w spazmatyczną stronę mego serca... nie — to nad siły — przestań wieszczu — przez litość!.

— I Pani L. przechyliła się na krzesło. — Powstał zgiełk w salonie — przestraszeni goście skupili się około mdlejącej. — Przy pomocy trzeźwiącej soli — ocuciono ją po długich bezowocnych usiłowaniach.

Poezya P. Albina powtarzano z uniesieniem.

Przezawano go: — *Śpiewakiem serca*.

— Poezya autora pod nieszczęśliwą urodzonego gwiazdą nie zyskała wielu zwolenników. — Nazwaną ją zbyt melancholizno — fanstatyczno — kabalistycznym utworem.

— Panie Albinie mówiła sentymentalnie gospodyni domu. — Tu tak duszno. — Tak ciężkie atmosferyczne tchnienie nie pozwala nam pieśczośliwie przyjąć na swoje łono ożywczy eter poezyi. — O pójdźmy do ogrodu. — Tam eteryczność panuje. Tam kwiaty poezyi można zrywać swobodnie. — Chodźmy... chodźmy, zawołała z teatralną pantomimą nasza exaltowana literatka. — Przeczytasz mi pan Maryą Malczewskiego.

— Młoda para podała sobie ręce i wyszła do ogrodu.

— Powietrze oddychało balsamiczną wonią kwiatów oranżeryjnych. — przyroda zdawała się sprzyjać poezyi i miłości.

— To też po wszystkich ścieżkach błdziły pary romansowe.

— Było tam może więcej uczucia i poezyi jak w salonie.

— Albin i Sędzina L. weszli do malowniczej altanki romansowo ukrytej w półcieniu.

— Księżyc skrył się za chmurą.

— Zaledwie autor nasz skończył ustęp o Malczewskim gdy uczuł się schwyconym za rękę przez jakiegoś mężczyznę — którego twarz blada i zmieniona, zdradzała żywe wzruszenia. — Poznał pana Edwarda.

— Proszę pana na chwileczkę do ogrodu. — Idzie tu o honor pański.

— Służę — odpowiedział nasz bohater niemało zdziwiony.

— Weszli w ciemną aleję i dały się słyszeć te słowa wymówione z boleśnym wyrzutem.

— Pan zdradziłeś mię. Odkryłeś wszystko Kornelii, — wzbroniony mam sobie wstęp do jej domu.

— Przysięgam panu, że odtąd jakim go widział w kawiarni, ani noga moja nie postąpiła w domu jego ulubionym. Na mnie mógłbyś pan mieć podejrzenie... na mnie!?!...

Te słowa wymówione były tonem tak boleśnego wyrzutu, że nasz filozof uczuł słabnącą moc swego przekonania.

— Ha! więc — ktoś mnie zdradził — więcś prócz pana nikt mię niewidział... — O! tak... to panieś mi się tak pięknie przysłużył... — Ale nie bój się pan — mścić się nie będę... dość mu mojej pogardy.

Jeszcze zdumiały autor nie zdołał wyjść z osłupienia, w które go wprowadziły te słowa, kiedy jakiś mężczyzna, który biegł jak szalony na ich spotkanie, wpadł na nich z gwałtownością i przewrócił obydwoh na ławkę z darni.

— Gdzie oni, gdzie oni? — wołał z zapamiętałością.

— Kto taki? — czyś oszalał szwagrze? zapytał Edward zelektryzowany tą napaścią — że lecis jak oparzony.

— Nie bardzo to przyjemnie jeść trawę na podwieczorek, mruknął nasz autor, który nieszczęściem padł twarzą na ławeczkę. — O kogóż się pan pytasz z taką gwałtownością?

— Żona moja wyszła na chwilkę do ogrodu z panem Albinem, ani widu, ani słuchu o niej... — mówił napastnik nie zwracając uwagi na słowa autora.

Wtém z altany doszły słowa czytającego:

„Maryo! czy ty mię kochasz, bo taką masz postać,

Jak gdybyś do aniołów myślała się dostać.

— Eh! potrzebniejszą jest ona w salonie jak u aniołów, mości poetto! bo niema komu herbaty rozlewać... a goście się niecierpliwią. — Zawołał sędzia rubasznie, otwierając nagle drzwi altanki. Przestraszona para zerwała się z krzeseł. Albin odskoczył jak oparzony i wypuścił z rąk książkę, która padła na odcisk sterczący sędziemu na lewej nodze. — Aj! jaj!... — odcisk mój — odcisk, zawołał sędzia, kręcąc się na jednej nodze. — Ależ mój panie!.. to istna impertynencya.

— Ależ mój mężu — ktoś tam wiedział, że masz po dzie się odcisków na każdej nodze.

— Któż? — a to ładne pytanie. — Najprzód ja.... później.... ty.... później....

— No — dosyć — dosyć — panie Albinie kiedyindziej skończymy.... czytanie poematu Malczewskiego.

— Wkrótce ogród był pusty... przechadzał się tylko po nim Autor pod nieszczęśliwą urodzony gwiazdą, zmartwiony niesprawiedliwem podejrzeniem pana Edwarda.

* * *

Na drugi dzień po opisanym scenie, panna Julia szesnastoletnia córka Sędziostwa weszła do pokoju matki iieszczonym powiedziała głosikiem.

— Droga Mamo! chciałabym się nieco przejść po Saskim ogrodzie, aby odświeżyć sobie rolę suberetki, którą mam odegrać na naszym amatorskim teatrze.

— Idź, idź, kochana Julciu, tylko nie baw się długo, bo mi tęskno bez ciebie.

— I po serdecznym uścisku rostały się.

— Zaledwie drzwi zamknęły się za młodą dziewczicą, kiedy pokojówka pani Matyldy weszła cichaczem do pokoju i obejrzawszy się z ostrożnością na wszystkie strony, doręczyła jej różowy bilecik. — Silna woń paczuli, rozeszła się po całym pokoju. — Autor listu widać miał znajomego aptekarza, bo coś za bardzo szastał drogim olejkiem. Bilet brzmiał jak natępuje:

„Pełne blasku towarzystwo, które się ma zebrać u pani P* przy ulicy Niecałej na wieczorek literacki, upragnione jest widoku słońca. — Jest to też samo, co chcieć posiadać Ciebie w swoim gronie.... Czekamy z upragnieniem. — Bądź naszych zebrań ozdobą. — Godzina 7 w wieczór. — Albin.“

— Będę poszepnęła Matylda — będę — powtórzyła z zapalem, i pismo spoczęło w zanadrzu.

— Będzie — będzie — powtórzyła pokojówka i ja będę dodała z cicha do oddawcy listu — po siódmej na Saskiej Kępie pod „Karpiem“.

IV.

Autor nasz widzi, że repetycje teatralne nietylko na scenie się odbywają.

Przy ulicy Niecałój, gustownie urządzone apartament zajmowała była artystka dramatyczna pani P*.

Pani P* była przedmiotem zazdrości dla wszystkich swoich współzawodniczek, które w sile wieku zeszyły ze sceny.

W ich mieszkaniu panowała głucha samotność, żaden z byłych wielbicieli, nawet przez pomyłkę nigdy nie zajrzał, — gdy u pani P* ruch wesoły ożywiał pokoje. — Trzy wchody i cztery wychody urządzone dowcipnie, wielkie stanowić musiały ponęty dla młodzieży obojga płci, gdyż bezustannie się otwierały i zamykały. Pani P* dawała śniadania, obiady i kolacje, wieczorki i podwieczorki literackie, i tak je smacznie przyrządzała, że słynęły w całej okolicy.

* * *

— Jak się masz droga Julciu, dawno niewidziana, cóż nam nowego przynosisz, zawołały jednogłośnie pani P* i grono młodych panien, ją otaczające.... prosimy, prosimy przysiądź się do naszego podwieczorku.

— Ślicznie dziękuję, wstąpiłam tylko na chwileczkę, mama mnie czeka w domu.

— O nie! tak się od nas nie odchodzi, musisz nam co zagrać, zaśpiewać. Pan Telesfor będzie czytał nowe wiersze swojego utworu.

— Telesfor? wykrzyknęło dziewczę z lekkim zapytaniem, a więc zostaje.

— Adelko! pan Włodzimierz dziesięć razy pytał się o ciebie, odezwała się pani domu zwracając do dziewczicy siedzącej opodal, powiedziała mu, żeś była słaba, ale nie chciał wierzyć, zmartwił się biédak niewypowiedzianie. — W tém drzwi

się z gwałtownością otworzyły i nasze towarzystwo powiększyło się jakąś bladą imością, która niby gość z tamtego świata okazała się w pośród wesołego grona i ponurym powiedział głosem: Napisaną przezemnie *Elegię na skón młodości*, odczytam na dzisiejszém naszym posiedzeniu.

Jednocześnie z bocznych drzwi, wyszli trzymając się za ręce jakiś młody mężczyzna i dama.

— Oczém żeście państwo tak długo gwarzyli? zapytała pani P*.

— O sonetach zeszłego Wtorku, tyle w nich było czucia i poezji.

— A witajże nam panie Telesforze — oczekujemy z niecierpliwością.

Julia z widocznym wzruszeniem, pochyliła się na krześle, pan Telesfor przystąpił do niej i powiedział patetycznym głosem. — Pani! pożar jęj oczów pali mię swoim płomieniem.

— Pochlebco, szepnęła dziewczica zarumieniwszy się, aż po białka oczów.

— Biedne turkawki! jak one się kochają wtrąciła pani P* macierzyńskim tonem.

W téj chwili wbiegł jakiś sowizdrzał z piórkiem w ustach, laseczką w ręku i zawołał wydobywając trzy butelki wina.

— Przynoszę com obiecał na dzisiejszy wieczór. Proszę powiedzieć pannie Anieli, że będę za dwie godziny, i wykreściwszy się na pięcie, wybiegł jak oparzony.

Niebawem podtatusiały jakiś jegomość wtoczył się do pokoju a za nim służący z koszykiem.

— Najwyborniejsza kolekcya fruktów, do usług pani do brodziejki, zawołał, całując rączki ex-aktorki. Ale cóżto, panny Kunegundy niema jeszcze? miała być o czwartéj. Nierozumiem, co to się może znaczyć. — Pewnie ją zatrzymał.

— Arak zamówiony!... proszę pani.... zawołał autor pod nieszczęśliwą urodzony gwiazdą, wychodząc z trzecich drzwi. — Raczy mi pani darować, że tak późno przychodzę, ale nieprzewidziane okoliczności....

— Mocno mu jestem obowiązana, z godnością powiedziała pani P* ale wdzięczniejszą bym mu jeszcze była, gdyby raczył coś ze swoich utworów przynieść na dzisiejszy wieczór.

— Zbyt słabe są utwory moje, pani — aby na tych zgromadzeniach dobrze przyjęte były.... Tu poezja doszła do najwyższego szczytu... tu ona panuje w swą naturalną piękność.

— Komplet dostateczny — dwadzieścia osób, zawołała pani P* posiedzenie się rozpocząć może.

Ale pana Albina niema zawołał ktoś z boku — on duszą naszych zgromadzeń.

— Będzie o siódmym odparła pani P*.

— A więc zaczynamy!

— Prosiemy panie Telesforze.

Damy i mężczyźni podzielili się na grupy. Pan Telesfor zasiadł z powagą na fotelu, — podparł się od niechcenia łokciem o stolicek mozaikowy i przybrawszy zamyśloną pozę zaczął deklamować co następuje.

GIAUR ZAKOCHANY.

(Ballada).

„Niechaj skroń moją ozdobi laur;
Gdy wam opowiem, co zrobił Giaur.“

— Co za pyszny dobór rymów, — co za łatwość w obrazowaniu, jakaż to nadzwyczajność pomysłu, połączona z oryginalnością rzeczy, zawołała nachylając się do ucha Julii, jakaś młoda debiutantka baletu.

— O jakżeby mu był laur do twarzy! szepnęła dziewczę.

— A więc mi pani ułatwisz widzenie się z Amelią, rzekł zcichy jakiś dandys do pani P*.

— A zegarek emaliowany, czy już przyszedł z zagranicy?

— Jutro go będziesz mieć pani u siebie.

— Na przyszłym zgromadzeniu literackim wszystkie pańskie troski uśmierzę.

— Czy podobna? — O! Pani, dowody mojej wdzięczności stokrotnie okazać się postaram.

— Dla wdzięcznych ludzi umiem być usługą...

Tymczasem pan Telesfor czytał dalej:

— „Pokochał dziewczę Europy

Idąc w tropy

Wściekłych Afryki mieszkańców,

Pośród szalonych tańców

Miłość jej swoją wyznaje

I w swoje zaprasza kraje.

A gdy ona głucha

Wyzwania nie słucha

I na seryo mu odmawia.

Wydobywszy młot,

Niesie śmierci grot....

O nieba! krzyknęli wszyscy z przerażeniem....

Pan Telesfor kończył urywkowo płaczącym tonem. Kilka.... groźnych.... słów.... przemawia:

(Żałością) „I jednym zamachem!!!

Z obecnych strachem

(Z westchnieniem) Życia dziewicę pozbawia.

Skończył pan Telesfor. Grzmot okłasków towarzyszył wykrzykom uwielbienia.... Powstał z swego miejsca honorowy krytyk zgromadzenia.... i powiedział w imieniu całego areopagu.

— Kto umiał z malowniczego przedmiotu, połączonego z estetycznością idei, wyciągnąć prozopoję poetyczną, i plastyczność pojęcia, zbliżyć do wytworności, wysłowienia się, kto na erudycję empiryzmu, wpływa zatwardziałością stoicyzmu, i na postęp wieku, machiawelską odzianego szatą, rozlewa światło prawdy eplematycznój.... ten z chciwością prozelity wciskać się zaczyna do nieskończonych mądrości labiryntów, i jeśli zapatrzymy się na niego z stanowiska krytyczności połączonej z ostrożnością badań, niezawodnie wypadnie ścisłostetyczne przekonanie....

— Że osłem zostanie!... dodał jakiś głos bardzo podobny do naszego Autora.

— O horendum! któż śmiał wyrzec taką obelgę? odezwał się asystent krytyka.

Wszyscy spojrzeli z oburzeniem w tę stronę. Głos umilkł.

— Ale cóż to nikt niezajmuje miejsca pana Telesfora.

— Panno Elwiro a jój Elegia.....

— Panna Adelajda chciała mię zastąpić.

Panna Adelajda, o której była mowa, właśnie ogniste spojrzenie rzuciła w około, pragnąc strzelisty affekt młodzieży zwabić dla swoich 50ciu letnich wdzięków.

Była to jeszcze jedna z najmłodszych starych panien zgromadzenia.

Ale mężczyźni zimni byli na jój pociski; żaden strzał nie trafił do celu.

Miała więc zwyczaj dla przymuszenia mężczyzn do większej grzeczności upuszczać chustkę a gdy który podawał jój zgubę, z westchnieniem i gracyą szepnęła oddawcy.

— Bardzo dziękuję, pomów pan z moją mamą.

Ale nikt się nie kwapił i chustki coraz częściej upadały na ziemię.

Gdy nalegano aby raczyła coś przeczytać, odpowiadała z wstydliwą skromnością stariej panny:

— Jest tu wielu którym służy pierwszeństwo, zresztą — bardzo nas interesująca rozmowa zajmuje.

Dowodzono właśnie, że najpiękniejszą porą życia jest wiosna.

To się przecież tyczyło panny Adelajdy.

Panna Elwira zajęła Katedrę. I rozpoczęła elegię na skon młodości.

Panna Adelajda w tym względzie uważała się za nieśmiertelną, nie zwracała więc na nią uwagi.

Pan Telesfor tłumaczył Julij, że ona oddycha balsamicznem tchnieniem młodości, nie należał więc tym razem do liczby słuchaczów.

Podsiwiały jegomość rozgniewał się że tak zuchwały przedmiot wybrano, w towarzystwie składającym się z samych młodzieży.

— Nie zważając na nieprzychylne usposobienie umysłów panna Adelajda, która przecież w 60-tym roku życia przyznała że się starzec zaczyna; czytała:

ELEGJA NA SKON MŁODOŚCI.

O! już wściekle wszyscy w piekle szatany walczą

Że dziewicy, męczennicy mogiłę gotują

W życia kwiecie, na tym świecie, żyła jak anieli

Pogębiona, potępiona, że ją nie pojęli:

Uczuć siła ją wpędziła, pod jarzmo tęsknoty

I załóżnie, w życia wiosnie poznała suchoty

On ją zdradził i sprowadził, łzy rozpacz westchnienia,

I osła—bił,— w końcu zabił, zdrajca bez sumienia.

— Bis!.... zawołał ktoś z boku.

Stara panna z tryumfem powtórzyła wiersh. Przy słowie zdrajca drzwi się otworzyły i jakaś romansowa para prowadząc się, weszła do salonu.

— Pan Albin zawołano ze wszech stron i nie sam.

— Pani P* skwapliwie wybiegła na spotkanie gości. W tej chwili pan Telesfor dowodził z zapałem Julii, że ją kocha miłością większą jak Giaur z jego ballady i popierał swe słowa ognistym pocałunkiem jój rączki.

— W tém dama towarzysząca Albinowi widząc opróżnione obok nich krzesło, usiadła na niem.

— Nagle słyszeć się dały dwa wykrzykniki zadziwienia dwóch obok siedzących.

— Mama!!

— Julia!!

— Panna Julia tu zawołał Albin, — i tym razem zbladł naprawdę.

Autor nasz przewidując zemdlenie, zbliżył się z flakonikiem, ale ani matka, ani córka nie zemdlały, bo w owym czasie zemdleć w dobrem towarzystwie było wielką nieprzyzwoitością.

— Przyszłam tu, rzekła Julia, poradzić się pani P*, jakby to odegrać z prawdą moją rolę.

— A ja byłam pewną, że cię tu zastanę i sprawiłam ci niespodziankę.

— A pan autor, dodała Julia, zapewne nas tu także szukał.

— Nie, chęć należenia do zgromadzeń literackich aż tutaj mnie zawiodła.

— Oh! quelle sublime hypocrisie! Boję się, czy pan tylko nazbyt nie pragniesz dobra literatury i zbytniej gorliwości, już nawet dostrzegacza rolę przyjąłeś.

— Pani! bardzo to łatwo przychodzi damie obrazić mężczyznę, bo walczy z bezbronnym. Niegrzecznością jest stawiać opór kobiecie i sama już delikatność płci pięknej należąca, wytrąca nam oręż z ręki. — Ciesz się pani swoim zwycięstwem.

I powiedziawszy to nasz autor odszedł na stronę — nie mogąc pojąć, dla czego Opatrzność jemu koniecznie cierpieć kazała za błędy innych.

Julia i pani Matylda udały się do sąsiedniego pokoju.

Pani P* poszła za niemi, aby im udzielić swych rad macierzyńskich. — Na fotelu usiadł jakiś świeżo podgolony młodzik i ogłosił, że wkrótce opuści prasę wielki poemat przerobiony z romansu pod tytułem: „*Siedm kobiet i jedna Papuga*.”

Przez chwilę panowało milczenie. Pani L* dbała o rozrywkę gości nalegać zaczęła natarczywie na naszego autora, aby przeczytał zamówiony utwór, kilka głosów przyłączyło się do niej — obłożony autor ustąpił wreszcie.... i czytał:

F A N A T Y K.

(Legenda).

Kiedym Hiszpanów zwiedzał stolicę,

Szukając w gruzach natchnienia.

Widziałem zamki, baszty — ziemice

Pokryte gruzem zniszczenia.

Nagle ockniona dusza zadrżała

I dreszcz pierś moją przenika,

Bo z głębi ruin — nuta zabrzmiała

Straszna — ponura i dzika!...

Przechodniu! rzuć miejsce przekłete.

Zabrzmiały słowa złowieszcze;

Bo chyba siły chronią cię święte,

Że żyjesz — bawiąc tu jeszcze

Jam Żyd, jam tułacz, jam wnuk pradziadów,
Którzy tu padli ofiarą
Spojrzyj! a widok skrwawionych śladów,
Legendę wspomni ci starą.

* * *

„— Tu gdzie ten zamek — tu wieża stała

Przy niej gmach wielki warowny

Tu z swoim ojcem, córka mieszkała

Któręj wdzięk słynął cudowny. —

Tysiąca grandów, tysiąca panów

Pierś dla niej tkliwiej zabiła.

Nazwaną była bóstwem Hiszpanów,

Choć się Żydówką rodziła.

„— O długo, długo — serce tłumilo

Namiętne czucia dziewicy,

Ale nareszcie silniej zabiło

Dla księcia — władcy stolicy!...

On ją pokochał — dla swęj kochanki

Brylanty rzucił i złoto

I by przyjęła imię chrześcijanki,

Koronę dawał z ochotą.

„— Ale jęj ojca wola niezgięta

Kochankom psuła zamiary.

On krzyczał: — „córko będziesz przekłeta,

Jeśli się zrzekniesz swęj wiary,

Księżę wściekłością wreszcie wiedziony

Posłuchał szeptów rycerzy

I w inkwizycyi oddał go szpony

Kładąc na listę kacerzy.

„— Napróżno córka łzami rosila,

Boleścią zmienione lica

Godzina strasznej kary wybiła,

Sąd na śmierć skazał rodzica. —

Księżę łagodzi wyrok straszliwy,

„— O zmień swą wiarę“ — zawoła

Dozwól bym z córką twą być szczęśliwy

Oddaj mi mego Anioła!“

„— Nigdy! zakrzyknął starzec z szaleństwem,

Sił dosyć jeszcze zostało;

Aby nie zachwiać duszy męczeństwem,

Na pastwę oddać wam ciało!

„— Judyto! książę wyrzekł z boleścią:
Daj wyrok, rozprosz zwątpienie
O! ufam w twoją tkliwość niewieścią,
Ty pojmiesz moje cierpienie.

„— Śmiertelna cisza w około trwała,
Córka z swym Ojcem walczyła.
Ona miłością pierwszą kochała
I z nią swe serce złączyła.
Bladość powlekła jęj wzniosłe lica
I wykrzyknęła w rozpacz:

„— Jeślim nie czuła na głos rodzica
Niechaj mi Bóg wasz przebaczy,
Ojczu! miej litość!! — To życie nie moje
Ono lubego własnością!
Niechaj się serce obudzi twoje
O wzrusz się moją miłością.
I jam w praojców słowa wierzyła
Dopókim chrześcijan nie znała.
Lecz dzisiaj — wybacz, chwila wybiła;
Jam chrześcijan Boga poznała
Chcę mu ślubować, połącz się ze mną,
Gwiazda nam szczęścia zaświeci —
Ty milczysz! — czylisz błagam daremno?
Tyś srogi i dla twych dzieci!“

„— Nikczemna! wyrzekł ojciec z wściekłością:
Ojców wyrzekasz się wiary,
O więc się nasyc piekieł radością
Gdy ojciec zginie twój stary.
Ty za chwil kilka ziemskiej radości
Wieczność poświęcasz z ochotą
I węzeł wiary wielkiej świętości
Zamieniasz ziemską pieśczętą.
Więc ciesz się, koniec mój nie daleki,
Lecz skon mój uwiecznią bardy
A twój czyn niecny potępia wieki
Haniebną klątwą pogardy!“

Na słowa starca popłoch się szerzy
On córkę odepchnął z siłą,
I z dumą wstąpił na sam szczyt wieży,
Co miała być dlań mogiłą.

Stanął i spojrzął — Na jego twarzy
Myśl jakaś dzika błysnęła,
Bo oko dziwnym ogniem się żarzy
Prawica groźnie ścisnęła.
„Córko,“ zawołał — chwila wybiła,
Że rzucam kały ziemskości
Przed moim okiem zgubna mogiła
Przed twoim eden miłości.

„— Lecz zanim przejdiesz na łono wiary,
Co cię od naszych odszczepi;
Pójdź w me objęcia. — Ojciec twój stary
Błogą się myślą pokrzepi.
Że cię pożegnał godłem Talmudu,
Którym Izrael się wślawił,
Iżem w mych oczach, wśród tego ludu,
Ciebie żydówką zostawił.

Skoczyło dziewczę — wszyscy milczeli.
Choć trwogę każdy z nich czuje.

Lecz słowa ojca usłyszeć chcieli

Córka na wieżę wlatuje....

Ojciec ją schwytał w swoje objęcia,

Przycisnął czuliej i szczerzej....

Szepnął coś z cicha.... wśród uściśnięcia,

I wraz z nią stracił się z wieży!...

Łoskot upadku obudził wrzawę

Książę padł z jękiem zemdlony

Na ślady swojej kochanki krwawe,

I na trup ojca skrwawiony.

Od tego czasu wieki minęły,

Pieśń moja przeszła w podanie,

Lecz ślady krwawe nie zagięły

Te ślady widzisz mój panie!

A jeśli kiedy wśród nocnej ciszy

Ujrzysz snujące się mary,

Jeśli twe ucho jęki usłyszysz,

To córka! — to ojciec stary!...

Ot i legenda! Ty drżysz mój panie,

Bo ciemność ciebie otacza;

Jeśli cię pieśń ma poruszyć wstanie,

Wesprzyj jałmużną tułacza!!

Niespełna w godzinę potem z Niecałej ulicy wychodziły cztery osoby zajęte żywą rozmową — z ich fizynomii wyczytać można było, że pomiędzy nimi największa zachodzi harmonia. — Był to Albin, matka Julii i panna Julia z Telesforem, który obiecał przyjąć także udział w amatorskim teatrze.

Za nimi postępował autor pod nieszczęśliwą urodzony gwiazdą. Twarz jego była zmieniona, ironiczny uśmiech zazwyczaj błędzący na jego ustach, ustąpił miejsca wyrazowi jakiejś dziwniej bolesti wyrytej na jego fizynomii.

— Biedna — wyszeptał, tak młoda, tak niewinna i dąży wesoło w objęcia zguby, a świat, a ludzie zimnym na to spoglądają okiem — cóż mu do tego, że młoda dziewczica dąży do zguby. — Cóż im do tego, że żona zdradza męża, że córka idzie za przykładem matki, kiedy im z tém dobrze, kiedy bawić się można ich kosztem — i jest o czém gadać przez cały miesiąc. — Ale nie — tak być dalej nie może. — Ja nie pozwolę na to, los Julii tyle mnie obchodzi, co los własnej siostry.... o więcej jeszcze, bo ja ją.... Głośny wybuch śmiechu Julii, która z zajęciem słuchała opowiadania pana Telesfora, zagłuszył ostatnie słowa.

IV.

Autor nasz dowiaduje się na balu, że są jeszcze polowania innego rodzaju.

U Sędziostwa L* wieczór tańczący.

Obchodzą imieniny Sędziego z obiadem, teatrem amatorskim — fajerwerkiem brylantowym i tańcami.

Panna Julia odegrała swoją rolę z czuciem, — Sędzina z biegłością wytrawną aktorki, pan Telesfor do łez wzruszył suflera miłosierną minką swoją w chwilach, gdy zapominał swój roli.

Sędzia był w brylantowym humorze.

Żona obdarzyła go bukietem niezapominajek, córka dołączyła kilka nieśmiertelników. — Obie wyczerpały wszystkie skarby niewieściego przebiegu, aby rozegnać najmniejszy nawet cień podejrzenia, który osiadł na czole solenizanta od sceny w altanie.

Nasz Autor aż do dnia tego nie pokazał się u Sędziostwa, dziś z obowiązku grzeczności przyszedł złożyć swe życzenia.

Sędzia przyjął go z serdeczną gościnnością.

— Witam kochanego naszego poetę — dawno niewidzianego, w naszym domu. Czyś na Parnas zawędrował? Pan Telesfor mówił nam, że cię widział paradującego na Pegazie.

Nic nie odpowiedział na tę uwagę nasz Autor, bo dostrzegł jak twarz Julii powlekła się żywym szkarłatem, a pan Telesfor rozmawiający z nią z niespokojnością się obejrzał.

W tém za wejściem nowych gości rozmowa przeszła na inny przedmiot.

* * *

Bal jest na schyłku.

Koło tańczących coraz się zmniejsza.... Znużenie widoczne.

Pani Sędzina otoczona rojem mężczyzn, tuzinami pochłania najbezczelniejsze pochlebstwa.

— Julia obwiana także kadzidły światowemi z dziewczicą lekkomyślnością daje ucho podszeptom młodzieży.

W sąsiednim pokoju dwóch mężczyzn siedzi przy stoliku, na którym dogorywająca lampa rozsiewa blask smętny do koła.

To Albin i pan Telesfor.

Podśluchajmy ich rozmowę:

— Czy prezesowa lubi wiersze religijne?

— Passyami.

— Zkąd wiesz?

— Julia mi mówiła, wszakże to jej kuzynka.

A jakże to będzie z hrabianką W*.

— To znowu idealistka, trzeba palnąć jaką balladę, romans, lub fantazyę.

— Czy ci Julia powiedziała, że ona bogata?

— Liczą ich na jaki milion.

— A za dedykację płaci gotówką?

— Brzęczącą... kurs w kraju mającą... co do mnie wezmę i assygnaty.

— A więc jutro wyprawa, obie przecież mieszkają na Lesznie.

— A więc trzeba nam się zejść w naszej redakcyi.

— Czy kazać wszystkim aby się zebrali?

A jakże: — Dużo jest do roboty.... jeden hrabia umiera, trzeba pisać Elegię. — Adwokat wygrał sprawę, trzeba mu wpakować parę biletów prenumeraty, przytém zdarza się nam tęga gratka w Instytucie p. Pedanckiego. Trzeba więc wygotować kilka list ozdobnych, zwłaszcza dla téj baletniczki, co to wiész...

— Dobrze — jutro walna rada. — Porozsyłaj okólniki do naszych braci — ulica Dunaj N***

— Powiedz mi jak trzymasz z Julią?

— Gotowa się nawet dać wykraść, jeżeli ojciec nie zezwoli na nasz związek.

— Jakto? — Tybyś się chciał zenić.

— A cóż wcaleby nie zawadziło. — Julia ma trzykroć posagu. — Moglibyśmy nie źle podeprzeć interessa nasze.

— A ty jakżesz z Matyldą?

— Mam się z nią zobaczyć we Czwartek u pani Z*, która otworzyła u siebie wieczory literackie na wzór naszych. Obiecała mi pożyczyć sto rubli. — Ale pst! jakiś szelets, czy tylko nas kto nie podsłuchuje?

— Eh! gdzież tam? — Sąsiednie pokoje zajmuje guvernantka i pana służąca. — Wszyscy są teraz zajęci, nie ma się czego obawiać. — Ale cicho — Julia się coś ogląda za mną, szuka mnie wszędzie wzrokiem. — Rozstańmy się pewno mi ma coś powiedzieć.

— A więc bądź zdrow. — Sprawuj się tylko jak należy, abyś nie zaspiał naszej sprawy. — Julia weszła do pokoiku i zapytała czułym głosem.

— Cóż to Telesforze nie tańczysz.... czy ci się już bal naprzykrzył?

— Czyż Raj może się naprzykrzyć biédnemu śmiertelnikowi, jeśli go na ziemi znajdzie? — Odkąd cię poznałem Julio! świat zdaje mi się rajem.

— Telesforze! rzuć te miodowe słówka. — Zamiast słodczy, którą mi one sprawiać powinny. — Mimowolna jakaś gorycz napelnia moją duszę.... Ja chciałabym widzieć w tobie więcej zaufania — Więcej otwartości w obejściu się ze mną.... Pochlebstwa tłumy łechtać tylko mogą moją próżność, ale ciebie, jakżebyś pragnęła widzieć zupełnie różniącego się od innych.

— Droga Julio, zakrwawiasz moje serce srogiém podejrzeniem, jakobym miał być skrytym z tobą. — Odkąd istność moja cała do ciebie należy, obłuda, niedowierzanie — byłoby zbrodnią.

— O ja wierzę ci, żeś szlachetny Telesforze! — Wierzę — bo jak błogo na sercu, kiedy się ma zaufanie do drogich sobie istot? — Ale Telesforze, jakież twoje plany na przyszłość? — Czy pisałeś do stryja na Litwę.

— Interessa moje wkrótce najświetniejszą przybiorą postać. Za parę tygodni mam otrzymać posadę. Wkrótce odbieram także kilkadziesiąt tysięcy po mojej babce. Za miesiąc najdalej będę się mógł oświadczyć formalnie o twoją rękę. — Ale papiery twoje... dokumenty szlachectwa.... Ty wiesz jak mój Ojciec jest skrupulatny w tém względzie.

— Klejnot szlachectwa oddawna już piastuje nasza rodzina na Litwie. Z téj strony niema niebezpieczeństwa. Gdyby jednak do końca miesiąca nie nadeszły dowody legitymacyjne, Juljo zrobisz mi jedno poświęcenie miłości i upewnisz Ojca o prawdzie słów moich. O Juljo! bo jeśli mnie dłużej jeszcze dręczyć będziesz torturą niepewności, upadnie moja cierpliwość wraz z życiem, miłość uczyni mnie samobójcą. Luba czy ty znasz cały ogrom moich uczuć?

— Telesforze nie rozpaczaj, ja cię kocham nad wszelki ziemski wyraz, nie masz granic dla moich poświęceń. Jeżeli Ojciec mój będzie trwał w uporze, ucieknę się do matki, ona

mi przyjdzie w pomoc. Ufaj w naszą szczęśliwą gwiazdę Bóg sprzyja szlachetnym zamiarom.

— Ale goście się zaczynają rozchodzić,... żegnaj cię... do widzenia!....

Pan Telesfor wszedł do salonu.

— W tej chwili drzwi sąsiedniego pokoju z lekka się otworzyły, jakiś człowiek z twarzą zmienioną i pobladłą od zbytku wzruszenia, wybiegł ztamtąd i z wybuchem wściekłości wyszeptał:

— Podły, stokroć podły!! I ja mam cierpieć jego zdradę i nie wykryć wszystko na jaw.... Ale trochę cierpliwości... unikajmy zgorszenia.. pośpiech hańbą pokryć może córkę i ojca, bo matka!....

— Panie Porywa! gdzie się pan chowasz? Stronisz pan zupełnie od nas, ani razu go niewidziałem tańczącego, czy Apollo mu tańczyć zabronił.

Te słowa wyrwały się z ust pana Edwarda, który przerwałszy monolog naszego autora pociągnął go za sobą.

— Słuchaj panie Adamie, wybac mi, moją nierozwagę, ciężkom zgrzeszył przeciw tobie; ale też szczerze tego żałuję. Dziś widzisz mnie na szczęblu szczęścia.... Kornelia przebaczyła mi, poprzysiągłem jej bowiem, na popioły mojej matki, że noga moja nigdy nie postanie w kawiarni. — Wykryła mi nawet imię zdradzieckiego oskarżyciela. — Jest nim pan Albin, ów czuły sceniczny kochanek, bohater altankowych romansów. — Mając wytarte czoło na wszystko, zdołał się już wcisnąć do domu mojej narzeczonej i wypłatał mi tego figla!

— Nic dziwnego, odparł nasz autor. — Jeśli policza się w to nie wda, zobaczysz go gdzieindziej jeszcze.

— Wyłomacz się, co to się ma znaczyć? — Cóż to za zagadka?

— Przyjdź pan jutro do mnie, a dowiesz się więcej.

V.

Nasz autor z okazji obstalowanej pary bótów, wiele się ciekawych rzeczy dowiaduje.

Przy ulicy Dunaj, stał dom oznaczony Nr.***, na którego froncie bujał wspaniale szyld szewca, który skromnie się przeważał „*artystą męskiego obuwia*“ Mieszkanie jego graniczyło z kawalerskim pokojem, który od niejakiegoś czasu o pewnej porze dnia ożywiony był nadzwyczajnym ruchem.

Próżno szewc starał się kopytem zagłuszyć wrzawę tam panującą, grzmot jego arystowskiego narzędzia, niczem był w porównaniu z gromem wykrzyków, rozlegających się w pokoju.

Biedny nasz Artysta zwątpił o swoim talencie i odnajął alkierzyk czeladnikowi ślusarskiemu, aby ten swoim młotem poparł jego usiłowania.

Było to główne siedlisko kawalerów cechu rymarskiego i agentów szlifowania bruków i mostów.

Na drugi dzień po opowiedzianym wieczorze drzwi laboratorium artysty obuwia zlekka się otworzyły i ukazał się nasz autor w własnej osobie, który z powagą przystąpił do obstalowania sobie pary artystowskich bótów.

Szewc z całą uroczystością chciał się zająć zdjęciem miary z nogi autorskiej, w której niepospolity talent odkrywał, gdy Porywa szepnął mu na ucho.

— Uciszyć się wacpan cokolwiek, ciekawość mnie bierze podsłuchać, co to się tam za sprzeczka toczy.

— A to pan sobie siadź na zydelku przy ścianie, to będzie panu wygodnie, odparł nasz artysta, zadowolniony, że mieszkanie jego użyto za obserwatorium.

Nasz autor poszedł za jego radą.

* * *

W pokoju sąsiednim stół prześcieradłem nakryty zarzucony był stosem papierów rozmaitego kalibru!

Na samym środku sterczał ogromny kałamarz i piaseczniczka niepomiarnej wielkości.

Na końcu stołu leżał papier czysty i wszelkie materyały piśmienne dobrane stosownie do potrzeby i okoliczności.

Na długiej ławce, przystawionej do stołu siedziało z piętnastu członków z wyż wspomnianego cechu.

Na fotelu wypchanym słomą i dla większej pewności dościany przypartym siedział starszy zgromadzenia. — Pan Albin, obok niego pan Telesfor i jego pomocnicy.

Pan Albin Rozmiar Rozwaliński (imię i nazwisko starszego) powstał, nakazał milczenie i rzekł:

— Elegia na skon hrabiego Boletto — słyszałem, że już leży na śmiertelnym łóżku, sądzę, że dobrzeby było zacząć tak:

— „Ponury jęk, rozpaczy dźwięk, i żony stęk się wzmaga.“

— Ależ panie, do *wzmaga*, bardzo trudny rym.

— A — *blaga*, — zawołał tryumfująco pan Telesfor.

— Przewodniczący mówił dalej:

— Powzięliśmy nieomylną wiadomość — że prezesowa D* — i młoda hrabianka W* protegują literaturę; pierwsza wiérse religijne, druga lekkie. — Dla ostatniej można coś przekopijować z moich kwiatów fantastycznych lub krainy wesołości, — dla pierwszej panie Janie Busso coś z twoich godziniek pobożnych.

— Panowie dependenci; proszę się zabrać do roboty, trzeba tylko podyktować stosowne listy, proszę pisać panie Atanazy.

— *Do Prezesowej*. — „Pani! któraś już przeszła wiosnę swojego życia, — zapewne w czytaniu poważniejszych utworów, dobro religii mających na celu znajdziesz rozrywkę; — przeto załączając kilka tego rodzaju płodów literackich, prosimy o łaskawe ich przyjęcie. — (podpisano) Redaktor: Albin Rozmiar Rozwaliński. — Sekretarz: Telesfor Skaplerzyk.“

— Teraz do hrabianki: — „Pani! która zaledwie liczysz sobie siedmnastą wiosnę życia, nieobojętném zapewne okiem spoglądasz na świat ideałów — świat miłości — przeto płody

literackie tego rodzaju, które mamy zaszczyt złożyć jej w ofierze w manuskrypcie, zapewne jej przyjemną chwilę zajęcia przynieść zdołają.“ (Podpisy jak wyżej).

— Co się zaś tycze wyprawy na Instytut pana Pedanckiego urządź, ją w ten sposób należy.

— Ja wezmę na siebie mundur woźnego, który pan Agapit Kobyłko, obecny tu aplikant, pożyczycie zechce, od którego z oficyalistów swego bióra — i oświadczę dyrektorowi tego zakładu, iż jestem przysłany od naczelnika tego bióra, z prośbą, aby raczył przyjąć egzemplarzy 50 dla swoich wychowanków na nagrody, najnowszego mojego dzieła „*Kwiatów fantastycznych*. — Nie wątpię, iż ten z obawy narażenia się tak znakomitemu urzędnikowi — nie będzie się wahał ani na chwilę i 500 złotych jutro złoży do kasy naszego towarzystwa — egzemplarz bowiem 10 złotych kosztuje. — Czy dobry pomysł? — Brawo!!! wykrzyknęło całe zgromadzenie.

Artysta obuwia z przestachu szydło z rąk wypuścił.

Pan Dydak Kołdunkiewicz — mówił dalej Rozwaliński — jak tylko się uwolni z apteki, pójdzie na żydy i kupi świeżo wyszły romans Kocka — „*Mustasz*“ — w czterech tomach, i zanieś go Pułkownikowi L* — mianując się tłumaczem i pochlebiając mu w ten sposób:

— „Rozgłos powszechny wskazał mi JWPana, jako miłośnika i protektora przekładów słynnych francuzkich roman-sopisarzy — ośmielam się przeto ofiarować mu swoją pracę i jestem przy nadziei łaskawego przyjęcia.“

— Pan Telesfor uda się do Baletniczki Domicelli Barskiej i prosić ją będzie w moim imieniu, aby zebrała prenu, meratę na nowy romans w 5-ciu tomach i 30-stu poszytach z rycinami, nutami i popiersiem autora pod tytułem. — „*Zareczony rozbójnik, czyli Honor i Sumienie*,“ — przynajmniej z biletów 30 po 30 złotych.

— Ale, ale, Telesforze, Matylda mi nawiasem wspomniała że ma stryja wielkiego dziwaka, któremu trzeba tylko dobrze podbasować, aby się tego wypuczył; — u familii nigdy nie bywa

nikt się więc nie dowiē. — Mieszka na Lesznie w nowēj kamienicy pana B*.

— Teraz proszē dobrze pamieć na rozkład czasu.... ale, ale, pan Kobyłko uda się jeszcze do adwokata Suczyńskiego, który wygrał wielki process i jest obecnie przy pieniądzach, może więc sypnąć grubo.

— A teraz słuchajcie:

— Ja wybieram się jutro o 10-tēj, z rana do Instytutu pana P*.

— Ty Telesforze o 8-mēj wieczorem do baletniczki, która już o wszystkiē jest uprzedzonā. — Po jutrze zaś o 12-tēj z południa dostryja Matyldy. — Obecni tu panowie Kukusińscy przed udaniem się na próbę teatralnā wstąpiā do prezesowēj i hrabianki W*, a Dydak Kołdunkiewicz w Sobotę pōjdzie z romansami do pōłkownika L*.

— Cōż to za dzień dzisiaj mamy?

— Poniedziałek — krzyknęli wszyscy chórem.

— A wiec w Sobotę sprawozdanie.

— W tēj chwili autor nasz dorozumiawszy się z hurkotu krzeseł, ze zgromadzenie ma się rozejść, czempredzē opuścił mieszkanie szewca. — Ale w pośpiechu nie zauważał, że mu manuskrypt wypadł z kieszeni, i potoczył się na sam środek korytarza.

— Wychodzący jednocześnie starszy zgromadzenia pan Albin podniōsł zgubę i z uśmiechem zadowolenia wskazał ją kolegom.

— Panowie! manuskrypt pana Porywy, tego nam tylko było potrzeba.

— Bravo! zawołali chórem głodni literaci a pan Telesfor proroczym powiedział głosem.

— A więc sama Opatrzność sprzyja naszym zamiarom, papiery nasze poszły w górę.

— Wiwat! Albin Rozmiar Rozwaliński, nasz prezes.

Panowie! do łez mnie rozczulacie waszā dobrociā. — Panowie, jam niegodzien takiēj łaski, odparł Albin ocierając oczy końcem rękawa.

— Wiwat! wykrzyknęła jeszcze raz cała rada,

— Zdaje się mówił szewc artysta, że sąsiedzi nasi szan-pana gołą, ale cōś nie słychać, żeby korki strzelały.

VII.

Polowanie na Polujących.

Nie tajno ci panie Edwardzie, mówił nasz autor do brata pani Matyldy, gdy nazajutrz zeszli się z sobą w jego mieszkaniu, jakie niebezpieczeństwo zagraża twemu domowi przez wpływ dwóch szarlatanów.

— Albin i Telesfor, to dwaj współzalcznicy odgrywający zręcznie rolę oszustów w domu, gdzie im otwarto wrota gościnności i cieszących się niestety dobrem powodzeniem swego dzieła. — A my... my!... obojętnem okiem spoglądamy na to i niemal w obliczu świata potakujemy ich niecnym zamiarom. Panie Edwardzie! — ty wiēsz wiele ja mam obowiązków wdzięczności dla twojēj rodziny. — Ty wiēsz ile się twój ojciec do szczęścia moich rodziców i mego własnego losu przyczynił. — On to wyprowadził z krytycznego położenia mego ojca i synowi przyszłość zapewnił, łożąc na jego wychowanie. — Tobie to wiadomo wszystko panie Edwardzie, a więc czujesz jak wielkim jest obowiązkiem przyjąć udział w losach twojego domu i za jak szczęśliwego uważać się powinienem, że oddalając burzę mu grozącā, mogę choć w części odwdzięczyć się za doznane dobrodziejstwa.

— Przestań panie Porywa, zawstydzasz mię temi wspomnieniami, ot lepiej powiedz mi, czē się trudni Albin i Telesfor.

— Jednē i tēm samēm rzemiosłem — grabieżā i złodziejstwem literackiē.

— Wytkōmacz się panie Adamie! Niepojmuję.

— Sā oni naczelnikami tēj sekty wykpięroszów, o których panu wspomniałem, sā to wyrzutki społeczeństwa, którzy mszcząc się za swoje upośledzenie, rzucają się na wszystkie

sposoby przemysłu, lekceważą wszelką podłość, aby tylko ciągnąć zyski z łatwowiernej czytającej publiczności — to szarańcza próżniaków, która niszczy bezkarnie literacką niwę.

— Unosisz się za nadto panie Adamie, nędznicy ci niegodni są iskry zapалу, kropelki krwi zepsutęj. — Powiadasz więc, że Albin i Telesfor są to dwaj godni siebie współzawodnicy, myśliwi literacy, miłośnicy polowania na prenumeratorów, które w tych czasach zawiązało się w kraju.

— Herszty całej bandy myśliwców.

— Ha! — więc jestem w domu, od razu zważałem co to za ptaszki, jutro powyrzucam za kołnierz obydwóch.

— Hola panie Edwardzie, więcej trochę zimnej krwi i roztropności. — Nędznicy ci sami wpadną w zastawione przez siebie sieci.

— Jakim sposobem? mów pan jaśniej.

— Tu nasz autor opowiedział uprojektowany plan polowania na Instytut i inne tego rodzaju zamachy.

— Słuchaj panie Adamie, dobra myśl, zaprowadzę tam siostrę moją i siostrzenicę — a dyrektor Zakładu, który jest naszym dobrym znajomym, ostrzeżony przez nas, przygotuje się do roli, którą przybierzemy.

— Właśnie to jest i moje zdanie, złapać oszustów na gorącym uczynku, widok ich podłości rozczarować powinien exaltowane uczucia naszych dam, zedrze ułudną maskę, którą ich szalbierski przemysł był dotychczas pokryty i zamiast korzyści, którą spodziewali się osiągnąć swoim kuglarskim wpływem, czeka ich wzgarda i pośmiewisko.

Mówisz jak Metternich drogi Adamie i warteś, aby cię uściskać serdecznie, kto w tobie znalazł przyjaciela, może być pewnym siebie i nie lękać się żadnej zdrady i oszukaństwa. Masz moją rękę, zgóry zgadzam się na wszystko.

— A więc do dzieła, spieszymy przeszkodzić zameżczeniu panny Julii z Telesforem Szkaplerzyk.

— Tak, jeśli go tylko wprzód do kozy nie wsadzą — policja nie śpi.

Milczenie i tajemnica! to nasze hasło, panie Edwardzie!

I rozeszli się.

VIII.

Autor nasz ścigając polującego, zostaje zepchniętym ze schodów.

— Na ulicy Leszno mieszka prezesowa D* — jest to matrona słynąca w okolicy z pobożności, bo są tacy, którzy utrzymują z zajądlnością, że prezesowa tak świątobliwe życie prowadzi, że nie je, nie pije dzień cały, ale się karmi duchową strawą.

Była godzina dziewiąta z rana. — Prezesowa ubrana cała czarno, zabiierała się do wyjścia, gdy wtém dzwonek rozgłośnie zabrzmiał w przedpokoju.

Prezesowa drgnęła.

— Kto tam Weroniko! — zawołała wzruszonym głosem.

Panna Weronika, o trzy lata tylko starsza od swojej pani, bo dopiero siedmdziesiątą trzecią wiosnę swojego życia liczyła, była to nieoszacowanej wartości służąca, albowiem z łatwością widziała to, co nosem namacać mogła i słyszała to tylko, co jej do ucha trąbiono.

Niedziw więc, że uderzenie dzwonka wzięła za świst wiatru i pośpieszyła udzielić pani swoje zdanie.

— To nie wiatr, to coś musiało spaść z szafy Weronisius, zobacz no z łaski swojej.

Zanim panna Weronika zdecydowała się, czy bez podpory kija można odważyć się na długą aż do przedpokoju wędrówkę, jakiś człowiek ukazał się we drzwiach, a tém samém zastąpił jej drogę.

— Jezus! Marya! Józefie święty! zawołała przełękciona służąca, robiąc znak Krzyża świętego, pani! ktoś obcy wszedł do pokoju.

W téj chwili Jan Busso niezważając na nieprzyjazne dla niego usposobienie domowników, wszedł do pokoju prezesowej uroczystym powiedział tonem.

— Jasnie wielmożna pani! — adresowany do niej list z redakcyi, mam honor doręczyć do rąk własnych.

— A to z zakrystyi, wybaknęła Weronika, ochłonawszy nieco z przestachu.

— Prosić tu do mnie pana sekretarza Ślipowskiego, powiedziała prezesowa, w której łagodne rysy twarzy oddawcy, obudziły zaufanie.

Niebawem pan sekretarz wszedł poważnie do pokoju.

— Jakis list do mnie, proszę przeczytać.

— Sekretarz miarowym głosem czytał co następuje:

— „Pani! — która zaledwie siedmnastą wiosnę życia liczysz sobie, nieobojętném zapewne okiem spoglądasz na świat ideałów, świat miłości, przeto płody literackie, tego rodzaju, które mamy zaszczyt załączyć w manuskrypcie, zapewne jęj przyjemną chwilę rozrywki przynieść zdołają.”

Busso struchlał.

Pomyłono koperty, list hrabianki dostał się prezesowej.

— Panie sekretarzu, za drzwi tego impertynenta — ja się mam zajmować ideałami? ja miłością? — Święty Pafnucy! mój patronie wybaw mię od złego. — Za drzwi, za drzwi tego impertynenta, to pewno roznosiciel paszkwilów.

Weronika spoglądała na wszystko osłupiałym wzrokiem.

Pan Busso wyleciał jak oparzony, ale na schodach wpadł na jakiegoś człowieka, właśnie wchodzącego do prezesowej i przez to skarambulowanie się obydwaj potoczyli się na sam dół.

— Pan Busso! Pan Porywa! zawołali obydwaj w sieni, ocierając kurz i prostując potłuczone nogi.

— Pewno pan od prezesowej, rzekł nasz autor z przekąsem.

A pan śpieszysz zapewne do niej, jeżeli liczysz na jęj szkatułę, to lepićj zawczasu zwiń chorągiewkę.

— Wziął mię za swojego kolegę, pomruknął nasz autor, nateraz pozostawimy go jeszcze w błędzie.

— Na ulicy spotkał się Busso z panem Kobyłko, którego nos czerwony był jak burak, zapewne także ze zbytku wzruszenia.

— Nic z interesu u Hrabianki, krzyczał jeszcze z daleka chaniebna pomyłka! psami mnie wyszczuć kazano.

— No przynajmniej nie ze mnie jednego śmiać się będzie pan redaktor, odpowiedział, zadowolony z siebie autor książki pobożnej.

IX.

Baletniczka przyjmuje udział w polowaniu na prenumeratorów.

W rzesisto oświetlonych salonach, artystki baletu Barskiej, zebrała się cała modna młodzież stolicy, która opuściwszy przed chwilą arystokratyczne salony swoich etykietałnych członków familji, z lubością napawała się balsamiczną atmosferą, którą nadobne zwolenniczki Terpsychory, dzięki paczuli i olejkom różanym, szczerze rozsiewały w około siebie. Był to jeden z improwizowanych wieczorów u oblubienicy całego wyższego tonu polskiej Dyany de Poitiers, która w niczem nieustępowała ideałom Dumasa.

Dyana nasza była otoczona orszakiem Dyaneek, które w miarę postępu swojego na deskach teatralnych rosły w opinii modnego tonu.

— Słyszałeś tam co moment imiona: Lipcia, Pipcia, Hipcia, Monszercia i t. p.

Młodzież nasza, a raczej jak ją nazywają kwiat młodzieży; była w brylantowym humorze.

Mogła dowoli wytańcować się z Hipcią, wyczałować Pipcią w antraktach, wygadać się z dowcipną Lipcią i odprowadzić do domu Monszercię i to wszystko odbywało się z towarzyszeniem muzyki wokalnćj i instrumentalnćj.

Nadeszła nareszcie pora, kiedy rozogniły się twarze, zagrała namiętność w piersi.

Festyn był na schyłku — szampan lał się strumieniem.

W tém Dyana zgromadzenia — panna Barska, wzniosła w górę ozdobnie oprawną książeczkę i gustownie złotem wyszyte pióro łabędzie.



— Panowie! zawołała, oddawna pragnęłicie dać mi dowód przyjaźni zapisaniem swoich nazwisk na pamiątkę do mojego album, dziś odebrawszy je, czekam spełnienia się moich życzeń.

Cała na wpół pijana rzesza, rzuciła się jak sęp na album baletniczki.

— Ostrożnie, ostrożnie panowie po kolej, bo nikomu się moje album nie dostanie.

Każdy więc przystępował z porządku i na różowej stronicy z tryumfem kładł swoje imię.

Przeszło 50 podpisów zebrało się na kartce z złożonemi brzegami, wtedy wesola baletniczka parsknęła hucznym i rozgłośnym śmiechem, który trwał przez chwilę.

— Cha! cha! cha! — a tom ich złapała, panie Telesforze 1,500 złotych przybyło panu za prenumeratę. — Panowie! przypatrzcie się, w jakieście się album zapisali i tytułową kartkę wskazała zgromadzeniu; na niej złożonym charakterem było napisana: — „Własnoręczne podpisy JO., JW. i W. prenumeratorów na romans obyczajowy pod tytułem: „Zaręczony Rozbójnik, czyli Honor i Sumienie,“ tomów 5, z ryciną i portresem autora — cena złp. 30.

— Panowie! proszę o przedpłatę, a tu są bilety prenumeraty i podała im 50 biletów na glansowanym papierze w złożonej oblamce.

— A to nas podeszła filutka, przysięgłbym, że się w jej album zapisał, powiedział hrabia Artur.

— A tak, introligator bardzo trafnie naśladował — nie ma co mówić.

— Ha, mniejsza o to — zawołało zgromadzenie, dobywając sakiewek, wszakże my jesteśmy znani jako miłośnicy i protektorzy literatury. — My!...

X.

Polowanie na instytut prywatny.

Na jednej z ulic pryncypalnych miasta istniała nader wzięta pensja mężka o czterech klassach pod zarządem pana Pedanckiego będącego. — Tam to pięknego poranku 184* roku we Czwartek o godzinie dziesiątej z rana, odbywała się następująca scena:

Pan dyrektor pensyi, oczekując zapewne gości, kazał uprzątnąć starannie salon swego mieszkania, i o godzinie dziesiątej z rana, czekał gotów zupełnie na ich przyjęcie.

Niebawem dwie damy, w towarzystwie dwóch mężczyzn, pokładając się od śmiechu wbiegły do salonu, i wesoło podając rękę gospodarzowi, zawołały:

— Czy go nie ma jeszcze?

— Nie, lecz pewno zaraz przyjdzie, proszę państwa do sąsiedniego pokoju.

W tém dzwonek dał się słyszeć.

— Uciekajmy! krzyknęły damy.

I w okamgnieniu salon był pusty.

Dyrektor wyszedł na spotkanie gościa.

Był to woźny.

— Czy to dla mnie ten pakiet, rzekł, spoglądając na dwa rzędy książek, które woźny miał podpachą.

— Proszę dalej, — i poprowadził woźnego do salonu.

W téj chwili przytłumiony szept dał się słyszeć się w sąsiednim pokoju, — dyrektor naumyślnie sztuknął krzesłem, aby go zagłuszyć.

Woźny donośnym głosem zaimprowizował.

— Naczelnik bióra naszego pan B* znając jego dobre chęci dla Zakładu pod pańskim zarządem będącego, przysłał pięćdziesiąt egzemplarzy świeżo wysłanego, bardzo pożytecznego dziełka, które podług własnego wyboru, przeznacza na nagrody dla przykładnych wychowanców Instytutu, egzemplarz kosztuje tylko 10 złotych, pomimo, że książka ozdobiona ryciną — tytuł bardzo moralny — *Kwiaty*.

— A czy wolno zapytać kto jest jego autorem?

— Imię jego zasłużone jest w literaturze — jest to Albin Rozmiar Rozwaliński.

— Ależ gazety nie bardzo pochlebnie o nim wspominają.

— Gazety kłamią, ja sam znam autora — odczuwał się mniemany woźny, zapominając swęj roli; w obronie obrażonej miłości własnej.

— Jakto? zawołał dyrektor niby zadziwiony, pan woźny ma stosunki z autorami.

Zmieszał się nieco zagadnięty, ale po chwili odparł spokojnie

— My woźni wszystkich znamy, często nam się zdarza mieć interesa.

W téj chwili głośny śmiech dał się słyszeć w sąsiednim pokoju i dwie damy wybiegły — pokłaskując wesoło:

— Winszujemy panie Albinie Rozwaliński nowego urzędu, po co to się było tak długo zapiérać — panie dyrektorze, masz pan nieśmiertelnego autora Kwiatów przed sobą.

— Witam, rzekł dyrektor z głębokim ukłonem.

Albin stanął jak skamieniały.

— Pani L*, Julia wykrzyknął przerażony.

— Cóż to, a innych znajomych pan niepoznajesz, zawołali jednogłośnie nadchodzący jednocześnie pan Edward i nasz autor.

— Pan Edward, Adam Porywa! zginałem, i upuściwszy pakiet z książkami na ziemię, nasz woźny z wielkiem zadziwieniem służących, wybiegł z salonu i rzucił się jak obłąkany na schody.

Kiedy pani L* zanosila się od śmiechu nad upokorzonym swoim autorem, na twarzy Julii odbił się wyraz litości.

— Za srogośmy go ukarały, droga mamo — wyrzekła z czułością.

— Pani! powiedział uroczyście autor — są ludzie, którzy niegodni są naszej litości, bo są podli; i pan Telesfor należy do ich rzędu.

Zadrzała dziewczica.... dziwne na nią te słowa wywarły wrażenie.

— Jak to, i on także? — zapytała ze drżeniem.

— Opatrzność dozwoli, że się pani przekonasz o tém.

— O zniechędziłabym go! pogardziła jak nikczemnym, płazem...

Nikczemność więc choć w części ukaraną zostanie — powiedział Porywa.

* * *

*

XI.

Nasz autor ocala od śmierci pewną ofiarę polowania, okładając jęj plecy pięścią.

Stryj Matyldy dziedzic dóbr Pastwiska, słynął w całej okolicy z swego sknerstwa i obżarstwa. Te dwie tak sprzeczne wady stanowiły odznaczającą się cechę jego charakteru. Odebrawszy znaczną po ojcu spuściznę, strzegł pieniędzy jak oka w głowie, ciukał je z skrzętnością mrówki, ale to wszystko wiedziony jednym celem życia, jedną myślą, aby żołądek jego nie doznał nigdy niedostatku. Jak świętość jaką trzymał w domu kalendarze, ale dla tego tylko, że na próżnych kartkach, notował najwyszukańsze jadłospisy, chcąc z kalendarzową dokładnością rozrządzić się na cały rok w ważnych sprawach gastronomicznych. Chciałeś mieć u niego łaski — wspomnij mu o nowo wynalezionej potrawie, przyrzecz dostawić jęj przepis.

Autor nasz od kilku dni odnowił znajomość z dziedzicem i dostarczywszy mu wyborowy przepis na przyrządzenie szpinaku z omletem, zyskał sobie jego przychyłność.

Ale że omlet zbyt się delikatną wydawał potrawą naszemu gastronomowi, chciał pewnego razu spróbować, jak on smakuje z pieczenią wołową.

Kazał więc sobie przygotować jedno i drugie na śniadanie i w chwili zaczęcia naszego rozdziału, zabrał się z rozkoszą do smacznej uczty — gdy o złowrogie fata, za ledwie zapchał usta sporym kęsem pieczeni, wszedł niespodzianie pan Telesfor i powiedział.

— J. W. Dziedzic jako miłośnik i protektor literatury zapewne raczy wziąć bilet prenumeraty. Niedokończył — twarz dziedzica posiniała, jakieś charczenie dało się słyszeć w gardle.

Dziedzic z przestachu połknął cały kawał i dławił się stopniowo — życie jego wisało na włosku, gdy nagle drzwi się

otwierają. — Wchodzi autor pod nieszczęśliwą urodzony gwiazdą i zapobiegając nieszczęściu, zaczął silnie okładać pięścią plecy dziedzica.

— Aaaa!! odetchnął z ciężkością dziedzic, przełknąłem! uratowałeś mnie panie Porywo, niech że cię uściskam! i zaczął serdecznie całować swego zbawcę.

— Pan Telesfor nie tyle się przełękł skutku sceny, ile widoku naszego autora.

— A więc i tutaj cię znajduję prześladowco! wyrzekła z niepochamowanym gniewem, zawsze i wszędzie! więc tyś to nasz wróg nieubłagany. — O poczekaj! uczynimy cię wkrótce niezdolnym do szkodenia! — O wkrótce, wkrótce!

I Telesfor wybiegł jak opętany.

* * *

W parę godzin potem pan Telesfor korzystając z nieobecności naszego autora w domu sędzinęj, udał się do altany ogrodowej i trzykrotnym umówionym kłaśnięciem dał znak Julii, że się stawil na rendez-vous.

Za danym znakiem dziewica ukazała się w altanie.

Twarz jęj była blada, oko lżą zamglone.

— Telesforze, wszystko między nami skończone, ja nie chcę, ale muszę wierzyć podejrzeniu. — Tyś mnie zdradził niegodnie.... twój stryj nie istniał nigdy, — losy twoje osłonięte są haniebną tajemniczością — czyż to się godzi tak nadużywać mego zaufania!

— Julio! Julio! zawołał Telesfor z dramatyczną pantomimą, jakiś nikczemny oszczerca oskarżył mię przed tobą, o czyż mię możesz posądzić o zdradę, mnie, com tak czyste miał zamiary.

— A więc po cóż ukrywasz przedemną sposób twojego życia — zarobkowania. — Miałżebyś podobnym jak Albin trudnić się rzemiosłem.

— Fałsz, kłamstwo, ja nie wdaję się w oszukaństwo.
W tém jakieś głosy dały się słyszeć w ogrodzie.

— Wyjdźmy z tad Telesforze, nie dajmy powodu do obmowy, podaj mi rękę i przejdźmy się nieco.

— Dziwi cię zapewne moja pani siostrzenico, co mnie tutaj po tak długiej niebytności sprowadza; oto, chciałem ci opowiedzieć okropny wypadek. — Gdyby nie ten pan, mówił dalej wskazując na swego towarzysza, byłiby mnie jak dwa razy dwa — cztery — pochowali.

— Przerażasz mnie mój stryju. — cóż to było takiego?

Oto jakiś wykpi grosz przyszedł z prenumeratą — a ja zląkwszy się, że mi przyjdzie może, grosz ciężko zapracowany w błoto rzucić, o mało co się nie udawiłem. — Ale ten pan, jak mi jął plecy okładać, to aż mi łzy w oczach stanęły. — A był to jedyny środek ocalenia — Mój dobrodzieju! niechże cię uściskam! O gdybym napotkał tego wykpi grosza, tobym mu sownie zapłacił za moją biędę. — Ale co widzę... To on!... I nasz mówca szeroko rozdziawił gębę.

— Jakto, to pan Telesfor! zawołała szydlerczo sędzina. Poszedł za przykładem pana Albina. — Winszujemy! winszujemy!

A więc nieomyliło mię przeczucie, zawołała Julia z boleścią. — Nikczemnik zdradził moje zaufanie. — Któż mię teraz zasłoni od obmowy?

— Ja! — odpowiedział autor pod nieszczęśliwą urodzoną gwiazdą.

XII.

Jak to pewien bankier wykpiwszy się od prenumeraty,
sto złotych na drzewo dla ubogich zapłacił.

Kto nie zna bankiera Pures?

Któż nie słyszał jaki on bogaty — jaki ma prześliczny powóz — co za pyszna liberya jego ludzi?

Do kogo się udać radzą po jałmużnę — po protekcyę — po list polecający? — Do bankiera Pures!

Przy czyjem ukazaniu w łoży powstał szmer w teatrze? — Czyje imie wymówione pokilkakrotnie? — Bankiera Pures!

Tacy bankierzy rodzą się zazwyczaj w małych miasteczkach... a umierają w stolicy....

• Urodzenie ich otacza bieda.... niedostatek.... nędza....

Przy śmiertelném łożu stoją na stoliku — złożone flaszciki od lekarstw — ze złożonemi etykietami.

Salony napełnione są niezliczonym orszakiem krewnych i przyjaciół.

Wszyscy płaczą jak najęci — a najgłośniej ci, którym szcudrośliwość nieboszczyka znaczne darowizny w ostatniej woli zapewniła.

Na drugi dzień całe miasto mówi o sutym pogrzebie bankiera Pures — gazety sławią jego cnoty, wynosząc zasługi zawcześniej zmarłego (choćby nawet on był w sześćdziesiątym roku życia) pod niebiosą, stawia mu nagrobek skropiony łąką tysiąca tysięcy, a w rok potem imię jego figuruje tylko w archiwach handlowych. — Świat dawno zapomniał o nim

* * *

Bankier Pures wstał w bardzo kwaśnym humorze — pan M. N., albo Z., od którego bardzo wiele zależy... nie podał mu ręki na balu. — Panna Ifigenia... od której także bardzo wiele zależało, spojrziała na niego krzywo. — Pan Biedowicz albo Biedulski nie spłacił na termin wexlu. — W tém oznajmiono wizytę pana Kołdunkiewicza.

— Niech wejdzie, powiedział bankier cierpkim tonem.

— Rozgłos powszechny wskazał mi pana, jako miłośnika i protektora literatury — śmiem więc upraszać.

Nie dodał Jaśnie Wielmożny, nie będzie miał skutku pomruknął lokaj podsłuchujący za drzwiami.

— Ja żadne prenumeraty nie przyjmuję — żadne... żadne...



— W tej chwili drugi posłaniec ukazał się w pokoju.

— Jaśnie wielmożny pan bankier, czy nie raczy co udzielić z łaski swojej — na drzewo dla ubogich — wszystkie datki będą zamieszczone w Kuryerze.

— Proszę tylko wyraźniej nieco jak w przeszłym roku — i bez pomyłek w imieniu i nazwisku. — Oto sto złotych...

— Najpiękniej, najwyraźniej wydrukujemy, odpowiedział posłaniec, kłaniając się nisko.

— Nie domyśliłem się dodać jaśnie wielmożny.... nie domyśliłem się wspomnieć iż lista prenumeratorów drukowaną będzie.... — Dobrze ci tak ośle mówił nasz myśliwy literacki, uderzając się w czoło.... straciłeś sto złotych.

XII.

Jako pewien hrabia za życia przeczytał elegię na śmierć swoją napisaną.

Hrabia Boletto ciężko zachorował. — I słodka jak śpiew Syreny melodia, zabrzmiała w uszach jego spadkobierców w słowach: „Hrabia chory na tyfus.“

Z czego ułożono sobie proporeję, że tak się mają miliony hrabiego do kieszeni jego krewnych jak tyfus do X.

A ten wyraz niewiadomy coraz się stawał głośniejszym, i matematyczną swą formę miał zmienić na wyraz „śmierć!“

Otóż, skoro ten wyraz wytłómaczonym został, hurmem się cisnąć zaczęli nieutuleni w żalu, do łóża hrabiego — chcąc tam boleść swoją widokiem testamentu uśmierzyć.

Ale nielitościwa małżonka umierającego — dawno go już ukryła w zanadrze. — Śledcze spojrzenia wypatrywały tylko jakieś rachunki ołówkiem popisane, z których wyczytać można było: Za trumnę wybitą axamitem ponsowym z złocistymi frendzlami.... za katafalk.... sześć konwentów księży.... msza żałobna za pokój duszy zmarłego.... za...

— Elegię na skon tak znakomitego i zasłużonego męża.... jakim był ś. p. małżonek jaśnie pani (hrabia już od kilku godzin leżał bez najmniejszego znaku życia... po mieście więc gruchnęła wieść, że przeniósł się do wieczności) towarzystwo literackie ma zaszczyt złożyć pani Hrabinie w ofierze — odezwał się w tej chwili jakiś młodzian czarno ubrany, który z uroczystą powagą zbliżył się do wdowy po jaśnie wielmożnym nieboszczyku, spodziewając się wdzięczności hrabiowskiej.

— Panie! odpowiedziała hrabina, tonąc we łzach, — pamięć mojego ukochanego męża, tyle mi jest drogą, że nie masz ofiary, którąbym się poświęcić wahała. — Czém mogę służyć państwu za ich szlachetne chęci?..

Zapisaniem się na prenumeratę dzieł, na wzrost i postęp literatury krajowej wpływających — i czarno ubrany mężczy-

zna, w czarny axamit oprawną listę podał rozpaczającej wdowie. — Jaśnie wielmożna pani, pierwsza raczy położyć swoje znakomite imię.

— Z przyjemnością to czynię i z tym większym zapalem, że pamięć mego męża jest mi bodźcem do tak pięknego czynu.

Czarny twórca Elegii, sięgnął do kieszeni i wydobył bilet prenumeraty w czarnej obwódce.

Hrabina spojrzała na cenę i skrzywiła się nieco; aż sto złotych poszepnęła z niechęcią.

— Pan! odezwał się autor elegii — tak mały koszt zapewne jęj nie sprawi różnicy.

— O! niema wydatku, którego bym dla nieodżałowanej pamięci męża mego nie poświęciła. — Proszę!...

— Dziękuję — dziękujemy i paperek spoczął w kieszeni agenta towarzystwa literackiego.

Hrabina przyklękła — bilet i elegię złożyła na stoliku stojącym przed łóżkiem zmarłego i powstawszy przebaknęła.

— Przynajmniej świat nie obwini mię, że za mało ceniła pamięć nieboszczyka....

— Tym razem nietylko świat, ale i mąż własny przyznał jęj słusność.

— Niespełna bowiem w godzinę potem, nasz żywy nieboszczyk otworzył oczy. — Letarg tyfusowy w błęd wszystkich wprowadził.

Koniec letargu zwiastował przesilenie się choroby. — Nastąpiła zmiana dekoracyi — wszyscy otaczający łoże hrabiego — płakali... ale z radości!! — A hrabia cieszył się, że ma tyle przyjaciół. — W tém wzrok jego padł na stolik, i ze zdumieniem przeczytał:

„Elegia na skón nieodżałowanej pamięci JW. hrabiego Boletto.“ — w sile wieku zgasłego....

— A to co?!... zawołał słabym głosem hrabia, w którego piersi zagrało uczucie bolesnego zadziwienia. — Czyż mię chciano żywcem pochować?... ale zobaczymy?... jakiś świstek, ten może nam wytłómaczy zagadkę.

Świstek mniemany obejmował:



„JW. hrabina.... zaprenumerowała: Nieśmiałego kochanka.... Pawła de Kock....“

— A! rozumiem.... moja żona po śmierci dopiero moję chciała się zająć literaturą i rozpoczęła od elegii i romansów. Pocziwa ta moja żona?!...

Krewni hrabiego zwątpili o pewności proporecy.

XIV.

Zbieg mści się nad adwokatem, który wcale niegrzecznie przyjął polowanie na siebie.

Każdy człowiek ma swoje widzimisie, nikt z nas nie jest bez ale: te słowa, powtarzali stronnicy Adwokata Suczyńskiego

dowcipnisiom; którzy na ząb brali szanownego obrońcę prawa, za to iż zwykł był do awantur nawet posuwać się z klientami, którzy śmieli przychodząc do niego, albo drzwi nie zamknąć, albo też psa przyprowadzić z sobą.

Ale że nasz adwokat słynął w mieście z pomyślnego prowadzenia spraw, wszyscy garnęli się do niego i strzegli się przestąpić przyjęte w tej mierze zasady.

W tej właśnie chwili adwokat, o którym mowa, wygrał bardzo zawikłany process i przyjmował powinszowania swoich przyjaciół!

Ale że się godzina dziesiąta zbliżała, a jest to zwykła pora sądów, pokój adwokata wkrótce został wypróżnionym i on sam zabierał się do wyjścia.... gdy pan Dezydery Kobyłko ukażał się w pokoju i o zgrozo! bojąc się utracić sposobność mówienia z adwokatem, z wielkiej skwapliwości drzwi nie zamknął, i ogromny łańcuchowy brytan wpadł za nim do pokoju.

Pobladł z gniewu adwokat — marszczki zorały wypogodzone przed chwilą czoło, i z gorączkową niecierpliwością czekał co mu niebaczny przybysz oznajmi.

— Rozgłos powszechny, wskazał mi JW. pana jako miłośnika i protektor a literatury. — Ja więc jako jeden z autorów..

Najbezczelniejszych najniesforniejszych.... psa mi sprowadził.... drzwi nie zamknął. — Wynoś się pan pókiś cały... bo sowicie odpłacę ci za zniewagę — którąś mi wyrządził.

W tém pies wskoczył na biórko w zamiarze schwycenia sucharka pozostałego na tacy stojącej przy serwisie do kawy, i serwis z rozgłośnym brzękiem upadł na ziemię.

Hultaje rozbójnicy!... krzyczał adwokat z zapamiętałością i silnie zadzwonił.

Zbiegła się cała służba.

— Precz mi z oczu tych łotrów — wyrzucić ich na złamanie szyi.

— A! to pan adwokat, tak się obchodzi z literaturą i to wszystko z powodu jednego psa... Poczekaj no mości panie! będziesz ich miał więcęj....

Nazajutrz czytano w jednej z gazet Warszawskich.

— Przy ulicy Zapiecek na pierwszym piętrze od frontu urządziłem na stopę zagraniczną wielki zakład obuczania psów, — najpiękniejszych sztuk, o czém zawiadamiając Szanowną Publiczność, mam zaszczyt nadmienić, iż znajduje się u mnie dobór najwyszukańszych wychowanców psiego rodu, mianowicie: buldoków, pudłów, taksów amerykańskich, szpiców, wyżłów, chartów, które skaczą i szczekają na zawołanie, sztucznie umieją kręcić ogonkiem, łasić się, albo kąsać, chodzić na dwóch łapkach, trzymać chleb na nosie, kraść pieniądze z kieszeni, apportować, warować, zdechnąć na zawołanie i t. d. Ciekawe doświadczenia tego rodzaju, odbywają się u mnie codziennie za włożeniem co łaska do puszki dla ubogich, przed dziesiątą i czwartą a szóstą z południa, w którym to czasie mię zastać można załatwiającego wszelkie interesa mego przemysłu. — Prokop Suczyński, ulica Zapiecek, na 1-szem piętrze od frontu

* * *

Zaledwie różanna jutrzienka, koralowemi usty dotknęła się czarnego nocy oblicza, i rozegnała jęj cienie (wyrażenie pożycone), gdy adwokat silném pukaniem wyrwanym został z objęć Morfeusza.

— Kto tam zawołał z niecierpliwością.

— Proszę otworzyć, — pilny interes.

Niebawem jakiś człowiek wszedł do pokoju, prowadząc dwóch psów uwiązanych na sznurku.

Adwokat wzdrygnął się i zerwał jak oparzony z łóżka.

— Czego chcesz hultaju! zawołał piorunującym głosem.

— Moja pani, obywatelka ze starego miasta, słysząc, że pono jegomość robi uczonych psów, przysłała dwóch swoich faworków.

— A ty wisielcze! ty łotrze z szubienicy zdjęty! — Ja mam psów uczyć! Ja adwokat! — Poczekaj, dam ja ci!!! —

W tém psy przestraszone groźnemi ruchami adwokata, zaczęły wyć przeraźliwie, a jeden z nich śmielszy, łapami się oparł o brzuch jego.



Gwałtu! krzyknął adwokat, dla którego to było ukaszeniem osy.

Na krzyk swego pana zbiegli się służący.

W tém dwóch officerów i dama w zielonych okularach weszli z gazetą w ręku. — Za drzwiami słychać było szmer podobny do brzęczenia pszczół w ulu — i dały się słyszeć urywkowe słowa....

— Pójdźmy... pójdźmy.... sztuki się już pewno rozpoczęły.

Była to zgraja uprzywilejowanych uliczników miasta, która cisnęła się na przedstawienie bezpłatne.

Wkrótce drzwi mieszkania adwokata rozwarły się na rozcież, i tłum obszarpańców odprowadzał jakąś damę, otoczoną piskliwą konsolacją piesków.

— Panie Suczyński! puszę nam pokazać buldoka.

— A mnie szpica.

— Mnie taxa.

— Ciekawy jestem — jakich ten szarlatan ma chartów, pewno kundlów ochrzcił tém nazwiskiem, mówił jakiś szlachcic z marsową miną.

Adwokat trzymał oburącz głowę — w uszach mu szumiało.... cały pokój kręcił się z nim jak fryga.

— Panowie! mówił rozpaczającym tonem. — Ja nié mam psów. — Ja adwokat!...

— Kłamie! zawołał jakiś głos w tłumie, musi mieć do czynienia z psami — kiedy ludzi jak psów traktuje.

Adwokat powiódł obłąkanym wzrokiem w stronę, z kąd głos dochodził i poznał literata, który mu pare dni temu oddał pierwszy z psem wizytę.

— A rozumiem, rozumiem, zawołał, ten człowiek kasać jeszcze lepiej jak pies potrafi.

Pomyłka trwała jeszcze kilka godzin.

Skutkiem coraz gwałtowniejszych scen, policya przymuszona była zająć się rozpędzeniem psów i motłochu.

Adwokat służył długo za przedmiot uszczypliwych żartów i złośliwych dowcipków i nie pokazał się dnia tego na sądach — trzy sprawy jego spadły z wokandy. — Sędzia pewien tak się zapomniał — tak mu przygoda adwokata utkwiała w pamięci, że kiedy go się zapytano o zdanie w pewnej sprawie: — „co robić z psem, którego właściciel o nieprawne posiadanie przekonany został?“ odpowiedział z roztargnieniem: — „Oddać go na naukę do Suczyńskiego.“

Cała ta sprawa kosztowała pana Kobyłkę złotych pięć.

XV.

W którym nasz autor usłyszał o tłumaczu dzieł francuzkich nieumiejących czytać po francuzku.

Byłych wojsk polskich pułkownik L* wziął sobie za zasadę prenumerować każde bez wyjątku dzieło, przyjmować bez namysłu każdy, chociażby tuzinkowy utwór współczesnej literatury, a cò więcćj wpuszczać bez zameldowania każdego tuzinkowego literata, ale to tylko w jednym bezwarunkowym przypadku — gdy był w dobrym humorze.

— A dobry humor jego znamionował się kwitnącym stanem szkatuły. — Biada mieszkańcom Parnasu, jeśli który z nich przybył w chwili, gdy kieszeń jego zachorowała na galopującą epidemję. — Pułkownik nieoszczędzał wówczas nikogo. — Każdego częstował gorzką pigułką rozlanej żółci, którą bez szemrania połykać musiała najprzód jego żona, familia, a później cały orszak domowej straży, czuwający nad bezpieczeństwem jego ciała i jeśli wówczas zjawił się jaki Muz wychowawiec — zamiast brzęczącej monety, dostawał pigułki.

Otóż nasz pułkownik obudził się pewnego razu o bardzo wcześnej godzinie, albowiem brakowało jeszcze minut dziesięć do jedenastój, a więc na pięć kwadransów prawie przed godziną, o której zwykł był wstawać. — I pierwsze jego spojrzenie padło na szkatułę. — Jaki tam był rezultat jego obserwacyi nie wiem, dość, że niedługo potem wszyscy domownicy chodzili z nosami strasznie spuszczone na kwintę, z kąd wyniknął bardzo smutny wypadek, że nos starszej siostry gospodarza panny Barbary, przedłużwszy się za nadto uwiązał w imbryczku od kawy i poparzył się srodze. — W téj chwili jakby na domiar fatalności, pan Dydak Kołdunkiewicz uwolniwszy się z dżuru w aptecę — wszedł z czterema nierozciągniętymi jeszcze tomami pod pachą.

Służący osłupieli i z przerażenia nie tamowali mu przejścia.

Pierwszy aplikant z apteki wszedł do gabinetu rozjendycznego pułkownika, ale zmieszany groźnym wyrazem jego twarzy, wybełkotał tylko ostatnie słowa przygotowanego frazesu.

— Jaśnie wielmożny pułkowniku!... jestem przy nadziei... jestem przy nadziei!...

— Kto?... pan, zawołał pułkownik grzmiącym głosem.

— Ja, — ja.

— Co pan za jeden?

— Tłumacz dzieł francuzkich.

— A dobrze, żem choć jednego z waszćj bandy napotkał, zawołał pułkownik wpadając w coraz większe uniesienie, — jak śmiecie publiczność traktować takimi absurdami, które w świeżo wysłym romansie Suego kopami naliczyłem.

— Ot naprzykład, czytaj waszeć oryginał i tłumaczenie a ja tym razem będę krytykiem i podaę Dydakowi różowy tomik.

Gdyby się kwas siarczany rozlał na ręce biednego aplikanta aptekarskiego, nie byłby go więcćj przeraził jak to dotknięcie francuzkiego oryginału.

Z przestachu przewrócił książkę do góry nogami.

— Co waszeć wyrabiasz, czy książki trzymać nie umiesz, zawołał poprawiając tomik pan pułkownik — ot przeczytaj pan na głos to miejsce, odznaczone czerwonym ołówkiem, a ja przeczytam po polsku.

Głuche milczenie było całą odpowiedzią na niecierpliwą odezwę pułkownika.

— Cóżto, jegomość tłumaczy dzieła, a czytać nie umie, zawołał tonem oburzenia nieubłagany pułkownik.

— Z powodu osłabiałego wzroku dojrzyć nie mogę.

— Przepraszam więc żem pana osłabiałego fatygował, odpowiedział nielitościwy prześladowca....

— Fortuna kołem się toczy, — powiedział na drugi dzień pułkownik, zwracając się wesoło do domowników i darząc ich sówicę za wczorajsze obejście się. — Wypijcie za jój zdrowie moje dzieci.

I w domu pułkownika śmiech i wesele.

Z gabinetu jego wyszło trzech subiektów księgarskich, odnosząc swoim pryncypałom wartość trzech biletów prenumeraty.

— Witaj panie Porywo, zawołał pułkownik do wchodzącego autora naszego, czy nie przynosisz mi czasem czwartej prenumeraty. — Ale, ale — muszę ci też opowiedzieć zabawną awanturkę. — I pułkownik opowiedział mu odwiedzin osłabiałego tłumacza. — Wzruszył nasz autor ramionami.

— Panie pułkowniku, czy to pierwsze dziełko któregoś pan przyjęcia odmówił.

— Prawie, że pierwsze, szkoda mi biédaka, gdyby był na lepszy humor natrafił w każdym razie bym go sownie obdarzył.

— A więc pan pułkownik, te tylko dzieła prenumeruje, które mu do domu przynoszą.

— Rozumie się, któżby tam włóczył się po księgarniach, albo łaził do mieszkań poetów.

— Prawda — bo by nie jeden zobaczył któregoś z nich umierającego z głodu, dla tego tylko, że się wstydził pójść z prenumeratą, a drugiego napotkałbyś pan w szpitalu i ujrzał z zadziwieniem polskiego Tessa krzepnącą ręką, kończącego swój poemat.

E, poetyzujesz autorze, małoż to my dajemy składek na podupadłych literatów?

— Ach prawdą, pan pułkownik dał niedawno na składkę na nagrobek, wystawiony ręką przyjaciela nieśmiertelnemu autorowi Maryi na Powązkach. (*)

(*) Zasłużony literaturze krajowej Sk. idąc za natchnieniem szlachetnego pomysłu, uczcił pamięć polskiego wieszczą, zbierając od współziomków składkę na pośmiertny pamiętnik dla swojego przyjaciela — pamiętnik żalu, obłany łzą, ludu, który zapóźno poznał stratę, jaką poniósł w genialnym ukraińskim śpiewaku.

(Przyp. Wydawcy).

XVI.

Nasz autor żonę utracił, a elegię zyskał.

W domu sędziostwa ustaliła się cicha jednostajność. — Wieczory literackie z powodu zbyt gorszących pogłosek, które się rozeszły po mieście — ustały zupełnie.

Kiedy pan Edward potrafił nakoniec donieść pannie Korneli, że jest wyznawcą filozofii Platona, filozofka nasza oświadczyła gotowość oddania mu swęj ręki.

Otóż nasz wielbiciel opowiedziawszy naszemu autorowi, jak świetny osiągnął rezultat swoją filozofią, w chwili gdy zaczynamy ten rozdział platonicznie usty swojemi całował rękę, która wkrótce miała na wieki należeć do niego.

Nasz autor od niejakiegoś czasu był codziennym gościem w domu sędziostwa.

Z początku przesiadywał chwileczki — chwilki — kwadransy — kwadransiki — godzinki — godziny — a wreszcie i dnie całe.

Sędzia rad był jego towarzystwu — bo miał z kim zagrać ulubioną partję szachów.

Pani sędzina od niejakiegoś czasu za szczerze coś zajęła się z panem guwernerem, wychowaniem małego Władzia; wprawdzie przebąkiwali coś ludzie, że pan guwerner, to sobie wcale przystojny młody człowiek i sama pani sędzina nazywała go: „un homme comme il faut“ — ale pan guwerner za słodkie coś robił oczki i za czule ścisnął rączki szanownej mamuni swego elewa.

Ale któżby tam światu wierzył, temu okrutnemu prześladowcy niewinnych ofiar.

Słowem, czas schodził im bardzo prędko.

Julia, której lica przyjęły wyraz melancholyczny, rosąc łzami poemat Maryi, ofiarowany jęj przez naszego autora, nabrała upodobania w pięknych utworach nadobnej lietratury naszęj i lubiła zdanie swe o nich wynurzać w rozmowach

z autorem naszym, który patrząc na natchnione oblicze pięknej oratorki, zapomniał w zachwyceniu, że się pod nieszczęśliwą gwiazdą urodził.

Nic tak nieprowadzi do poufalszych związków jak rozmowa bez świadków i z zajęciem prowadzona między młodą parą, którą zobopólny zapał unosi w sfery wyobraźni.

Nic więc dziwnego, że nasz autor w rozmowach z Julią widział w niej bohaterkę jednego z niedawno czytanych poematów, a ta przez tkliwość niewieścią odpłacała mu wzajemnością.

Kiedy niektórzy starzy sąsiedzi sędziego zwracali jego uwagę na zbyt romansową rozmowę młodej pary, pan sędzia na to odpowiadał rubasznie:

A wolęć przecież, żeby się córka moja więcej literaturą, jak literackimi wędrówkami zajmowała. — Wiem dobrze z kim mam do czynienia, nie znacie jeszcze państwo mojego Porywę, z pocziwego to gniazda chłopię. — Szlachcic z dziada pradziada i nie biédny. — Ś. p. rodzic jego — Panie święc nad jego duszą, pocziwe to sobie było człeczysko, poleciał mi go na śmiertelném łożu i jeszcze nasz pan autor pierwszy co tylko nadział mundurek, pysznił się nim co niemiara z jeneralską powagą włóczył się z pięcioletnią Julią na Denasowskie góry (*) i w najlepsze sobie tam z nią bąki zbijał i dziewczynę

(*) Niedawne to jeszcze chwile, kiedy w okolicach Solca i Kazimirowskiego pałacu rozciągał się malowniczy, górzysty widok okolicy, którą podanie ludu upoetyzowało. — Na pierwszy rzut oka uderzały rudery opustoszałego gmachu, w którego lochach naznaczono rezydencję zaklętą kaczce. — Biada śmiertelnikowi, jeżeli zwabiony czarodziejskim śpiewem zatrzymał się na chwilę, zguba jego była nieuchronną. — Czas niejakiś krążyły także wieści, że się banda łotrów, korzystając z łatwości gminu, w strasznych pustkowiach ukrywała i rozsięwała grabieżę i mordy nocną porą w okolicach. — Co do mnie w miejscu tém spoczęły najmilsze moje pamiątki lat młodociannych. — Pamiętam tę tak słodką i niewinną rozrywkę dziesięć, a może i więcej lat temu, kiedy to się w gronie wesołych kolegów podczas wakacji pobiegło na Denasy. Spragniony

zaklętą kaczką straszył, kiedyśmy sobie z ojcem jego przybutelce węgryzna wesoło gwarzyli.

O! dobre to były czasy, serce człeka raduje się na samo wspomnienie. — Pamiętam, że wtedy jeszcze wkładaliśmy tym malcom ślubne obrączki na palce. — Później panna Julia nabijała sobie głowę romansami i marsem patrzeć zaczęła na dzieciennych lat współtowarzysza, — Ten chłystek Telesfor wpadł jój w oko. — Ale teraz Bogu chwała! wszystko się skończyło, wypędziłem menażeryę literacką z swego domu i święta spokojność choć raz w nim zawitała.

— A to rzecz inna, pewno więc wesele w karnawale, proszę nie zapomnieć o nas.

długą przechadzką znajdował ochłodę w źródle kryształowej wody wytryskującym w pobliżu, albo w zimnej kąpieli w przezroczystych wodach otaczających to cudne siedlisko. — A komużby się wówczas chciało myśleć o strachach, rozbójnikach i owszem dla każdego z nas ruiny jakąś rzewnie fantastyczną przybierały postać.

Tu każdy głaz — tu każdy słup,
Pamiętką świeższą pustoty był,
Niejeden z nas, już zimny trup
Tak słodką tam nadzieję żył.

Przed każdym piękny błyskał świat,
O szczęściu błogo śnił:
I płażał rad, za kilka lat...
Już z serca wąż się wił.

Pustoty szum i śpiewów dźwięk
Brzmiał wśród Denaskich gór!
O wkrótce jęk... boleści jęk
Zastąpił szczęścia chór.

I gdzież te chwile? Na dnie wspomnienia.
Gdzież słodkie, błogie te czasy?
Uczucia!... węzły... czas wszystko zmienia,
Zostały jedne Denasy!

Posiadłość ta obecnie przeszła na własność hr. Uruskiego, który na miejscu rozwalin wspinały gmach wystawić kazał i do Sewerynowa okolic przyłączył.
(Przyp. Wydawcy).

A jakże, a jakże, któżby o tak dobrych przyjaciółach zapomniął.

— Panie Adamie trzeba nam się wybrać kiedy na Denassowskie góry, tam wszystko tak piękne, tak malownicze, tam niemal każdy strumyk, każdy kamień ma dla mnie swój powab, tyle się przyjemnych doń wspominek wiąże.

Rozpłomieniła się fizyonomia naszego autora. — Rzewne uczucie w pierś wstąpiło, spojrzął na anielskie rysy twarzy mówiącej i pierwszy raz wyczytał z nich wyraz dawniej przychylności dla siebie.

— Siostro! i ja pójde na Denassy, tam tak wesoło, tam można sobie pobiegać swobodnie.

A więc i mnie przyjmijcie państwo do kompanii zawołała sędzina?

Zgoda powtórzyli wszyscy obecni...

— Późno w noc przesiedział pan Adam i chłód wieczorny nie zdolny był go wygnąć z ogrodu, gdzie się przechadzał z towarzyszką lat dziecinnych.... i tym razem próżno go sędzia do partyi szachów zapraszał. — On tak był dzisiaj szczęśliwy, tak lekko mu było na piersi, bo w rozmowie z Julią raj mu się otwierał.... raj poetów, który jeszcze tylko w miłości kiedy niekiedy napotkać można.

— Śmiejecie się czytelnicy, bo iluż to z was w raj wierzyć przestało.

* * *

Nazajutrz wspaniale błyszczało Warszawskie słońce na błękitnym nieboskłonie; a piękne to były te majowe szaty, które lśniły tysiącem pryzmatycznych wdzięków rozsianych w około. — Rzuciło ono ową blado-posepną sukienkę, którą tak często na północnym niebie przywdziewa, i zdobne pełnym wiosennym urokiem, wlewało w serce mieszkańców nowe życie i nadzieje.

Wczorajsze nasze towarzystwo oddawna przechadzało się po błoniach rozciągających się w okolicach Solca. — Władzio spragniony od biegania przybliżył się do źródła, chcąc zaczerpnąć wody ze dzbanka, które kilka dziewcząt okolicznych korzystając z łatwego nabycia świeżego i zdrowego napoju przyniosło z sobą.

Wtém przystąpił do niego jakiś jegomość i słodziuchnym zapytał głosem.

— Czy to pan Porywa przechadza się z tą młodą damą?

— Tak jest, to moja siostra, ale panu co dotego, zapytał śmiały chłopczyzna dość opryskliwie, albowiem mina pytającego nie bardzo mu się podobała.

— To już do mnie należy, czy nie można poprosić na moment pana Porywę do mnie.

— A to go pan sobie proś! ja nie jestem na posłki, odpowiedział nasz młody bohater, który coraz więcej uczuwał wstrętu do nieznanego natręta.

— Niegrzeczny jesteś mój mały, nie dostaniesz za to karmelków.

— Lepiejbyś pan mydła sobie za te pieniądze kupił, boś pan strasznie brudny na twarzy, odpowiedział zuchwale Władzio, urażony natarczywością nieznanego, jak będę chciał karmelków to mi papa kupi i odwróciwszy się od niego odbiegł, na stronę.

Czemuż pan narzekasz na los p. Adamie? alboż tak dalekim jesteś od szczęścia, czyż pan zwątpiłeś w Opatrzność, mówiła Julia opierając się na ramieniu naszego autora, w chwili, gdy rozmowa przeszła na ten przedmiot.

O! nigdy go tak bliskim nie byłem jak w téj chwili, nigdy mi jeszcze los tak nie sprzyjał jak dzisiaj, gdy mi pani po raz pierwszy nadziei szczęścia zakosztować dozwoliłaś.

— Panie Adamie! czy pan także zaczynasz być pochlebcą, alboż ja mogę być twórcą czyjego szczęścia.

— Panno Julio! pomówmy otwarcie, od jęj słów zależeć będzie los całego mojego życia..., nie mogę dłużej ukryć tajemnicy, którą dotąd w najskrytszych tajnikach serca pielęgnowa-

wałem... Panno Julio, czy zdolną jesteś mnie wysłuchać, zdolną przyjąć wyzwanie, że ośmielony twoją dobrocią, powiem ci że ko....

— Kochanego pana Adama jakiś szubrawiec potrzebuje, pytał mnie się o niego, ale niegrzecznie mu odpowiedziałem, ponieważ mu źle z oczów patrzy, otóż się zbliża do nas.

Zmieszkał się nie pomało nasz autor i dziewczica z niespokojnością spojrzała na nieznanego, który skinął na Porywę, aby odszedł na bok.

— Porywa zdumiony tą poufałością mimowolnie skłonił się do jego żądania.

— Nieznajomy wyrzekł kilka słów z cicha. — Porywa pobladł widocznie i zadrżał. — Julia żywym wzruszeniem przyjęła udział w tej pantominie.

W tém jakaś żywa sprzeczka, w której odróżnić można było ton oburzenia, który przyjął autor w rozmowie z nieznanym, wszczeła się pomiędzy niemi.

— To jakaś haniebna pomyłka! — jakiś żart nielitościwy.

Nieznajomy wy dobył papier z kieszeni, i podał naszemu autorowi. — Ten zaledwie przebiegł go okiem, upuścił z przerażeniem na ziemię, gorzki uśmiech osiadł na jego ustach, i zwracając się do Julii, powiedział:

Nie dla mnie szczęście na tej ziemi. — Nie wierzyłaś pani przed chwilą — Masz dowód.

— Ten pan, to agent sprawiedliwości, który mi okazał rozkaz uwiezienia.

XVII.

E p i l o g.

Wkrótce potem... toczył się ciekawy process.

Pan Adam Porywa, oskarżony o oszustwo przez puszczenie w obieg 1000 biletów prenumeraty po 20 złotych na dzieło pod tytułem: „Pogląd krytyczny,“ które na czas oznaczony nie

opuściło prassy i jak wieści niosły nigdy na widok publiczny wyjść nie miało — od kilku tygodni był zamknięty w więzieniu.

Pan Adam Porywa oskarżony był o współnictwo w innych jeszcze przedsiębiorstwach tego rodzaju i jemu także przypisywano autorstwo pomysłu, który sownie obdarzył biletami prenumeraty miłośników romansu w pięciu tomach pod tytułem: „Zaręczony Rozbójnik.“

Pan Adam Porywa na uczynione badania w tym względzie, podał do protokołu: że manuskrypt pierwszego dzieła skradzionym mu został, a co się tyczy innych prenumerat, gotów jest wymienić imiona tego rodzaju przemysłowców.

Na co sąd przedstawił mu kilkadziesiąt biletów z jego podpisami który z dziwną zręcznością był podrobiony.

Autor pod nieszczęśliwą urodzony gwiazdą, uznał takowe za fałszywe.

Jednak sąd nie poprzestał na tém tłómaczeniu, albowiem jakaś tajemna niewidzialna siła, walczyła przeciw naszemu autorowi.

I owa to tajemnicza siła, której nazwiska domyślał się nasz autor, podstawić umiała fałszywych świadków, którzy zeznali pod przysięgą, że widzieli go osobiście sprzedającego bilety prenumeraty i pomimo wpływów sędziego i wszystkich przyjaciół, obrót sprawy jego coraz smutniejszy przybierał charakter.

Dunajowe zgromadzenie rozproszyło się. Albin przepadł bez śladu.

Jeden tylko szewc zeznał, że w istocie odbywało się w sąsiedztwie wrzaskliwe posiedzenie, które on kopytem, ani sąsiad jego, czeladnik kowalski młotem zagłuszyć nie byli w stanie.

I zeznał także, że autor nasz grał tam rolę podsluchującego.

Sąd uznał tę okoliczność za ważną i policzył naszego autora w rząd współuczestników zgromadzenia.

Jednakowoż zeznania inne dziwną stanowiły sprzeczność z występkiem zarzucanym naszemu autorowi.

Tu on grał rolę prześladowcy oszustów, tam występował sam w roli oszusta.

Sprawa ciągnęła się rok przeszło i przeniesioną została do wyższej instancji.

— Sąd niższy wyrzekł tylko trzy lata więzienia więzy i zapłacenia kosztów prenumeraty, jak również sprawy wynoszących do 50,000 złotych.

— Tymczasem Julia, która posiadała w prawdzie anielskie wdzięki, ale nie znała nigdy anielskiej cierpliwości, nie mogąc się doczekać końca sprawy, wyszła za mąż za młodego podprokuratora z wdzięczności, że ten dzielnie stawał w obrobie pana Adama, który jak się wyrażała zdołał sobie zjednać jej przyjaźń i szacunek.

JPan Edward skończył nareszcie kursa filozoficzne posłubiwszy Kornelię.

Pani sędzina wymogła wpływem swoim u męża, że guwernerowi jej Władzia, pensję podwyższył, że względu, że to jest skończony człowiek.

Tymczasem mąż Julii z podprokuratora został prokuratorem i to jeszcze wyższej instancji i znowu szczerze się zajął sprawą naszego autora.

Zwolna czas przyniósł nowe o rzeczy pojęcie i okoliczności niektóre się wyświetliły.

Pan Jan Busso popełnił jakąś malwersacyą przy zbieraniu prenumeraty na jakieś tam „Urywki“ historyczne, czy niehistoryczne, już nie wiem, i zwałił całą winę na jakiegoś nieszczęśliwego dependenta, który strwożony groźnym Temidy obliczem, z przestachu przyznał się do uczestnictwa w fałszowaniu podpisów, a co więcej jeszcze, podpisu naszego autora, i zeznał do protokołu imiona naczelników swego cechu.

Niebawem panowie Albin i Telesfor aresztowani zostali, a wraz z nim i pewna liczba agentów szlifowania bruków i mostów.

Odkrytém zostało, że manuskrypt pod tytułem „Pogląd etc., skradzionym został naszemu autorowi, i że ten mimowolnie wciągniętym został do zgrai wykpiętych literackich, którzy imienia jego za tarczę swoich zdradzieckich planów użyli,

W skutek tego odkrycia, autor nasz wypuszczonym został na wolność, ale i mówią, że okazał stoicką obojętność za rok niewinnego więzienia, albowiem za całą swoją satysfakcyę uważał, że jako zapalony miłośnik przysłów dowiódł ludziom, iż prawdziwe musiało być przysłowie, które pokilkakrotnie w więzieniu powtórzył „Ślusarz zawinił, a kowala powieszono.“

Pan Albin i inni jego współzawodnicy byliby niezawodnie srodze odpokutowali za swoje winy, ale cóż sądy były winne, że na dowód swoich wysokich zasług położonych dla dobra literatury okazali mnóstwo podarunków za ody i elegie otrzymanych, przytém niektóre litościwe domy złożyły kaucyę za uwiezionych — opłaciły koszt procesu, własnym nakładem wydały Zaręczonego Rozbójnika i winni wypuszczeni zostali z więzienia dla braku dowodów.

Autor pod nieszczęśliwą urodzony gwiazdą, miał dziwne widzenie:

Śniło mu się, że widmo, na którego czole napisane było: „fatalność“ — wskazywało mu protektorską ręką postać kobiety, na której czole różowym charakterem były wyryte: „Żeń się, to twój anioł stróż.“

I nasz autor idąc za tą wróżbą, ożenił się z córką fabrykanta powozów; zapewne dla tego, aby mając swój własny powóz, mógł prędzej przed fatalnością uciekać.

Na drugi dzień po ślubie sędziostwo odwiedziło nowożeńców, a Julia tym samym anielskim tonem, który kiedyś przyjęła w romansowej z naszym autorem rozmowie na Denasowskich górach, odezwała się do pana Adama.

— Ach! panie Adamie, jakżeż mi się twój powóz podoba, jeżeli cię nazwać mogę moim przyjacielem, to weźmiesz to na siebie, żebyśmy mieli podobny.

Pan prokurator skrzywił się nieco na te słowa, ale Julia anielskiem spojrzeniem prędko przywróciła równowagę....

Na drugi dzień, ledwie młodzi małżonkowie zdołali prze-
trząść oczy, gdy przyniesiono im pysznie oprawny zeszyt. —
Z ciekawością pani Adamowa odkryła tytułową kartkę i gło-
śno przeczytała. — „*Elegia z okazji wesela JW. Adama Po-
rywy i Marcyanny z Kołodziejów Porywa, napisana i w dowód
najgłębszego hołdu młodej parze ofiarowana przez Kryspinia-
na Kukulkę.*“

Roziskrzyło się spojrzenie naszego autora, z wściekłością
rzucił zeszyt o ziemię i zawołał z furią:

— Czyż mi ten przeklęty cech rymarski i po ślubie nie
da pokoju, czym mało wycierpiał jeszcze?

— Ach! mężu co robisz, to tak pięknie napisane, i opra-
wne w safian, to widać jacyś nam dobrze życzący ludzie przy-
słali w podarunku.

Nic mają żonie na to nie powiedział, wyszedł tylko do
przedpokoju, gdzie oddawca elegii oczekiwał i miał z nim ma-
leńką rozprawę, z której, jak pamiętniki głoszą, ten wcale nie
był zadowolony.

W tém miejscu, kończy się dziennik naszego autora, prze-
zruciwszy tylko kilka kartek drobnymi literami dodano co na-
stępuje:

— „Bogu chwała!... jestem ojcem dwojga bliźniąt jedne-
mu na imie Adaś.... drugiej Julia.... chowają się dobrze i może
da Bóg, że się doczekam z nich pociechy, teraz jestem zupeł-
nie szczęśliwy, stan małżeński pogodził mię z lisem, oby to
tylko długo potrwało.... żeby tylko które z moich dzieci nie-
zechciało być autorem.“

SŁOWA DO MUZYKI.

POLONEZ

(Muzyka Antoniego Kalskiego)

Ol wspomnij ten młody czas,
Ten rzech postaci męznych, chładoznych,
I poloneza dźwięk weselny,
Co wkręcał przeskłość porzecz nas,
Ol wspomnij ten młody czas!

Ol pójść o luda dźwięk młodoz
* * *

Poloneza tańca wywz nas;
Rzeczno uczucie pierz na tancy
Jam wspomniał ołów młodoz
Ol wspomnij ten młody czas!

Jakież to dziewczę nad brzegiem Wisły,
Z rozpaczą mierzy jój fale,
I czemuż oczy łzami zabłyśły,
Zkąd smutki i zkąd te zale?

Ol święte były lzy tej dziewczyny,
Bo dzieje Polskie wślawiły;
Skroń polskiej dzięwy zdobią wawrzyny,
Pieśń wiatr nam niesie z mogiły.

Kiedy dla Niemców dzielny ród Piasta
Nienawiść w piersiach osłabił;
Żył w Krakowie miła niewiasta,
Upór rodzica ją zabił.

On chciał by Niemcu rękę oddać,
Ona przeniosła mogiłę;
I w falach Wisły ukryć umiała
Rodzinnę zemstę swęj siłę...

A po jój śmierci smutek głęboki
Polska żałobą twarz kryła;
Gdy ubóstwianęj Wandy jój zwłoki,
Wisła na brzegi rzuciła.

SŁOWA DO MUZYKI.

POLONEZ.

(Muzyka Antoniego Kątskiego).

O! wspomnij ten ułudny czas,
Ten rząd postaci mężny, dzielny,
I poloneza dźwięk weselny,
Co wskrzesił przeszłość pośród nas,
O! wspomnij ten ułudny czas.

O! pójdz o luba dźwięk uroczy
Polskiego tańca wzywa nas;
Rzewne uczucie pierś mą tłoczy,
Jam wspomniał ojców naszych czas,
O! wspomnij ten ułudny czas.

O! wspomnij ten ułudny czas
Wznowionych uczt po dzielnym boju
Gdy lśniąca czara po dniach znoju,
Rodzinny taniec witał nas.
O! wspomnij ten ułudny czas.

O! pójdz tańcowi będziem radzi,
Sto par ochoczo pójdzie wraz;
Niech znów polonez rej prowadzi.
Wspomnijmy ojców naszych czas.
Wspomnijmy ten ułudny czas.

PIEŚŃ PRZY WINIE.

Pocóż czekać, rozkosz zwlekać,
Młode lata truć;
I w marzeniu, zamyśleniu
Nić żywota snuć.
Nim wymarzysz ideały
Czas ostudzi krew,
A wspomnienia co zostały
Wzbudzą tylko gniew.
Póki żyjem, rokosz pijem,
A więc rokosz znaj;
Pełna czasa, radość nasza,
Bracie wina daj.

Wdzięk kobiety, raj poety,
To sen młodych głów;
Dla komedyi, lub trajedyi,
Bracie! szkoda słów;
Czyż nie lepiej bez czułości
Walną ucztę dać,
Kupić wina, sprosić gości,
Będą pana znać,
Póki żyjem i t. d.

Rzucasz wino, i z dziewczyną
W jakieś czary grasz;
Później płacze i rozpaczę,
Czy też rozum masz.
A gdy winem mózg zalejesz
Nie uronisz łzy,
I z romansów się naśmiejesz,
Śmieszne rzucisz sny.
Póki żyjem i t. d.

Gdy w tej twarzy wdzięk się żarzy,
Kiedyś z miny zuch,
To z miłości, ci grzeczności,
Dziewcze prawi w słuch.
Niech choć jeden promyk biały
Zasrebrzy twój włos,
I czułości wnet ustały,
Starcem zwią cię w głos.
Póki żyjem i t. d.

KRAKOWIAKI.

Oj moja Maryniu,
Oj ty moja duszko,
Czemuż ci to silnie
Zabiło serduszko?
Na takie pytanie
Marynia odpowie,
Za to żeś ciekawy,
Już masz łysa w głowie.

Oj w Stasiowym sadzie
Kwiat się bujny rodzi,
A Zosia coś często,
Do ogródka chodzi.

W folwarku u wdowy,
Leży grosz gotowy;
To też co dzień z rana
Widać tam asana.

Oj moja rybeńko,
Dajże całuseczek,
Za to na jarmarku,
Kupię pierścionecek.

Chociażbyś pierścionków
Kupił mi bez miary,
Nie dam ci całusa,
Boś okropnie stary.

Moja Kasinuleczka,
To wcale nie taka,
Jój słiczne usteczka
Dadzą mi buziaka.

Oj czy nie wstyd tobie,
Prędko zaręczyny,
A ty się umizgasz
Do obcej dziewczyny.

O gdybyś zairzała
Do serca mojego,
Tobys załowała
Grzegorza biednego.

Czemże pohamować
Te twoje rozpaczę,
Muszę cię załować,
Gdy już sama płaczę.

PIEŚŃ CYGANKI.

(Muzyka W. Każyńskiego).

Chcecie poznać los Cyganki,
Małownicze Cygan życie,
Pędźcie z nami nocne ranki
Zajaśnieje młodość twa.

Chór. My Cyganki step kochanki,
Wesołości znamy czary
Błyska zorze, już w taborze
Szał namiętny trwa!

Pospiesz, pospiesz marzycielu,
Staniesz na rozkoszy szczycie,
W ciągłych ucztach i weselu,
Zajaśnieje młodość twa.

Chór. My cyganki, step kochanki,
Przy nas słodko chwile płyną;
Błyska zorze już w taborze,
Szał namiętny trwa.

Tu przy dźwiękach kastanietów,
Przy odgłosie tamburino,
Poznasz rozkosz, kraj poetów,
Zajaśnieje młodość twa.

Chór. My cyganki, step kochanki,
Przy nas słodko chwile płyną;
Błyska zorze, już w taborze
Szał namiętny trwa.

Pospiesz, pospiesz chłopcze młody,
Ponieś pokłask twój tancerce,
Gdy cię olśni blask urody,
Zajaśnieje młodość twa.

Chór. Dla Cyganki step kochanki,
Czyż nie warto oddać serce;
Błyska zorze, już w taborze
Szał namiętny trwa.

DZIECIĘ LUDU.

O! czy wy znacie cygańskie dziecię,
Tułaczkę małą dziecinnych lat;
Już się za młodu błąka po świecie
I już za młodu oszuka świat.

O przyjdzie chwila, że czarne oko
Zwabi cię do nas z rodzinnych strzech,
I tak się w serce wryje głęboko,
Że aż nas pusty porywa śmiech.

Wy nam wierzycie w nasze wyrocznie,
Każdy się ciśnie by wróżbę mieć
Lecz gdy was miłość czarować pocznie,
Braciszku! wpadniesz w cyganki sieć.

Bo o twe żale i twe westchnienia,
Powiem wam szczerze, że mało dbam,
Ja wasze złoto najwięcej cenię,
I jam szczęśliwa gdy złoto mam.

Widząc wasz zapał, czasu nie tracę,
Tysiącem czarów przyciągam was;
O bo uścisków mych nie opłacę,
Kiedy mi starość wejdzie za pas.

O gdy nas czasem i wasze słowa,
Uwiodą wyżej w miłości raj;
Cyganka życie oddać gotowa
Rzucić rodziców, rodzinny kraj.

Ale gdy pierwszy zapał przemignie,
Cios waszój zdrady ostudzi krew;
Biednej cyganki serce ostygnie,
Cała się boleść przeleje w śpiew.

A przy was wiecznie wiecznie wesoła,
Namiętna, czuła, aż serce drży,
A najszcześliwsza, jeżeli zdoła
Wydrzeć wam złoto, spokój i łzy.

MAZURECZEK.

(Muzyka Wiktora Każyńskiego).

Mazureczku drogi miły,
Powiedz z jakiej lecisiz strony,
Twoje dźwięki powróciły,
Mój przeszłości sen miniony.
Niech się dusza rozpromienia,
Gwiazdą szczęścia lśnij;
Rzucę żale i westchnienia,
Brzmij mazurze, brzmij.
Powróć, powróć me marzenia.
Gwiazdką szczęścia lśnij,
Powróć, powróć me marzenia,
Brzmij mazurze brzmij.
La, la, la, la, la, la,
Brzmij mazurze brzmij,

O już słyszę jak tam w dali,
Mój mazurek zabrzmiał w sali.
I rumieńcem twarz błysnęła,
I pierś wolniej odetchnęła,
Rozpędź dumy, rozpędź nudy,
Gwiazdką szczęścia świeć.
Śpieszę, lecę; w kraj ułudy,
Pieśni zemną leć;
Rozpędź dumy rozpędź nudy,
Gwiazdką szczęścia świeć.
Śpieszę, lecę, w kraj ułudy,
Pieśni, ze mną leć,
La, la, la, la, la, la,
Pieśni, za mną leć.

Mazureczku drogi miły,
Ty powracasz me wspomnienia.
Lata szczęścia me wróciły,
I sny moje i marzenia.
Mazureczku chwilkę jeszcze,
Gwiazdką szczęścia lśnij,
Niech się z tobą dziś popieszczę,
Brzmij mazurze, brzmij.

Mazureczku chwilkę jeszcze
Gwiazdką szczęścia lśnij,
Niech się z tobą dziś popieszczę,
Brzmij wesoło, brzmij.
La, la, la, la, la, la,
Brzmij wesoło, brzmij.

W I A N K I.

(Ballada).

(Muzyka Wiktora Każyńskiego).

Nad brzegiem Wisły dziewczyna stała,
Blade, posępne jęć lica,
I oczy łzami zroszone miała;
Czegóż tak płacze dziewczica,
Czego to płacze dziewczica?

Wianek jęć piękny, wianek pieszczony,
W skarby nadziei odziany
Zginał, bielutką rączką rzucony,
Za wiankiem poszedł kochany,
Za wiankiem poszedł kochany.

Nad brzegiem Wisły stanął młodzieniec,
Uśmiech mu błyszczał na twarzy,
W rękę zdobyty trzymał on wieniec.
Oko radością się żarzy.

Spojrzał, ... dziewczyna także spojrzała,
Uśmiech rozjaśnił jęć lica;
Ona swój drogi wianek poznała,
I znów szczęśliwa dziewczica.

Kochance wieniec podał kochanek,
Ona mu rękę podała,
A choć w dni kilka zwiednął jęć wianek,
Ręka na wieki została.
A choć w dni kilka zwiednął jęć wianek,
Ręka na wieki została.

MAZUREK.

(Muzyka Wiktora Każyńskiego).

„Ja go nie kocham.“

Jakąż rozkosz on znajduje,
Ciagle prześladować mnie;
Gdy go widzę, radość czuję,
Lecz nie kocham — nie.
Chociaż przy nim radość czuję,
Lecz nie mogę kochać — nie.

Gdy co mówi ja drzę cała,
Drzę gdy ściska moją dłoń;
Czyżbym ja go kochać miała,
Co ja mówię? Boże broń!
Jego mina postać śmiała,
Przestraszają mnie,
Czyżbym ja go kochać miała,
Nie — po stokroć nie.

Dziś on mówił, jam milczała,
On z swych uczuć zwierzał się.
Czyżbym ja go kochać miała,
On to lepiej wie.

BĄDŹ MI ZDRÓW.

Improwizacya.

(Muzyka Wiktora Każyńskiego).

Kiedys żegnał mię westchnieniem,
Rzekłam parę tylko słów,
Tyś mem życiem, mem marzeniem,
Luby Jasiu! bądź mi zdrów,
Bądź mi zdrów, bądź mi zdrów,
Kiedyż ciebie ujrzę znów.

Czy ty wspomnisz w obcej ziemi
Tych serdecznych parę słów,
I czy pomiędzy obcymi.
Twoją lubą wspomnisz znów,
Bądź mi zdrów, bądź mi zdrów,
Czy cię kiedy ujrę znów.

O ty może w zbytłych złocie
Toniesz wśród rokosznych snów,
Nie śniąc o mojej tęsknocie.
I nie pomnając moich słów.
Bądź mi zdrów, bądź mi zdrów,
Kiedyż cię ujrę znów.

Lecz ty może noce, ranki
W nowych schadzkach spędzasz znów,
W uściśnieniach twój kochanki,
Ani wspomnisz moich słów.
Bądź mi zdrów, bądź mi zdrów,
Kiedyż cię ujrę znów.

Darmo czekam, darmo płaczę,
Szczęściem łudzę się daremnie;
Nigdy cię już nie zobaczę,
Szczęście znajdziesz tam bezemnie.
Bądź mi zdrów, bądź mi zdrów,
Nigdy cię nie ujrę znów.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ PAM. WAMPIRA.

LISTA PRENUMERATORÓW

PAMIĘTNIKÓW WAMPIRA Nr. 1 (*)

Egzempl.

Aquilino	1
Arnhold	1
Bakałowicz, Artystka dramatyczna.....	1
Barbanel Leon.	1
Bassoff Mikołaj, Pułkownik Artyl.....	1
Baumritter	1
Beboutoff, Książę, Jenerał Lejtnant.....	1
Betz Andre., Porucznik.....	1
Białoskórski, Prezes Dyr. Gł. Tow. Kred. Ziemi.....	1
Błoch Fabjan.	1
Bogowski Stanisław, Urzędnik Kom. Warsz.....	1
Borowiecki Antoni, Urzędnik Komory Warsz.....	1
Bohusz Teodor, Urzędnik Komory Warsz.....	1
Breszel Marcei.	1
Brun Stanisław.....	1
Brüner Alexander.	1
Burhmeister, Jenerał Major.....	1
Chodowiecki Antoni	1
Cohn Izidor.....	1
Cohn Adolf	1
Cohn Marcin.	1
Cwieciński, Pułkownik Strzel. Celn.....	1
Cycuryn, Prezydent Akad. Medycz. Ces-Król.	1
Czarnocka Bronisława.....	1
Czetwertyński Edmund, Książę.....	1
Dobski Julian, Artysta Opery	1
Domański Józef, Obywatel.....	1
Eisenmann Adolf.	1
Enoch Julian, Nacz. Prok. Ogól. Zeb. Rż. Sen.....	1
Epstein Hermann, Pr. Kom. dr. Żel. War. Wied.....	1
Epstein Józef, Bankier	1
Epstein P., Bankier.	1

(*) Ponieważ przedpłata na Pamiętniki Wampira, przyjmuje się wciąż, aż do ukończenia całego dzieła, przeto, do każdej części tegoż, dołączone będzie dopełnienie listy prenumeratorów. (przyp. Wyd.)

Epstein Adam, Bankier	1
Epstein Mieczysław, Konsul Belgijski	1
Erker Jan.	1
Fedynkiewicz	1
Feichtner, Pułkownik Inżynierii	1
Feinsztein Edward.	1
Feinkind	1
Flatow, Bankier	1
Flaum Stanisław.	1
Fraget Julian	1
Frejtag, Artystka Baletu.	1
Freider Jakób	1
Fuchs Julian, Kupiec.	1
Ginsberg Adolf.	1
Goldbaum Maxym.	1
Goldbaum Jakób	1
Goldbaum Maurycy	1
Goldmann Bernard, Stud. Ak. Med.	1
Golikoff, Pułkownik Inżynierii	1
Goltz A., Obywatel Ziemiński	1
Gradomski Leon, Kupiec.	1
Grodzki, Radea Kol.	1
Grün Ludwik, Doktor Med.	1
Grzegorzewicz.	1
Halpert Tytus	1
Hauszyl Leon, Urzędnik Komory	1
Held Julian, Pl. Kup.	1
Herbst Emil.	1
Hering Edward.	1
Hertz Henryk, fortepianista	1
Hertz M., Stud. Ak. Med.	1
Hohedlinger Józef, Kup.	1
Honigwill S.	1
Hryszkiewicz Jan.	1
Irlicht J.	1
Jackowski, Obywatel	1
Jakubowski Salvjan Bankier.	1
Jaskłowski Mateusz	1
Jaworowska Anna	1
Jundził, Major Ułanów	1
Junghertz Markus	1
Junger Leon	1

Kaftal H.	1
Kicińska, Obywatelka	1
Kisielewski, Naczelnik Wydz. w Intend.	1
Koczowski	1
Koelichen Edward, Kup.	1
Koisiewicz Ksaw., Mecenas Rządzącego Senatu	1
Kondyrew, Naczelnik Wydz. w Intend.	1
Kopelmann S.	1
Kossakowski, Hrabia, Prezes Heroldyi.	1
Kossakowski Stanisław, Hr.	1
Korngold L.	1
Kotkowski Władysław	1
Kotzebue, Jenerał	1
Kowalewski Alexander, Kupiec.	1
Kozłowska Wiktorja, Artystka baletu.	1
Krajewski Michał, Pl. Kup.	1
Kraszewski I. J., Redaktor Gazety Codziennój	1
Krell J.	1
Kronenblech Edward.	1
Kwiatkowski Józef, Kupiec	1
Kwiciński Onufry, Jenerał Lejtnant	1
Kulesza, Podporucznik	1
La Grange Anna, Primadonna.	1
Lawendel Edward.	1
Laski Mieczysław	1
Lesser Stanisław, Konsul Saski.	1
Lesser Daniel.	1
Leutloff Adolf, Pl. Kup.	1
Lewaszew, Pułkownik Artyleryi.	1
Lewisohn Ignacy	1
Lichtenbaum N.	1
Lietterer Henryk.	1
Liprandi Jenerał	1
Lubelski Władysław.	1
Lubelski Izidor.	1
Luxemburg Edward.	1
Łubieński Piotr, Hr. Pr. Dyr. Sz. T. Kr.	1
Łubieński Tomasz, Hrabia.	1
Majbaum Maurycy.	1
Manczyk Maurycy.	1
Mamroth Ludwik, Bankier z Kalisza	2
Marconi Radea Budowniczy.	1
Markowicz W.	1

Małachowska, Hrabina.	1
Marcinkiewicz, Urzędnik Komory	1
Marczeńko P.	1
Masłów Leon, Pułkownik.	1
Mazurkiewicz Ignacy, Jenerał Lejtnant	1
Melnikoff, Jenerał Lejtnant.	1
Mengden, Baron, Jenerał Major.	1
Merchelewicz, Jenerał Adjutant	1
Mezencow, Pułkownik.	1
Młodecka.	1
Moczulska, Obywatelka.	1
Natanson Szymon, Kup.	1
Neuding Edward.	1
Neumark Leon.	1
Nelkenbaum Henryk.	1
Niewęglowski Ignacy, Ple. Kup.	1
Oborski Leopold, Major, Rotmistrz Ułanów.	1
Oborski Władysław, Kapitan Ułanów.	1
Ollendorf Henryk, Kup.	1
Olizar Kamilla, Hrabina.	1
Oraczewski Jan	1
Osiecki, Red. Postępu	1
Ożarowski Adam, Hrabia	1
Paniutin Stefan, Pułkownik.	1
Paulucci Markiz, Jenerał Major	1
Pfan Albert.	1
Pik Jakób, Optyk M. Warszawy	1
Potocki August, Hrabia.	1
Poznański Józef.	1
Prüffer August	1
Przyjemski, Urzędnik Komory.	1
Pusłowski Xawery, Hrabia.	1
Radziwiłłowa, Księżna.	1
Radziszewski Władysław, Kapitan.	1
Rakowiecki Józef	1
Rattenberg Leopold.	1
Rawicz J., Bankier.	1
Redakcja Kurjera Warsz.	1
Redakcja Gazety Policyjnej.	1
Redlich Henryk, Uczeń Szkoły Sztuk Pięk.	1
Rembieliński, Obywatel Ziemski	1
Rosenberg Teodor.	1
Roesler Gustaw, Budowniczy.	1

Ristori Adelajda, Artystka dramatyczna.	1
Rosen Mathias, Bankier	1
Rosen Szymon, Bankier.	1
Rosenbaum, Dyrektor Kol. Ż. W. W.	1
Rospopoff, Pułkownik	1
Rotheit Ignacy.	1
Rzewuski Adam, Hrabia.	1
Schilling, Baron, Jenerał Major.	1
Schiff Adolf.	1
Schmidt Karol.	1
Schlippenbach, Baron, P. Pułkownik.	1
Schoupe Alfred, Obywatel Ziemski.	1
Schoupe, Obywatel Ziemski.	1
Semeka, Jenerał Major	1
Senator Henryk, Stud. Akad. Medycznej.	1
Sierpiński Władysław.	1
Silberberg Jan.	1
Simberg, Pułkownik Inżynierii.	1
Sinielnikow, Jenerał Intendan. 1 Armii.	1
Stomczyński Józef, Obywatel	1
Smolikowski, Jenerał Inż.	1
Smolikowski, Pułkownik Inżyn.	1
Sofhianos, Rzecz. Rad. St. Dyrekt. bióra Dypl.	1
Sommerfeld.	1
Spiridonow, Pułkownik Inżynierii.	1
Staszewski Wilhelm, Pl. Kup.	1
Starkman Henryk, Kup.	1
Stejnhaus Józef.	1
Stencel Roman	2
Strauss, Art. baletu	1
Strauss Ludwik.	1
Strzeszewski, Rzecz. Rad. Stanu Pr. Sądu App.	1
Schönfeld Henryk.	1
Szturm Juliusz.	1
Szymanowski Felix, Dyrektor Banku Polsk.	1
Taborowski Stanis., Skrzypek.	1
Talajewski, Pułkownik	1
Temkin S.	1
Temkin O.	1
Temkin M.	1
Thonnes Jan Junior, Kup.	1
Tolstoj, Hrabia, Jenerał Lejtnant.	1
Trzeciak Włodzimierz, Porucznik Ułanów	1

Urbanowski Kajetan.	1
Walpert Leon.	1
Walewski Konrad, Hrabia.	1
Waroczewski Inżynier.	1
Wareński Józef, Ass. farm. Urz. Lek. Gub. Lub.	1
Wasilicki, Jenerał Lejtnant.	1
Wilboa Kapitan.	1
Wilder S.	1
Wilner M. B.	1
Własińska Władysława.	1
Wojciechowski.	1
Wojnielowski, Intendent Ins. Głó. i Ociem.	1
Wollmann Hermann.	1
Wyszomirski J.	1
Zakrzewski.	1
Zamojski August, Hrabia.	1
Zapolski.	1
Zeland, Pułkownik Inżynierii.	1
Ziemińska, Artystka dram.	1
Zientarski Romuald, Professor muzyki w Kaliszu.	2
Zwiereff, Pułkownik Inżynierii.	1
Żygadlewicz F. W., Radca Budowniczey.	1

Dalszy ciąg nastąpi.

PIERWSZA POŁOWA ŻYCIA
WIELKIEJ ŚPIEWACZKI.

WIELKI ŚPIEWACZKI.

PIERWSZA POŁOWA ŻYCIA

Skic współczesny, wyjęty z tej własnoręcznej pamiętników

(X portretu)

WSTĘP.

Był to wieczór muzyczny, a jeden z tych, które długo żyją w pamięci, znajdowało się bowiem na nim towarzystwo dobrane ludzi, choć wysokie zajmujących stanowisko w świecie, lecz niewymuszonych w obejściu, otwartych w rozmowie i szczerych w uściśnieniu ręki. — W gronie gości zwracało na siebie uwagę dziecię lat nie więcej jak sześciu, które z widoczną przyjemnością słuchało muzyki. Na ślicznój, lecz nieco bladój twarzyczce młodej dyletantki, wyraz szlachetności wrodzonej łączył się z odcieniem melancholii, który jakiś romantyczny urok rozlewał na całą jej postać. Oko jej błyszczało iskrą nie dziecinnego już zapału, a ruchy i sposób obejścia się zdradzały wychowanie wyższego tonu. — W chwili zaczęcia naszego opowiadania w zgromadzeniu panowała uroczysta cisza. Śpiewaczka, której imieniem brzmiał świat cały, siadła do fortepianu i po uderzeniu kilku akordów z akompaniamentu znaną aryę, czarodziejskim swym śpiewem zelektryzowała całe grono; ale najwięcej wzruszenia, najwięcej zajęcia okazała nasza mała amatorka. Drobne jej rączki złożyły się do okłasku i dłoń o dłoń uderzała bezustannie, przytém nie szczędziła okrzyków podziwiania. — Ojciec dziecka, powszechnie szanowany baron, z wido-

czném zadowoleniem patrzył na tę scenę, która zwróciła na siebie uwagę wszystkich gości.

Śpiewaczką była Malibran — wykonała ona arję Desdemony z opery „Othello“ — dziecko nazywano Anną.

W kilka dni potem dawano Othello w teatrze Wielkiej Opery Paryzkiej. — W ostatniej scenie, gdy okrutny Maur przebija sztyletem Desdemonę i ta pada martwa, rozległ się w sali płacz dziecięcia i te słowa wymówione z naiwną rozpaczą: „Je ne veux pas ça, qu'on me rend mon amie Malibran.“

Za pozwoleniem moje młode czytelniczki, czy wy lubicie piesków? — Nie śmiejcie się, nie bierzcie dwójnacznie mego zapytania. — Ja tu mówię o rzeczywistych pieskach — figlarnych wyżełkach, mopsikach, szpicach, wreszcie o całej psiej generacyi, która szczeka i łaś się, nikomu nie szkodząc, a bynajmniej nie o pieskach kręcących się koło was wówczas, gdy na dziewiczej skroni jaśnieje ułudny dziewiczy kwiatek, albo gdy go z czasem zastąpi diadem z brylantów.

Anna w pierwszych latach dzieciństwa, lubiła nagromadzać u siebie całą kolekcję psów, gołębi, kóz i innych zwierzątek, a ojciec chętnie dogadzając zachceniom ukochanej jedynaczki, dopomagał jej jeszcze w tych zajęciach. — O! nie miejcie mi za złe, że wspominam tu rokoszne chwile dziecięcych igraszek, bo czyżby serce nie ocknie się choć raz na tak lubie pamiątki dni młodocianych! — Wtedy każdy fakt pojedynczo wzięty jest drobnostką, — ale wszystko złączone w jedną całość tworzy jeden cudownej barwy pamiętnik życia, a dni te są w nim najdroższą kartą.

Pewnego razu dziecko zajęte było karmieniem swego do-
bytku, a twarz ożywiona tak miłą rozrywką, jaśniała wyrazem
dziecinnego szczęścia, gdy na raz wszedł wysoki, szczupły
mężczyzna w dość nędznem ubraniu, ale rysów twarzy, mają-
cych w sobie coś tak nakazującego, tyle wzbudzającego uszano-
wania, że każdy czuł się zelektryzowanym pomimowolnie. —
Wszedł, a gdy dziewczę z radosnym krzykiem powitało go, on

uśmiechnął się z dobrocią, lica jego przyjęły wyraz powabnej łagodności, ale widać uśmiech nieczęstym był na nich gościem, gdyż zniknął prędko i oblekły się w znamię poprzedniej surowości. — Dziś jednak gość właścicielki domowego dobytku był widać w arcy dobrym humorze, gdyż wciąż żartował sobie z jej wychowańców i dopomagał karmić ich. Anna zaprosiła go do ogrodu na spacer i na huśtawkę — gość niczego nie odmawiał, a uradowane dziewczę biegło z żywością, śpiewając po drodze. — Nuty brane przez nią były naśladowaniem tych, które słyszała u Malibran. Anna miała dobry słuch i z łatwością naśladowała to, co uderzało jej wrażliwe ucho. Gość długo patrzył na nią i uściśnął jej rękę z przymileniem, a zwracając się do ojca, który nadszedł w tę chwilę, rzekł na pół serio — pół żartem.

— To dziecko, mój kochany baronie, ma wysoką wartość w moich oczach — i wtedy gdy po nas i śladu istnienia nie będzie, świat cały zabrzmi sławą jój imienia.

Żart wielkiego człowieka bywa często wyrocznią w życiu artystów — a słowa te, które wyrzekł Nikolo Paganini ziściły się co do joty w dwadzieścia lat potem.

W życiu Anny zaszła wielka zmiana; opuściła Paryż i udała się do Normandii, aby dogodzić kapryswi starego dziadka, który jako wielki miłośnik historii, geografii i statystyki, chciał koniecznie wyuczyć swą wnuczkę, tych koniecznie jak sam mawiał potrzebnych jęj przedmiotów — a choć biedne dziecię ze łzami żegnało swe ulubione zwierzątka, nie chciało się oprzeć woli dziadka, aby poświęcić się uprawianym przez niego naukom. — W nowém tém ustroniu znalazła towarzystwo składające się z głowy domu, to jest dziadka, liczącego lat 60, babki o kilka lat starszej od niego, 67-letniego stróża domu, oraz 20-letniego psa, jego pomocnika. — Tam to spędziła Anna trzy lata swego życia, lecz poetyczna jęj dusza i tu znalazła dla siebie rozrywkę. — Przysłuchiwała się ona wzniosłej pieśni natury, roztoczonej przed nią w całym blasku, zachwycała się chórem napowietrznych piewców, a niejedną noc spędziła na słuchaniu słowiczych pieśni, które z żywością

dziecka starała się naśladować. — Ta zręczna imitacja zwróciła na się uwagę dziadka, któremu się zdawało, że odkrył w niej talent do muzyki. Postanowił znaleźć jej odpowiedniego nauczyciela, i wybór jego padł na jednego z najślawniejszych w owej epoce mistrzów. Ten stawiał się na wezwanie; dziadek proponował mu, aby dawał lekcye na fortepianie jego wnuczce, pod nader korzystnymi warunkami. — Nauczyciel Anny wziął się z pedancką gorliwością do dzieła, ale w kilka dni znudził się tem i napisał list następujący:

Monsieur! Je suis trop honnet pour prendre votre argent pour rien. Votre petite fille n'a aucune disposition pour la musique et ne deviendra jamais rien dans cet art divin; je refuse à lui donner des leçons. — Votre etc. A. Ponssard.

Odtąd zaczęły się dni smutku i umartwienia dla Anny. Zaczęto patrzeć na nią jako na istotę niezdadną do niczego, i zrządzano jej tysiączne przykrości. — Wówczas napisała do ojca list, prosząc, aby przyjechał po nią; — brzmiał on jak następuje:

„Je ne puis plus rester ici. Si tu ne pouvais pas venir érie moi, je prendrai ma boîte sous mon bras et je me sauve. Ta fille, Anna.“

W tydzień potem znalazła się w miejscu, gdzie spędziła pierwsze chwile swego dzieciństwa, a otoczona staraniem i pieczołowitością ojcowską, zapomniła całkiem o cierpieniach przebytych w nudnej Normandyi.

Do rzędu artystów bywających w familijnym ich kółku przybył Duprèz, Homan i Flotow; — Paganini i Rubini nie opuścili u nich ani jednego wieczoru muzycznego; brakowało tylko Malibran, która w owej epoce opuściła Paryż.

I.

Anna skończyła lat czternaście. Wiek ten przyniósł jej w udziale zawczesną dojrzałość, a wpływ poetycznych marzeń nadał jej postaci wyraz zachwycający.

W salonach hrabiego Castellaz, gdzie bywała często, wiele mówiono o jej pięknej grze na fortepianie i innych talentach, które czyniły ją podziwem wszystkich bliżej ją znających osób.

Temperamentu żywego, nerwowego, wesoła i smutna zarazem, Anna z postępem czasu, nabierała tego wzniosłego charakteru, który tak pięknie się wydaje przy twarzy powłóczonej lekkim rumieńcem, zdobnej zawsze słodkim uśmiechem; a ileż szlachetności, ile poezyi było w tych rysach, jeśli je mgła melancholii powlekła, a gdy palce błędząc po klawiszach dobywały z tamtąd tony melodyjne, całą duszą wówczas oddawała się muzyce, aby zaczerpnąć w niej cząstkę tego boskiego natchnienia, które z artysty robi mistrza, z talentu — geniusza, a z poety — wieszczą!

Było to na wieczorném posiedzeniu u hr. Castellaz. Sala grzmiała oklaskami, każdy przystępował z pochlebne słówkiem do Anny, grającej ustęp z sonaty Mendelsohna — i oświadczał się jej z swoim hołdem, z swoją przyjaźnią.... dziewczica ledwie że nie uwierzyła tym słowom tak one były słodkie, tak ponętne, ale nie wiedziała o tém, że każdy widział przed sobą baronównę, nie artystkę — ale amatorkę.

Któżby mógł pomyśleć wtedy, że to miał być jej przedostatni tryumf w towarzystwie wielkiego tonu. Anna korzystając z chwili przerwy schroniła się do osobnego pokoju i utonęła w słodkim półsenném zadumaniu. Świat zupełnie znikł z jej oczów.... i z rozkoszą błędziła w sferze idealnej.

W tém wyrwało ją z ukłudnych marzeń dotknięcie się jej ręki przez mężczyznę.... wzniosłej postawy, czoła wysokiego, wyrażającego inteligencyę, którego długie włosy niedbale spadały na ramiona. Głos jego dźwięczny, mile odezwał się w duszy dziewczicy i niestarcie wyrwał w niej te słowa:

— Winszuję pani! widzę w niej prawdziwy talent, amóżę i więcej — pierwszy raz słyszę jej grę, ale ręczę, że jeśli będziesz się nią zajmować dalej, staniesz się pierwszą wirtuozką, — jeśli wybierzesz śpiew, będziesz pierwszą śpiewaczką; nie szczęściem sposobią cię ku drugiemu. Daj Boże, żebyś potrze-

bowiała kiedy szukać środków do życia w sztuce, żebyś była przymuszoną rzucić przesady świata i ustąpić swemu wrodzonemu powołaniu — a nabędziesz sama przez się najlepszy tytuł — tytuł geniuszu.

— Kto jesteś proroku, — zapytała nieśmiało dziewczina.

— Franciszek Liszt, — odpowiedział młody człowiek i skłoniwszy się z godnością, wyszedł z pokoju.

Przepowiednia Liszta dodała nowej energii dziewczycy; z zamiłowaniem oddała się sztuce śpiewu i w dwa lata potem miała sposobność wykazać ją na jaw w całym blasku.

Anna tylko co wstała od fortepianu, i jeszcze niemal ostatni dźwięk jej głosu drgał w powietrzu, gdy drzwi się otworzyły i weszła baronowa L* w towarzystwie dwóch innych dam znanych opiekunek Towarzystwa Dobroczynności.

Mina ich miała w sobie coś uroczego.... widocznie miały coś ważnego oznajmić dziewczycy.

Anna z uprzejmością pośpieszyła na ich spotkanie, ale na widok ich surowej fizjonomii zatrzymała się nieco zdziwiona.

— Zdarza się sposobność pani, spełnić uczynek chrześcijański i wykazać swój piękny talent na jaw, wyrzekła z godnością, nowo przybyła. — Na cel dobroczynny dana będzie wkrótce improwizowana opera, w której cała arystokracja przyjmie udział. Pani służy główna rola. Wybór ten padł na nią, jednogłośnie.

— Czy podobna pani! ja mam się dać słyszeć publiczności?... o ile pochlebny jest dla mnie ten wybór, o tyle nie wiem czy będę w stanie.

— O my jesteśmy zupełnie o nią spokojni, kto słyszał śpiew jej ten, dosyć ma przekonania, bo dźwięki jego nigdy nie wyjdą nam z pamięci.

Te słowa jeszcze więcej zmieszały dziewczycę; zawsze skromna, bez najmniejszego cienia zarozumiałości o sobie, nie poj-

mowała jeszcze jak można cenić to, co w jej oczach miało tak małą wartość.

Ciągle jednak uprzejma, z chęcią skłoniła się do życzenia swych gości.

Świetnem też było zebranie, które nosiło w owęj epoce w Paryżu nazwę: „Widowisko na cel dobroczynny.“ Członkowie należący do niego wybrani byli z łona pierwszej arystokracji, dobijano się też o role jak o zaszczyt jaki, i dość powiedzieć, że w rzędzie osób wchodzących do tego widowiska liczono w samym chórze kobiet: trzy księżniczki, pięć margrabin, więcej jak piętnaście hrabianek i wicehrabianek; nikt mniej jak baron lub baronówna, nie mógł należeć do aktorsko-arystokratyczno-amatorskiego grona. Członkowie tej improwizowanej trupy pochodzili z klasy magnatów i spieszyli na to tylko na deski teatralne, aby wykazać kaprys pana, sentymentalność bogacza.

Podniesiono zasłonę... szesnastoletnia primadonna wystąpiła na scenę — zaledwie pierwsze dźwięki uleciały z jej piersi tchnącej młodzieńczym zapalem, gdy huczne oklaski zabrzmiały w około... głos dziewczycy wzrastał stopniowo i przybrał zadziwiającą expressyę. Malibran, Grisi, Persiani, odzywały się w jej śpiewie. Czarujący urok rozpostarł się w około. Słuchano i niewierzono własnemu uszom. Młoda śpiewaczka oparowała zgromadzenie mocą swojej cudownej sztuki, w której łatwo już można było odgadnąć przedzierający się geniusz. Zwolna zapal publiczny przeszedł w entuzjazm; rzucano na scenę wieńce, kwiaty, rzucanoby brylanty nawet, gdyby nie obawiano się obrazić niemi primadonnę, która posiadała je na równi z poklaskującymi.

I imię kompozytora improwizowanej opery powtarzano stokrotnie, i odebrał laur sławy, który dodał do zebranych już poprzednio, w zawodzie kompozytorskim. — Improwizowaną operą była „La Duchesse de Guise.“ Libretto ułożył Saint-George, autorem jej był Flotow.

Wzruszona, drżąca niemal z nieznanego dotąd wrażenia, Anna wyszła za kulisy, ale i tam nie było miejsca odetchnąć swobodnie; tysiąc oczów śledziło ją; — w tém spojrzenie ję padło na ojca, który stał nieopodal... blady, zmieniony na twarzy. Tryumfy córki nie rozlały na jego lica téj radości rodzicielskiej téj dumy ojcowskiej, której spodziewać się należało; znekany, upadający zda się pod ciężarem troski wydał się w téj chwili córcie cieniem z pozamogilnego świata.

Zadrzała dziewczica, zimny pot wystąpił na ję czoło.

— Ojczy, drogi ojczy! wyszeptala z boleścią, ty cierpisz, ty gniewasz się może na mnie. Na miłość boską, co znaczy ten straszny wyraz twarzy. Nie ukrywaj przedemną smutnéj prawdy!

— Nie mogę ję ukryć, chociażbym chciał nawet. Zbyt głośną jest ona w mieście. Tak moja córko, jesteśmy zrujnowani, ogołoceni ze wszystkiego — w chwili gdy tu panuje szal entuzjizmu przy wymówieniu twego nazwiska, tam po za kulisami wymawiają je z szyderstwem, może być urągają mu z posmiewiskiem. Bom ja bankrut moja córko. — Nie płacz, nie płacz (mówił dalej) widząc łzy córki, jam bankrut na majątku, ale nie na czci, nie na dobrej wierze. — Zabrano nam całe mienie na opłatę długów, ale imię bez skazy na wieki nam pozostanie.

— Ojczy! wykrzyknęła z boleścią dziewczica, czyż zapomniałeś o mnie. — O! dzięki ci Boże, żeś mi dał talent w udziale, i pozwolił czerpać z skarbów sztuki i natchnienia. O dzięki ci Liszcie! za twoję przepowiednię. Teraz nadszedł czas poświęcić się swemu powołaniu — zostać artystką i spełnić najświętszy obowiązek wdzięczności dziecka dla rodziców. — Ojczy! wstępuję do teatru, a da Bóg zostanę primadonną!

Uśmiechnął się z goryczą starzec i wybąknął:

— O nie wiesz! jeszcze, co to świat i ludzie na nim.

W téj chwili, jakby na potwierdzenie ję słów, doszedł do ich uszów, głośny sarkastyczny śmiech, ze strony widzów. Nowina o bankructwie barona przechodziła z ust do ust; wieść nawet o zamiarze wstąpienia ję na deski teatralne dostała się

z za kulis do wnętrza teatru, i obudziła powszechne naigrwanie. Ci którzy już wstydzili się znajomości z dziewczicą, wzruszali pogardliwie ramionami i uśmiechali się złośliwie szeptaając zcicha; ludzie zaś jak to mówią bez czci i wiary, głośno się śmieli i rezonowali!

II.

Zamiar Anny był stanowczy i nieodwołalny, postanowiła puścić się w świat, aby zapewnić sobie karierę artystowską i stanowisko niezależne. Ojciec i dziadek ję sprzeciwili się stanowczo temu zamiarowi i układali projekta małżeńskie. Chciano ją wydać za mąż za starca mającego 70000 liwrów rocznego dochodu i 70 lat w zapasie. Obliczono każdy ję wdziek na brzęczącą monetę, z góry już oceniono ich wartość ale wszystkie te plany rozbijały się o hart niezłomnéj woli dziewczicy. Nauczyła się cierpieć i umiała się oprzeć tym pokusom.

Matka Anny podzielała ję zamiary, bo serce ję odgadło świetną przyszłość córki, a dusza przejęta była radością na samą myśl o tém.

Ala zbywało na środkach wyjazdu.

Anna udała się po radę do znajomych dam; chciała ona dać koncert na opędzenie kosztów podróży.

O te dobre damy! one tak skwapliwie wzięły się do udzielania rad, jak dalekie były od czynnego wdania się do ję losów; radziły ję dawać lekcye śpiewu i muzyki.

Niepodobieństwem jest bowiem, mówiły one, zrobić się sceniczną królową, będąc poprzednio królową towarzystwa.

— Mais c'est une fille dangereuse, que cette fille là, mówiły dobroduszné staruszki.

— Tant mieux, odezwwały się młode, nie przypuszczając nawet, aby można było zyskać pieniądze za talent i rozum; nie sprzedawszy poprzednio honoru, sumienia i niewinności!

Wiele rozprawiano, mnóstwo było zdań podzielonych, ale nikt nie spieszył z pomocą, nie usłyszała ani jednego pocie-

szającego słowa. Pozostawiono ją samą sobie i zimno patrzano na to, że upadek, że bięda, do ostatniego szczebla nędzy doprowadzić ją mogą. Zaiste! straszne położenie dla dziewczyny z wyższym ukształceniem, i jak tu nie zlorzeczyć tym egoistom wielkiego świata, których nie obchodzi nic zgoła, nic, co tylko nie dotyczy ich żądz i namiętności, z uśmiechem spoglądają oni, jeśli dziewczica wychowana w ich sferze, puści się bez opieki na skalistą drogę życia i jeśli przebędzie ją suchą nogą, nie powalawszy nawet podeszwy trzewika. Największy nawet heroizm w takim razie jest dla nich niczem, bo zawsze pomrukną z ironią: *Ce n'est pourtant qu'une femme de planches!*

Anna pogardziła przeszkodami, wzgardziła opinią egoistów i postanowiła iść śmiało naprzód. Serce i dusza ciągnęły ją do Włoch, do kraju marzeń i natchnienia, do świątyni sztuk i przybytku jeniusza, i tym razem usłuchiwała głosu serca, ale szło jeszcze o środki materyalne.

Znowu wieczór muzyczny, ale teraz jest to próba jej talentu przed koncertowy egzamen. Dziś jednak ci sami ludzie, co kiedyś poklaskiwali z uniesieniem, siedzą zimni i milczący. Żaden z nich nie spieszy z oświadczeniem swych usług; patrzą oni już na Annę jako na kobietę fachową.... ciągnącą zyski z swego talentu, bo potęga arcyzmu, jest w ich oczach, czczą legendą. Znaleźli się przecież tacy, którzy udzielili jej listy rekomendacyjne zagranicę.... te listy chłodne, bez sensu, które piszą się zazwyczaj na jeden sposób, tak sobie, z musu, z prostej grzeczności, nie prosząc w nich o odpis, nie gniewając się za zlekceważenie ich bo pierwszy lepszy, który upomni się o nie, będzie ich miał pod dostatkiem, każdy Pan tak chętnie się podpisać lubi, aby przy końcu dodać wyraz „hrabia“, lub „książe!“. Listy te dają się pretendantom odpieczętowane, aby nie wątpiono o ich rzetelności. Są pomiędzy nimi wyjątki, bo i gdzieś ich nie ma, ale coraz rzadsze w naszych czasach i

obecnie znalazł się w rędzie innych list opieczętowany szczególnie, napisany przez damę wysokiego urodzenia, adresowany do księcia H. austriackiego generała w Medjolanie. O ten list!.. *)

Z ściśnionem sercem i nader szczupłemi funduszami opuściła Anna wraz z matką Paryż, odbywając swoją podróż przez Bordeaux, Tuluzę i Marsylię.

W Marsylii w salonach hrabiego de Kastelan, spotkała poetę Méry, który napisał dla niej wiersz następujący, przepowiadając jej świetną przyszłość:

Vous serez grande un jour, mon presage est certain;

De votre vie encore vous n'êtes qu'au matin,

Déjà votre voix nous excite.

La palme d'Italie au soleil vous attend,

Et Rossini joineux sur son trône éclatant

Dira: Malibran ressuscite.

Który można oddać temi słowy:

Tak młoda i już z mistrzów zrównała się chwałą,

I niestarte wrażenie zostawia po sobie.

Dlaczego? bo jej ranię słońce zajaśniało,

Które zwykle przyświeca na jeniuszów grobie.

Pod włoskiem niebem, palma twa wcześniej dojrzeje,

Bo wczoraj już jutrenka twój sławy wschodziła,

Rossini na swym tronie karmi tę nadzieję,

Że się druga Malibran w tobie odrodziła.

*) Niewiadomo jaki byłby koniec tego wszystkiego, gdyby nie pospieszył z radą i pomocą dla bohaterki naszej, wielki artysta, przyjaciel ludzkości i nieporównany śpiewak Lablache. Jemu to zawdzięcza ona środki wyjazdu, on wskazał jej prawdziwą drogę do celu, zaopatrzył w listy przyjacielskie do znakomości społecznych włoskich, polecił ją Rossiniemu, i w końcu błogosławił na drogę... drogę do wziętości i sławy.

(Przyp. wydawcy.)

Anna przybyła do Medjolanu i w tém mieście zamieszkała czasowo, chcąc wyuczyć się włoskiego języka. Lamperti był jęj nauczycielem. Zaraz po przybyciu rozesłała wszystkie listy polecające, ale czemuż zadrzała jęj ręka, gdy schwyciła list zapieczętowany.

Smutne przeczucie pierś jęj ścisnęło, nie mogła sobie zdać sprawy z swego niepokoju, trzy miesiące leżał on na jęj biurku, i nie miała dość siły ani go oddać ani też odpieczętować. Nareszcie ulegając pokusie wrodzonęj kobietom ciekawości, a zresztą mając wszelkie prawo do zaspokojenia swych życzeń, oderwała pieczęć i zaczęła czytać złowieszcze pismo.

Oto jego osnowa: „Kochany książę! polecam twoję opiece pannę pochodzącą z dobrego tonu, która niedawno jeszcze grała wielką rolę w świecie, ale wraz z utratą majątku, wszystko przepadło, a zostało tylko czcze marzenie. — Z biędy chce się teraz wykierować na artystkę. Znam twoję szczególną skłonność do śpiewających i wędrownych ptaszynek, i dla tego też polecam ci moją protegée; ma ona wyższy talent jako artystka, a prócz tego przymioty, które wielce cenisz, a mianowicie: żywe oczki, zgrabną kibić i twarzyczkę godną grzechu, a do tego wszystkiego nie pełna 17 latek. Odsadź matkę jakimbyś sposobem, nie szczędź kosztów i zabiegów, bo sam przyznasz, że to kasek nielada. Spodziewam się, że wdzięczny mi będziesz za moję rekomendację i poweźmiesz niepłonne przekonanie o przyjaźni Hrabiny S.“

Czytając ten list ohydny biędne dziewczę czuło jak dreszcz przeniknął całą jęj istotność; łza żalu i oburzenia spłynęła po jęj pobladłych licach. W pierwszym uniesieniu łkając głośno chciała opuścić Medjolan, powrócić do Paryża, zostać guwernantką, nauczycielką; teraz pojęła trudne zadanie osieroconęj przez los artystki, która niedość, że wystawiona jest na ciągłą pracę i naukę, że przebywać musi tysiące niepowodzeń, przewycięzać intrygi i złość ludzi zazdroszczących jęj talentu, znosić musi jeszcze tortury krzywdzącego podejrzenia i stać w opinii dumnych bogaczy, gorzej jak niejedna

tuzinkowa piękność, która całe życie tylko spędza w rozkoszach, frymarząc wdziękiem i honorem.

O to, okropnie, powtarzała dziewczica, tonąc w łzach i rzucając się w objęcia matki, czemuż los odebrał nam bogactwo, myśmy nigdy nie żyli cudzym kosztem, nie zazdrościliśmy nigdy ludziom ich sławy, mienia, dostatku, spieszyliśmy chętnie z pomocą każdemu, a teraz świat nam urąga i lada magnat pastwi się nad naszą niedolą. Matko, wyjeżdżajmy ztąd, rzućmy to siedlisko zepsucia i hańby!

Napróżno jednak obijały się te rozpaczne słowa o uszy matki, one rozdzierały jęj serce, szarpały duszę, ale wyjazd był już niepodobny, zbywało bowiem zupełnie na środkach.

Anna posłała kilka listów do dziadka, zwrócono je nieodpieczętowane; nareszcie trzeba się było udać do łaski lichwiarzy, szukać w pracy ręk opędzenia najpierwszych potrzeb życia; biędna dziewczyna chwytła się wszystkiego co tylko nie sprzeciwiało się świętym zasadom poczciwości wpojonym w nią od dzieciństwa. Nareszcie wyczerpały się ich wszystkie zasoby, najokropniejsza rzeczywistość zakolała do ich domu, nędza doszła najwyższego szczybla. Upłynęło 3 lata.

Wówczas rozpacz ogarnęła duszę dziewczicy, z każdym dniem coraz więcej traciła siły, już niemal opuszczała ją wiara w Opatrzność i nadzieja lepszego bytu; cierpienia jęj były tym dotkliwsze, że wraz z nią była wystawiona na próby losu matka, dla której by z chęcią poświęciła rok życia za dzień lepszy teraźniejszości.

Wówczas to przyszła jęj myśl zwątpiwszy o pomocy ludzkiej udać się pod opiekę wampirów.

* * *

Nie bójcie się czytelnicy, nie wprowadzę was w świat duchów, chociaż jako Wampir słuszne bym miał do tego prawo. Powiedziałem wam już na wstępie, że na świecie tyle się kręci Wampirów, że nie ma potrzeby szukać ich po zagranicami ziemi. Tym więc razem także udam się z wami do Włoch, i

zapoznam z nową kastą krwiożerczych duchów, znaną pod imieniem impressario.

Anna jak wiadomo przyjechała już z Francji z tytułem śpiewaczki, a jednak nie mogła znaleźć miejsca dla siebie w żadnym teatrze Włoskim, nie mogła uzyskać ani jednego debiutu, aż stanęła wreszcie na brzegu przepaści, z której ją tylko Wampiry wydzwignąć mogli. *) Jeden z nich ofiarował swoje usługi zaraz po jej przybyciu do Medjolanu, ale ta odmówiła z pogardą. Niezrażony niepowodzeniem zgłosił się po raz drugi i trzeci, ale zawsze nadaremnie; nareszcie zniecierpliwiony oświadczył Annie z pasją, że może bezpiecznie wrócić do swego kraju, gdyż we Włoszech nigdzie wstępu nie znajdzie.

Trzy lata próby, a raczej trzy wieki cierpień, niedoli, przekonały Annę o smutnej prawdzie słów jego: Lecz też wytrwałość jej chwiać się poczęła, już chciała uleść okropnemu swemu losowi, gdy nagle Opatrzność zesłała jej pomoc w oso-

*) We Włoszech zwłaszcza w Medjolanie istnieje klasa ludzi, a raczej szatańców zwanych *Impressario*, (Entreprenerzy teatrów) albo dostawcami, lichwiarzami i t. p. Ludzie ci wychodzą najczęściej z tuzinkowych aktorów, którzy w ciągu trzydziestu lub czterdziestu lat swego zawodu zdołali sobie rozmaitemi sposobami uciulać majątek, i gdy już nie są w stanie nic zarobić gardłem lub nogami (są to bowiem po największej części tenory i tancerze), robią, wedle ich własnych słów, pewny obrót swemi pieniędzmi w sposób następujący. Jeśli pomiędzy ich uczniami lub uczennicami, których zazwyczaj mnóstwo w Medjolanie, znajdzie się talent wiele obiecujący na przyszłość i jest, co się najczęściej trafia, w przykre położeniu, zjawia się pan *Impressario* (to jest Wampir) i proponuje potrzebującemu 500 albo 1000 lirów, obowiązując się dawać tyle corocznie, a nawet w ostatnim razie i kilka lat z warunkiem, aby przy końcu nauki zaraz po pierwszym debiucie artysta należał duszą i ciałem do swego Wampira (coś nakształt kontraktu Mefistofila z Twardowskim), oddawał mu potem wszystko co zarobi, a w zamian otrzymuje nędzny pokarm, lichą odzież i bezpłatny przewóz z jednego miejsca na drugie swego wycieńczonego ciała. Takie to kontrakty zawierają się najczęściej u notaryuszów

bie 80 letniego Markiza Medicis. Anna zaangażowaną została do małego miasteczka Varese, a następnie do Pawii. Teatr tameczny był widownią wypadku, który niejedną zajął kartę w pamiętnikach życia artystki.

* * *

Pierwszy debiut, ileż on połączył w sobie ułud, nadziei i ile uczuć sprzecznych z sobą i niestartych pamiętek. O! nigdy wspomnienie jego nie zginie w pamięci prawdziwej artystki. Pierwszemu debiutowi towarzyszy zwykle ciekawość publiczności, zwłaszcza jeśli artystka jest młoda i piękna, — zapal jeśli przywiozła z sobą imię Europejskie. Ale jedno i drugie jest warunkiem względnym, a bezwarunkowo towarzyszy jej zawiść współzawodniczek, złość nieutajona partyzantów innej jakiejś primadonny, która drży aby nie stracić palmy pierwszeństwa i artykuły gazet pisane już naprzód piórem umaczanem w żółci przez pokątnych feljetonistów, którym

pochodzących z tej samej karty co Wampir, z nadmienieniem, że jeśli *Impressario* zechce ustąpić swego śpiewaka innemu swojemu kolledze, albo wysłać go choć na koniec świata np. do Kalifornii, ma do tego zupełne prawo. Kontrakty te tém się różnią od zawieranych dawniej przez djabła cyrografów, że są spisane na prostym tylko papierze, a nie na byczej skórze. Rezultatem ich bywa zazwyczaj, że śpiewak lub śpiewaczka po skończeniu kontraktu traci głos, zdrowie i idzie w świat, jak to mówią z torbą na plecach i kijem w rękę, a Wampir zyskuje dwakroć lub trzykroć sto tysięcy lirów. Lonari, Merelli, Kosty, Borboja, byli to głośniejsi *Impressario*, którzy rządili losami znakomitych śpiewaków i śpiewaczek, jako to: Ronconiego, Betiniego, Gardoni, Corbari, Grisi, Galvani. Wszyscy oni uciekli od swoich *Impressario* i mają processa w Medjolanie na 100 do 200 i więcej tysięcy lirów. Niektórzy okupili się kilkoma tysiącami, a ostatni z nich Galvani zdaje się, że dotychczas jeszcze znajduje się w rękę swego Wampira, i mając przeszło 40,000 dochodu na trzy miesięczny sezon otrzymuje na swoją część 2250, a trzydzieści siedm tysięcy ustępuje na korzyść swego *Impressaria*.

(Przypis wydawcy.)

debiutantka nie posłała gratisowych biletów na swoje wystąpienie i nie złożyła osobiście swego uszanowania. *)

U nas zawiść i zazdrość daleko więcej mieści się w słowach jak w czynie. Na tysiąc ciosów wymierzonych, jeden trafi zaledwie. Złość długo cierpi w sercu zanim wybuchnie, a zemsta od czasów Bony istnieje tylko w podaniach. We Włoszech zawiść i zemsta to dwie rodzone siostry, tam niestety namiętność wzrasta gwałtownie i szybko pod ognistym słońcem południa, owoc zemsty dojrzewa zaraz po zasianiu go,—tameczna niwa oddycha zemstą, i jeden zaledwie cios z tysiąca nie dojdzie swego przeznaczenia.

Długo co noc przesiadywała Anna ucząc się swęj roli, drząc na samą myśl wystąpienia przed publicznością, do której nie przywykła jeszcze, tak mało miała jeszcze doświadczenia w zawodzie teatralnym, w intrygach zakulisowych. Bawiły ją wybryki scenicznych Donżuanów, cieszyły serdecznie zapewnienia przyjaźni jej kolegów i koleżanek, szczerze ścisłała dłoń zdradziecką i wierzyła w przyjaźń tych, którzy jej śmiertelną nienawiść poprzysięgli. Skromna, niepodejrzliwa i ufna we wszystko, patrzyła na świat zakulisowy oczyma poetki a nie aktorki, bawiła się w poezję z ludźmi, którzy z nią odgrywali komedję.

* * *

Nareszcie nadszedł pamiętny dzień. Anna odbyła pomyślnie repetycję i wieczorem stanęła przed oczyma Włoskiej publiczności. Jak wielka różnica była od wystąpienia jej w Paryżu!... tam uważano za szczęście nieść jej hołdy i uwielbienie, tu przeciwnie oklask był dla niej szczęściem, bo stanowił o jej przyszłości.

*) Dodać tu należy, że Wampiry są zazwyczaj we Włoszech dziennikarzami i współpracownikami pism, a piszą co im tylko na myśl przyjdzie i tamują tym sposobem drogę artystom do uzyskania wziętości, a tymbardziej do osiągnięcia jakiegokolwiek korzyści ze swego talentu.

Zabrzmiały czarowne dźwięki; słyszeliśmy je niedawno rozlegające się w cudnej barkaroli Rossiniego i rozpoznaliśmy w nich odcienia wszystkich szkół połączonych razem,—czy to przemawiała z nich religijna nuta Meyerbeera, czy tkliwy język jeniałnej myśli Belliniego która znalazła w śpiewacze nieporównanego tłumacza, albo zabrzmiał znów silny, zdaje się rozdzierający piersi, passaż wojenny Verdi, który również natrafił na głos przełamujący wszelkie trudności, albo czuła melodya Węgierskiej pieśni, skoczny trel mazurka lub walc primadonny elektryzujący całą istotność. Ale dość tego, publiczność się niecierpliwi. Czy widzisz ten niemy wyraz podziwu na twarzach licznego zgromadzenia? Czy słyszysz ten szmer wieloznaczący, który rozszedł się w około? Patrz u wszech stron dłoń nachyla się do oklasków i grzmiący okrzyk przywołuje Annę do wrót tryumfalnych, czemuś umilkła ona—bo publiczność nie daje jej zacząć nanowo czarodziejskiej pieśni, którą ukołysała słuchaczy. Publiczność nie spuszcza z niej oczu, chcąc się przekonać czy to anioł czy kobieta.

Włoch ma skłonność nader duszę do wiary w nadprzyrodzone jestestwa, wyobrażenia jego już od dzieciństwa krąży w świecie idealnym, lubi widzieć w zgrabnej tancerce, sylfidę; w śpiewacze, bóstwo.

Długo brzmiały oklaski i wrzawa, nareszcie znużona publiczność odpoczęła nieco. Anna odśpiewała arya ostatnią i zapal publiczności był bez granic; żegnano ją z niesłychanym entuzjazmem i deszcz bukietów spadł na scenę u stóp wzruszonej do głębi serca primadonny.

W tej chwili w jednej z łóż rozległ się złowrogi okrzyk „Maladetta“ który powtórzyły dwa głosy męskie i kobiece. Groźny był ten wykrzyk, tem groźniejszy bo wyszedł z ust włocho i włoszki! Biedna Anna!

— Ty mnie kochasz Urbanie, mówiło wieszając się na szyi studenta młode dziewczę— daj mi dziś dowód.

I oko jęj pałało, twarz przyjęła złowrogi wyraz, usta posiniały.

— Ty zgubisz ją, ja nie mogę patrzeć na jęj tryumfy, nie mogę ścierpieć jęj wyższości, całe piekło wre we mnie... Petro! i tu jęj dłoń schwyciła rękojeść sztyletu tkwiącego za pasem, jeżeli ona żyć będzie, ty zginiesz i ona z tobą, czy słyszysz?

Młodzian zamiast odpowiedzi namiętnie uściśnął dłoń mówiącej dziewczicy — szatana.

— Kamillo, ty powątpiewasz o mnie, ty nawet na chwilę myśleć możesz, że nieprzyjaciele twoi nie są moimi. Jutro zaśpiewamy de profundis na grobie tęj przeklętęj francuzki.

— Amen, powtórzyła dziewczica i palący włoski pocałunek wycisnęła na licach kochanka.

Wybiła pierwsza godzina po północy. I nieszczęściem wbrew zdaniu romansopisarzy, którzyby chcieli aby w tęj chwili zahuczała burza i wiatr wyrывał drzewa z korzeniami, noc była pogodna i cicha, i balsamiczna woń kwiatów wciskała się przez otwarte okna do pokoju, w którym toczyła się ta piekielna narada.

We Włoszech, nawet i zbrodnia może się napawać czaro-dziejskim urokiem nocy.

Nadeszło to straszne jutro, ani jedno miejsce niebyło puste w teatrze. Anna stała się ulubienicą publiczności.

Z łóż dolatywała do sceny woń kwiatów i bukietów przeznaczonych dla tryumfów primadonny tego wieczora. Była jedna arya w sztuce, którą grać miano, poruszająca niby iskrą elektryczną całe zgromadzenie — przy tęj aryi bukiety i wieńce zawsze spadały na scenę przy wykrzykach fora (bis).

Wówczas gdy u każdęj włoszki tkwił sztylet za pasem, Anna natomiast przypinała tam bukiet kwiatów, ktoremi lubiła się napawać, bo w każdym listku jego widziała dla siebie go-dło tryumfalnéj pamiątki.

Nastąpiła wiadoma arya. Przy pierwszych jęj dźwiękach rozszedł się szept pochlebny, wkrótce potem długotrwały okrzyk rozszedł się w około, i w tęj chwili do nóg uwielbianęj primadonny upadł pyszny bukiet kwiatów z białych róż świeżych, wonnych, o dwa razy przewyższający wielkość tego rodzaju bukietów, niemogąc przypiąć go do piersi oddała go służącęj aby odniosła go do jęj gotowalni.

Nagle jakiś rozruch wszczął się w teatrze, na twarzy widzów znać było przerażenie, umysły wzburzone były zewsząd.

Starzec jakiś wychodząc z teatru usłyszał na korytarzu te złowieszcze słowa „e ben, il colpo i fallo — buchetto e gettato“ (dobrze cios trafił, bukiet rzucony).

Starzec wiedząc do czego we Włoszech zazdrość doprowadzić może zabiegł do garderoby Anny krzycząc „buchetto! buchetto“, i zastał tam służącą leżącą bez zmysłów na podłodze a przy nięj bukiet zatruty.

Starzec entuzystą oddał go w ręce policyi; odkryto winowajców, któremi byli wiadomy student i śpiewaczka, ale ostatnia miała wpływy u znakomitych osób, student pochodził ze znakomitego rodu, oboje wysłano z miasta i zatarto całą sprawę.

Furya zemsty czuwała jednak jeszcze i czekała tylko chwili sposobnéj, aby wybuchnąć z całą gwałtownością.

W kilka dni potem Anna wyszła na balkon aby odetchnąć świeżem powietrzem i spoglądając w niebiosa posłała tam cichą modlitwę do Stwórcy, aby wspierał ją na ślizkięj drodze sławy, na której pierwszym szczeblu tak srodze dotknięta została.

W tęj chwili ostry kamień rzucony wprawną ręką rozbił szyby u okna... Anna zachwiała się i upadła bez czucia na ziemię.

Opatrzność uchroniła ją od zguby.

Od téj chwili uczucie melancholii wrosło że tak powiem w jęj duszę—wzniosły jęj charakter opierał się z łatwością tym wszelkim pokusom napotykanym na drodze doczesnego życia artystki, które uważane były przez jęj współzawodniczki za niepodobne do przezwyciężenia... Było coś świętego w całej jęj postaci do tego stopnia, że nazywano ją we Włoszech monaca in teatro (zakonnica w teatrze) a było to już dowodem wielkiego poważania w kraju, który plotkę za częstkę szczęścia uważa.

* * *

Bolonia pozostawiła nader przyjemne wrażenie w duszy dziewicy... Tam znalazła ona przyjaciela w osobie męża, którego jęj pozazdrościła cała Europa. — Był to Rossini!...

On otoczył ją swoją opieką — on wlał swój twórczy jeńusz w utwory śpiewane przez nią i zrobił z nięj w ciągu dwóch lat skończoną artystkę.

On wskrzesił w nięj nową Desdemonę (w Otello) ideał Rozyny (w Cyruliku Sewilskim) i ją przeznaczył do zbierania tryumfów w Semiramidzie — i wyjechała z tamtąd unosząc z sobą zaszczyt, który niewielu dostał się w udziale — tytuł członka akademii i profesora.

Później Węgry zabrzmiały odgłosem jęj tryumfów gdzie dostąpiła tego i samego zaszczytu co w Bolonii w Akademii Santa-Polonia, a potem i Turyn uświęcił jęj przybycie. Towarzystwo tameczne złożyło jęj złoty wianek w ofierze.

Rozpromieniona jęj wyobraźnia tyloma tryumfami wskazała jęj starożytny Rzym, jako ułudną krainę, natchnienia i zapалу do sztuki, i wkrótce dumna niegdy stolica świata ujrzała ją w swoich murach.

* * *

W tem miejscu pamiętnik naszej bohaterki obejmuje opis zdarzenia, które opisał w „Siècle“ znakomity feljetonista

Jules Lecomte naoczny świadek téj sceny. — Powtarzamy je dla uzupełnienia naszego opowiadania.

Tryumfy nagromadzone w Rzymie rozplomieniły wyobraźnię młodych zapaleńców do tego stopnia, iż wielu z nich wraz z hołdami które składali u stóp, chcieli jęj przynieść w ofierze coś droższego... serce...

Największym jednak entuzjastą okazał się Hrabia B.... który oświadczył iż odkąd usłyszał Annę... życie bez nięj staje mu się ciężarem... Bogaty, niezależny, mógł rozporządzać swoją ręką i losem... największa więc ofiara dla władczyni swego serca nie miała ceny w jego oczach. Nie było szaleństw na któreby się nie zgodził z chęcią, aby tylko osiągnąć cel swoich marzeń. Zamek jego był położony w okolicy Rzymu. Hrabia kazał urządzić już apartamenta na przyjęcie przyszłej hrabiny... i zaprosił do zamku ją wraz z matką — urządził wszystko zbytkowne, ale z gustem odpowiednim charakterowi i zamiłowaniu śpiewaczki. Wiedząc, że lubi kolor niebieski zrobił go odznaczającym się na każdym kroku. Buduar artystki mieścił w sobie to wszystko co tylko sztuka i bogactwo dostarczyć może... na toalecie leżało mnóstwo drobnostek w których Anna miała zamiłowanie — i otoż na nich umieścił Hrabia ten napis „To wszystko poświęcam téj, która może rozstrzygnąć stanowczo o mojem szczęściu, w przeciwnym razie spalę ten zamek“.

Nazajutrz postanowiła Anna opuścić Rzym, w tem oznajmiono jęj przybycie dwóch osób: Dyrektora Teatru Weneckiego i kamerdynera Hrabiego. Pierwszy podał jęj do podpisu wielce korzystny dla nięj kontrakt, drugi — list od swego pana.

Anna dała obydwu krótką i lakoniczną odpowiedź, na pierwszym napisała: „Je m'engage d'être à Venise le 15 Octobre“, a na drugim „Je vous souhait de tout mon coeur d'être heureux... sans moi!“

I Primadonna nasza wyjechała z Rzymu unosząc z sobą tytuł członka Akademii Santa Cecilia.

* * *

Z tamtąd pośpieszyła ona na otwarcie nowego Teatru w Askoli w Romanii. Przy wejściu do niego postawiono na jej cześć posąg marmurowy.

Było to w Padwie. Jakież to pochód uroczysty, cóż to za processya! poprzedzona złocistą tryumfalną lektyką... a w niej postać kobiety uwieńczonej laurami, niesionej w tryumfie wśród hucznej muzyki, i okrzyków zebranego ludu. To jest Anna! to nowy jej tryumf.

Z boku generał dywizyi d'Ampe z swoimi oficerami, studenci uniwersytetu i wielbicieli jej talentu zamykali pochód.

— O! wspomnienie tej chwili, powtarza dziewczę, żyć będzie wiecznie w mojej pamięci, bo to jest chwila zupełnej nagrody dla artystki... chwila która zastąpić ma cały wiek trudów i cierpień.

Takich chwil jeszcze kilka powtórzyło się w pierwszej połowie życia naszej bohaterki a pełnych uroku i zajęcia.

* * *

Nastąpił 1848 r. Polityczne wypadki tej epoki wiadome są wszystkim, nie widzę więc potrzeby ich tu powtarzać, wspomnieć nam tylko wypada, iż wywarły one zgubny wpływ na zabawę... i opera włoska upadać zaczęła widocznie.

Jeszcze Wenecja brzmiała odgłosem tryumfów Anny połączonym z wściekłością rozhukanego motłochu, który niszczył wszystko co mu na zawadzie stało, w grabieżach i łotrystwach nie znał miary. Kiedy wielka śpiewaczka opuściła to miasto, uchodząc na małej rybackiej łodzi od tego powietrza technącego anarchją i śmiercią — szukała schronienia w Wiedniu, ależ tu napotkała bandy rewolucjonistów, które napadały na wszystko co tylko przypominało niedawną świetność i siedlisko panów. Rozbestwiony tłum zerwał afisze, i przymusił Dyrektora Teatru znieść wszystkie zabawy publiczne, a między niemi i operę włoską.

Była to właśnie epoka w której bohaterka nasza miała zacząć drugi okres życia kobiety. Serce jej uczyniło już wy-

bór została narzeczoną i wkrótce nastąpił dzień przyjęcia więzów Hymenu.

Było to 17 Lipca 1848 roku. Obrzęd odbył się w Greko-Unickim kościele. I primadonna zajęta jedynie myślą nowych obowiązków, w obrębie domowego życia, zapomniała na chwilę o tryumfach, o sławie, o wszystkim na świecie, i zajęła się słodkiem uczuciem teraźniejszości.

Anna nie mogła jeszcze zapomnieć, że była kobietą.

.....

W miesiącu Marcu odżyła jednak w duszy artystki tęsknota za sceną i chętnie zgodziła się na prośby Dyrektora Niemieckich Teatrów znajdującego się w nader krytycznem położeniu, aby dać kilka przedstawień. Nie zadziwicie się, gdy wam powiem, iż niedługo potem wyjątki z Purytanów, Cyrulika Sewilskiego, Otella i inne, stały się popularnemi i powtarzane były zewsząd, albowiem występowała w nich Anna. Wtedy to właśnie zbliżyła się z wielkim człowiekiem, a jeszcze większym kompozytorem. Był to Meyerbeer.

* * *

Meyerbeer pieścił na swem łonie najpiękniejsze dziecie swojej wyobraźni, *Proroka*. Oddać je wówczas komukolwiek nieumiejącemu się z niem obejść nie zgodziłby się za żadną cenę. Jeżeli wypuścić je przedsiębrał z ojcowskich objęć swoich, to dlatego tylko, aby je rzucić w objęcia sławy... posadzić na wozie tryumfalnym, który w marzeniach kompozytorskich zbudował dla niego.

I szukał długo mistrzyni, którejby powierzył swoje arcydzieło — nareszcie godną swego wyboru uznał Annę — i umyślnie przyjechał do Wiednia, aby skłonić ją do swych zamiarów.

Niedługo trwała umowa. Anna zgodziła się opuścić Wiedeń i powrócić do Paryża, do tego Paryża, który pochłonał

w sobie jęj sny dziecinne... a teraz południe jęj sławy miał wpisać do księgi swoich kronik dramatycznych.

Zabrawszy naprędce swoje rzeczy, zaopatrzywszy się w papiery a resztę zdawszy na los, primadonna nasza doszła pieszo do rogatek miasta. Wyszedłszy za rogatki, wsiadła do furgonu pocztowego i tam, goniąc myślami za znajomymi, sądziła, że znikło wszelkie niebezpieczeństwo... ale zaledwo ujechała kilka kroków pijany tłum napadł na powóz i zatrzymał go. Lecz pocztyljon zaciął konie i puścił się pędem.

W tem kilka wystrzałów rozległo się i odbiło o koło furgonu. Chwila ta była straszna; biedna śpiewaczka wzniosła oczy w górę i cicha jęj modlitwa uleciała do Niebios.

Paryż nareszcie ujrzał na nowo wielką śpiewaczkę, ale tym razem niewiele się troszczyło nią, zajęty strasznymi, krwawymi wypadkami tęg epoki.

Sztuki upadły w stolicy Francyi, z opery i śladu nie pozostało. Artyści poszli w niepamięć, każdy zajęty był sobą... własnym losem. Każdy widział jak z ukazaniem się nowęj barykady nikła wąta podstawa szczęścia jego, które sobie rokował w terażniejszości.

Wzburzenie panowało ogólne i jakiś krytyk, któremu znudziło się nie nie pisać, wyraził się: „powiedzcie jaka szkoda, że biedny brat Apollina i jego zwolennicy pokryci pyłem zapomnienia“.

Anna debiutowała z wielkiem powodzeniem w operach Otello, Lucyi i Robercie, gdy wtém zaszła okoliczność, która zmusiła ją usunąć się od sceny i towarzystwa Paryzkiego. Drugi okres życia kobiety pociągnął za sobą trzeci; artystka do skarbeca uczuć, któremi zjednała wszystkich, którzy ją znali, miała wkrótce dorzucić jedno z najświętszych dla kobiety

uczucie macierzyńskie i pierś młodej mężatki silniej zabiła, a oczekiwanie pożądanej chwili oderwało jęj myśl zupełnie od świata i zajęło losem istoty, która jęj miała być winna życie.

Onie śmiejecie się zemnie, że do życiorysu śpiewaczki dołączam rys małżeńskiego życia. Wam to zdawać się będzie tak prozaiczne, tchnące tak zimną rzeczywistością. Wy nie rozumiecie co to jest być artystką i matką zarazem. Przyzwyczajone żyć zawsze na scenie, lubicie i w domu odgrywać komedye, w której mąż jest aktorem, a dziecko bawidełkiem tylko. Primadonna *zameżna*, nie mająca prawa przyjmować w swoim domu honorowych klaskaczy, jakież to nieznosne więzy, ileż niewoli kryje się w tym wyrazie!... Wy bierzecie mężów na to tylko, aby wam podawali wachlarz w teatrze do ochłodzenia się, rękę przy wsiadaniu do powozu i służyli za parawan w domu do usidlenia milionowego czciciela waszego talentu. Inaczej myślała Anna; ona była prostą w duszy i zawód małżeński bynajmniej nie rozczerował jęj idealnego na świat poglądu.

W 1849 roku Anna przedsięwzięła podróż po Francyi. W przeciągu Sierpnia Nantes, Bordeaux, Havre, zabrzmiwały echem jęj sławy, wtém otrzymała zaproszenie od Mayerbeera, który wystawił na Wiedeńską scenę Proroka.

Primadonna ani na chwilę się nie wahała; znając dobrze język niemiecki, posiadała już to wszystko co potrzebnem było do osiągnięcia tryumfu. Wówczas to sława jęj stanęła na najwyższym szczeblu, całe Niemcy powtarzały jęj imię z uwielbieniem i zapraszały ją do siebie. W końcu nie wiedziała już jaki nadać kierunek swojej podróży. Z Węgier dwukrotnie wysyłano do niej listy z najusilniejszą prośbą, aby zaszczyliła Peszt swoją obecnością. Artystka odmówić musiała z powodu nieznanomości krajowego narzecza. Ale gdy wyprawiono ztamtąd osobną deputacyę, która w najpochle-

bniejszych wyrazach upraszała śpiewaczkę do wystąpień na narodowej scenie, niepodobne było oprzeć się tak serdecznemu wezwaniu i prosiła tylko o kilka tygodni czasu dla wyuczenia się o tyle Węgierskiego języka, aby mogła rozumieć wykonywane przez siebie utwory.

W Węgrzech tryumfy jęj były tak świetne i oryginalne zarazem, że poświęcamy im cały rozdział, który niech posłuży za epilog naszego opowiadania.

Epilog.

Popularność imienia Anny w Węgrzech niesłychaną jest od niepamiętnych czasów. Każde jęj wystąpienie budziło entuzjazm posunięty niemal do fanatyzmu. Tymbardziej, że Anna na chwilę nie straciła tęg dziewczęcej skromności, która wcieliła się, że tak powiem w jęj istotność, i jeśli z jednej strony geniusz posadził ją na tronie sztuki to z drugiej wrodzona dobroć i tkliwość charakteru czyniły ją przystępną dla każdego, który szukał w jęj sztuce źródła otarcia łez cierpiącej ludzkości. Dowodem tego jest fakt następujący:

Pragnąc uświęcić czynem dobroczynnym swój pobyt w Peszcie, Anna sama urządziła przedstawienie na korzyść wdów i sierot.

Uroczę to było przedstawienie. Widzowie zapełniający teatr byli wszyscy ubrani czarno. Ten kir żałobny miał w sobie coś uroczystego. Zamiast zwyczajnych kwiatów rzucano na scenę mirtowe wianki i laury.

Podniesiono zasłonę. Tkliwe, wzruszające dźwięki wyrwały się z piersi jęjalnej artystki w pośród grobowej ciszy słuchaczy.

Śpiewaczka oddała się cała wieszczemu natchnieniu.... publiczność otarła łzę... i całą duszą chwytala dźwięki niebiańskiej melodii. Skończyła, a wianki mirtów i laury upadły u jęj stóp.

Na twarzy artystki rozlała się niebiańska pogoda; jeżeli w chwili uniesienia używamy częstko wyrazu bóstwo, nikt więcej jak ona w tęg chwili nie zasługiwał na to miano.

Ale jakież widok uroczy spotkał Annę przy wychodzie z teatru: orszak maleńkich sierot okryty żałobą klęczał z rękami podniesionymi w górę, niby symbolem modlitwy dziecięcej i powitał ją słowami: „Bądź błogosławiony aniele stróżu nasz.“

Artystka nie była w stanie pohamować wzruszenia, strumień łez wypłynął z jęj oczu i rzuciła się w objęcia swęj matki, powtarzając z zapalem: „czy można żądać większę nagrody za swą pracę?“

* * *

W kilka dni potęm dawano operę *Halka*. Nosiła ona czysto węgierski charakter. Anna wystąpiła w roli Halki stojącej na czele taboru cygańskiego. Muzyka tęg opery jest nadzwyczaj oryginalną, panuje w niej typ melodii węgiersko-cygańskiej. Ubiór, postawa, dekoracye, wszystko zdjęte z natury. Ulubiona ta opera, obudzała zawsze wszechstronny zapal, ale po wystąpieniu w niej Anny, nabrała ona uroku niewypowiedzianego; dwanaście przedstawień nastąpiło z kolei. Cały węgierski tabor z okolic przyjął udział w tym prawdziwym festynie, aby wykonać chóry i tańce w całym blasku naturalnej charakterystyki.

Tam sama Halka, którą Anna upoetyzowała w swojej roli, przewodniczyła taborowi w tańcach cygańskich, a tyle na raz połączonych uroczystych wrażeń przykuły niemal publiczność do tak zachwycającego widoku. Opisać tryumfy tego wieczora niepodobna, bo trzeba by chyba burzliwą duszę i serce Węgra rozdrobnić na cząsteczki, aby z każdej z nich wydobyć niepohamowany okrzyk entuzjazmu i uwielbienia. Nie na tem jednak skończyły się tryumfy śpiewaczki na Węgierskiej ziemi.

* * *

Nastąpił dzień uroczysty, niestartemi głoskami zapisany w pamiętnikach Anny; — sezon teatralny ukończył się — wyjazd Anny był nader bliskim. Wtedy konserwatorium peszteńskie zaliczywszy ją do grona członków swoich i chcąc ostatnie chwile jęj pobytu uczcić należycie, wydało na jęj cześć wspólnie z artystami Opery Węgierskiej świetny pożegnalny obiad. Chcąc zaś sprawić przyjemność primadonnie i całemu towarzystwu zaprosiło także Cygański tabor do uczestnictwa w tym festynie. Miał on wykonać narodowe pieśni Węgierskie podczas obiadu.

Cykanie zebrali się gromadnie, radość i zachwycenie błyszczy na twarzy każdego z nich, rozczulenie ich doszło do najwyższego stopnia, gdy wielka śpiewaczka, ustępując ich prośbom, z wrodzoną sobie uprzejmością, odśpiewała kilka ustępów z opery Halka.

Łza wzruszenia zabłysła w oczach Cyganów, i jakiś szepot przebiegł cały tabor, jakaś tajemna narada odbywała się między niemi.

Towarzystwo spoglądało na nich zdziwione, Anna która była bohaterką tęg sceny nie mogła sobie zdać sprawy z nieodgadnionego uczucia żywej ciekawości, — a tymczasem szepot trwał ciągle — i towarzyszyła mu uroczysta cisza całego zgromadzenia.

* * *

— Pani! wyrzekł najstarszy Cygan, po chwili milczenia... Ty śpiewem swoim panujesz nad naszą duszą i sercem... Ty śpiewem swoim obudzasz najszlachetniejsze uczucia w sercu każdego z nas — i Ty jedna zdolna utrzymać nas na drodze cnoty i prawości. O wierz nam! gdy tkliwa melodia twojej cudownej pieśni, powraca nas do lat dzieciństwa, wspomina nutę matki, co brzmiała nad naszą kolebką, lżej robi się na sercu... los zdaje się mniej srogim, mniej ciężkim do zniesienia... i samo nawet sieroctwo i życie tułaczce przyjmuje w naszych oczach barwę poetyczną.

Jak więc byłaś królową naszych zabaw, tak bądź królową naszego taboru. Dwa lata już jak trwa bezkrólewie i niemożliśmy dotąd uczynić wyboru, tak! bądź nam królową!

— Elien! (niech żyje) wykrzyknął cały tabor z uniesieniem.

Z początku wielka śpiewaczka nie rozumiała całego znaczenia słów Cygana. Wówczas jeden z gości wytłómaczył jęj, iż z dozwolenia rządu tabor cygański wybiera jednego naczelnika, który nosi szumny tytuł Króla cyganów; wybieranym jest zazwyczaj z szlachty Węgierskiej. Cały tabor oddaje mu winną cześć i zaprzysięga posłuszeństwo bez granic, on roztrząsa ich sprawy, ma prawo stanowczego sądu i głos przemagający większość.

Anna odpowiedziała z wzruszeniem, że jakkolwiek jest dla niej bardzo pochlebna ta propozycja, z powodu jednak, że nigdy nie przebywała w ich zebraniach i nie zna miejscowości, trudno będzie jęj pogodzić się z nowymi obowiązkami.

Wówczas cykanie zgodzili się na wybór namiestnika i ponowili swe prośby, oświadczając, że dwa lata byli bez króla, niemogąc znaleźć następcy po ostatnim, którym był Książę Węgierski.

Primadonna ustąpiła wreszcie ich naleganiom, a wówczas wzniósł się jednogłośny okrzyk zapachu, po którym przystąpiono niebawem do uświęcenia tak uroczystego faktu.

* * *

Cały tabor padł na kolana, składając przysięgę wierności i posłuszeństwa. W kilka dni potem wieść ta obiegła całe miasto i okoliczni Cykanie przybywali gromadnie, aby złożyć swe hołdy nowej Królowej.

Tyle tryumfów, tyle wzruszających scen były powodem zwłoki w wyjeździe Anny z miasta. Wielka artystka nie mogła się zostawić z Pestem bez żalu, tęsknota wkradała się do jęj duszy na samą myśl opuszczenia przyjaciół z miasta, co mówię, całego miasta przyjaciół.

Nadeszła jednak stanowcza chwila. Nie chcąc utrudzać swoich hołdowników, Anna umyślnie wybrała miejsce na parochodzie, który odchodził o godzinie czwartej w nocy, ale i tu jeszcze spotkać ją miała miła niespodzianka.

Na przystani oczekiwał na nią tłum Cyganów, który oświecał jej drogę latarniami.

Tyle troskliwości, tyle serdecznego udziału w jej losie, wycisnęło łzę rozrzewnienia z oczów artystki, a kiedy zabrzmiały huczne okrzyki tryumfalne:

Elie! Elie! Elie!

Anna nie była w stanie pohamować swego wzruszenia i z głośnym płaczem wsiadła na parochód.

O żyj święta iskro geniuszu! żyj na wieki! i zamień się w ogień święty w naszym sercu.

* * *

Odtąd życie Królowej Cyganów było prawdziwie koczującym, pobyt jej nie trwał nigdzie dłużej nad trzy miesiące. Niby ptak wędrowny przebiegła ona świat cały, zbierając wciąż nowe laury po drodze, zbierając coraz nowe listki do wielkiego wienca sławy złożonego z nieśmiertelników.

Wszystkie stolicy świata wydzierały ją sobie; zewsząd unosiła z sobą najmiłsze wspomnienia i drogocenne upominki.

Poprzedzona grzmącą sławą, na usilne zaproszenie Dyrektora Opery Paryżkiej, przybyła znów do stolicy Francji. Biedny Dyrektor ucieszył się niewypowiedzianie; kassa jego bowiem była zupełnie pustą i nadto liczył ośmnaście tysięcy długu.

W parę miesięcy potem zmieniły się zupełnie okoliczności. Po kilkunastu wystąpieniach Anny, wynagrodził sobie wszystkie straty, a co lepsza z oszczędzonym kapitałikiem, wyjechał do Włoch, nazywając Annę swoją zbawczynią.

Następnie wielka artystka zwiedziła Petersburg, później Warszawę, a któż z prawdziwych miłośników sztuki nie pamięta znakomitego nazwiska *Anny de-la Grange*.

WYCIECZKA BEZ CELU.

OPOWIADANIE WŁÓCZYKIJA.

WYCIECZKA BEZ CEŁU

Opowiadanie Włóczykija (*)

Lipcowa sieka wyгнаła z Warszawy jęj arystokrację, jęj dobry ton, jęj lwów, lampartów, tygrysów. Trotoary Nowego Świata, Krakowskiego Przedmieścia opustoszały, i brakło krynolin do ich umiatania, brakło do ich szlifowania obcisłych lakierków. Nie widziałem już więcj szkiełek na nosach i paryzkich Gibusów na Paryzkich imitacyach głowy ludzkiej. — Cóż więc dziwnego, że mi się ciężko zrobiło na sercu, że i ja zapragnąłem opuścić ulubione miasto?

Więc w krótkich abugach, zebrawszy rozproszone kapi tały w maleńką portmonetkę, a bieliznę w kieszę, siadłem skromnie w wagon klasy trzeciej, maszyna świsnęła i już by-

(*) W licznych swych po ziemi wędrówkach, Wampir napot-kał raz bardzo uprzejmą figurę, w której poznał szanownego ze wszechmiar turystę Włóczykija. Że zaś jeden cel prowadził ich po towarzyskich manowcach, nie dziwnego, że weszli w bardzo ścisłe stosunki przyjacielskie. Dowodem tego związku są obecne notaty Włóczykija nadesłane do Pamiętników Wampira. — Być że, że w dalszym ciągu nadeśle jeszcze swe spostrzeżenia, jeżeli te pierwsze szkice publiczność łaskawie ocenić raczy.

łem w drodze. — Ale cóż, w drodze sobie dopiero przypomniał, że nie wiem gdzie jadę. — Otóż jak na pierwszy raz, to dosyć przykro jechać bez celu, — lecz z drugiej strony, mam bilet aż do Częstochowy, powietrze piękne, ciepło jak w piecu, trzy cygara niezłe w lichéj cygarnicy i jedno zapalone w ustach to także coś stanowi, a przy swobodzie w myśli i tém bezpieczeństwie jakie daje lekkość kieszeni, mogłem do woli dumać i debatować nad celem podróży.

Już najpiękniejszy puściłem kłęb dymu czysto administracyjno-tabacznego, i dla większej wygody zamierzyłem wyciągnąć nogi na ławie, — kiedy uczułem coś miękkiego pod moim zwichniętym obcasem, coś, co boleśnie jęknęło. Oddmuchiwałem dym, który mi zasłaniał przedmioty i ujrzałem z wielkim podziwieniem, że bezecnie ugodził w sam środek żołądka, jakiegoś krępego jegomości. Poskoczyłem więc ku niemu i jak można najuprzejmiej przeproszałem go wyrazami arcyuniwersalnemi.

— Pardon Monsieur, mille pardon, deux mille pardon et trois mille pardon!

— Nic nie szkodzi — nic nie szkodzi łaskawco, — to bagatella, zwyczajnie przypadek, ot i nic....

Ja znów w przeprosiny, i na przebłaganie, czując wyrzut sumienia, ofiaruję mu cygaro, udając je za prawdziwe hawańskie.

Przez czas jak mój sąsiad zapalał owe hawańskie cygaro obrzuciłem go okiem i czyniłem fizyologiczno-patologiczne postrzeżenia nad jego figurą. Był to sobie człowieczek lat 45 lub 6-ciu, niski, okrągły, z twarzą jak pomidor, z noskiem, wydającym go z maleńkiej wady spirytualnej, z parą oczek jaskrawo szarych i ustami szerokimi śmiejącymi, nad którymi lichy wegetowała para jasnych wąsów. Ogół fizynomii był szczerzy i otwarty, ale nie zapowiadał w nim ani wielkiego wódza, ani małego agronoma.. ani... słowem, nic nie zapowiadał.

Zapalił tedy cygaro, kłęb dymu nosem, potem ustami — potem... potem, nic nie puścił — ale odezwał się, ciężko westchnąwszy: „piękna pogoda...”

— Cudowna! — odrzekłem, zaciągając się jak turek.

— Hm. . pan z daleka....

— O! bardzo!...

— Zapewne z zagranicy.

— Właśnie z zagranicy, — odrzekłem, aby się bawić chwilkę, lub też może z wrodzonego nałogu kłamstwa.

— Pan.... pewno... to jest...

— Ja sam....

— Tak?!.... to jest.... pan pewno... emigr...

— Tak jest — emigrant.

— Ach! jak ja to poznałem! — tu klasnął w ręce i nos wytarł za pomocą wskazującego palca.

— Poczémże pan poznał, że ja emigrant?

— Ach! panie, co ja nie poznałem!? spytaj się pan mojej zony Małgosi, jakem jak poznał do razu, kiedy baby na szczyt spaliła — jednom spojrział na nią. — Albo tego Judki rudego, co to propinację w Suchym dole trzyma — jakem poznał kiedy mu się syn urodził — he! co! to panie! to mi węch. — Już to u nas w rodzie i mój rodzic, śp. Telesfor Guga takież sam kubek wkubek, zgadywał Panie, co było i co nie było, — ale to tak jakby czytał ot czarne na białem.

— Pan dobrodziej dawno ojca stracił?

— Niedawno — niedawno — parę lat temu. — Bo to my wszyscy panie po mieczu to żyjem setne lata — ja sam także długo żyć będę — oj będę. — Bo to... cóż to miałem mówić?... Bo to... bo to... ach wiem! — bo to mój dziadek, powiadam panu miał sto i jeden lat, kiedy siódmy raz się żenił. Tak Panie sto i jeden lat. — Z sześciu małżeństw miał trzydziestu sześciu synów i ośm córek, — szczęściem, że to wszystko wymarło tylko zostało dwóch braci i siostra, bo kat wie, co by z tém wszystkim robić przyszło. A mój ojciec, to panie, także trzy razy żonaty i miał nas wszystkich summa summarum czternastu synów i tyleż córek. Ale Pan Bóg litościwy nad biedną jego chudobą, bo tylko dwie wioski trzymał zastawem, zebrał trzy części tego ze świata, tak, że

reszta nas, dostało jakie takie grosiwo, i ciulając potrosze, dorobiliśmy się fortunki.

— A pan dobrodziej ileż razy wstępował w związki małżeńskie, — spytałem zaciekawiony, tą osobliwszą familją Gugów niespracowanych kapłanów hymena.

— Ja, raz dopiero.... — odrzekł z westchnieniem.

— Ocho! pomyślałem sobie to jedna Guga, która ma dosyć, jak widać, stanu małżeńskiego. Biedaczysko widocznie wdzony jest na paskach.

Po tej ostatniej odpowiedzi pan Guga wyraźnie stracił na humorze, bo zwolna pykał cygarko i krótkimi paluszkami po brzuchu przebierał.

Lokomotywa w tej chwili świsnęła i stanęliśmy przed stacją.

Mój sąsiad wysiadł, jak mówił, aby duszę pokrzepić i mnie do tego samego namawiał. Z początku wzdragałem się, przedstawiając jako wymówkę południowy upał i nienawyknięcie do trunków. Na usilne jednak prośby, połknęliśmy po sporym hańście kimlu i zakąsili butersznyttem jego smak zgryzliwy. Tu już więcej poufna wszczęła się gawędka. Pan Guga opisał mi z najdrobniejszych szczegółami swe gospodarstwo, swe pola pszenne, żytnie, jęczmienne, owsiane i Bóg wie jakie; opisał mi każde źdźbło nawozu wraz z jego smakiem i zastosowaniem. Opisał mi swoje spiehlerze stodoły, obory—swój inwentarz, a nawet to, co nazywają bez rogów. Tak że kiedyśmy znów siedli do wagonów, byliśmy jak dwaj rodzeni bracia.

— A, otóż ja panu powiem, poczem go poznałem, że pewno emigrant, — bo pan nosi wąsiki, hiszpankę i w ruchach coś pan na zagranicznego wygląda — a jeszcze jak pan popchnąwszy mnie w żołądek, krzyknął „pardon,” tak już byłem pewny jak dwa a dwa, cztery. — A co panie jaki spryt!...

— Prawda! uwielbiam w panu tę głęboką przenikliwość, jaką tylko raz w życiu mojem widziałem w osobie szlachetnego

lorda Palmerston — odrzekłem, aby podtrzymać moje mimochętne kłamstwo.

— Jakto i pan dobrodziej widział Palmerstona?

— Jak pana w tej chwili.

— A to sławne! — tu znowu plasnął w dłonie i znów powtórzył manewr z nosem. — Widać była to jego wada, czy nawyknięcie.

— Pan mówił z nim?

— Ile razy!!

— No proszę pana... jakżeż on mówi?

— Po angielsku.

— Po angielsku! no proszę! taki wielki człowiek.

— A stary on?

— Gdzie tam — właśnie w wieku pana, nawet podobny nieco do niego.

— Nie może być!

— Rzeczywiście — tylko że wąsów nie ma.

— Ba! to widać nie szlachcic...

— Ależ szlachcic — i dobry szlachcic — nawet hrabia...

— A to szkoda, że nie nosi — bo wąs to zdobi, — i tu pokręcił ku dołowi swoje siedm włosów nazwanych wąsami.

— Pan widział pewno i królowę.

— Ze sto razy.

— Mówią że pije...

— Tak wodę.

— I porter.

— Czasami to przy obiedzie. — A pan także pewno zwolennik porteru.

— Gdzie tam, wolę winko. — Aj winko, winko! rzekł, kłasnawszy językiem — to mi panie truneczek — to panie pijesz, a coraz chcesz więcej, — nie ma jak winko. — Pan pewno był i na Węgrzech.

— Byłem czas niejaki, wracając z Konstantynopola.

— Aj! Boże — i w Konstantynopolu — między Turki pan jeździł, — a może pana i oturczyli przypadkiem, — krzyknął śmiejąc się na całe gardło ze swego dowcipu.

— Nie tak dziś oni straszni, jak pan myślisz. — Cywilizacja idzie olbrzymim krokiem i żaden kraj przed nią cofnąć się nie może.

— Panie! daruj — ale to zawsze barbarzyński naród. — Bo co to, wyobraź sobie: — wina nie pije — wódki broń Boże — wieprzowiny za nic! — I gdyby nie barany co ich żywią, toby i pomarli z głodu.

— Nie wierz pan temu, — piją oni dziś dobrze szampańskie, a nawet sam niejedną wypilem butelkę z Reszydem paszą.

— Jakto i pan dobrze znajomy z Reszydem paszą?

— Mieszkalem w jego pałacu — a nawet z córką żenić się miałem, — i gdyby nie to, żem się nie chciał wyrzec mój wiary, — dziś byłbym mężem najpiękniejszej w świecie kobiety i piastowałbym jaki urząd dygnitarski.

Tu pan Guga zrobił ogromne oczy i kłaniając się, zapytał z nieśmiałością:

— Z kimże mam zaszczyt mówić?

— Jestem N. de N.

— Ach Panie de N. jakże mi przyjemnie go poznać!... Ja zaś nazywam się Dezydery Guga, dziedzic Suchego Dołu z przyległościami.

Schyliłem głowę i coś trzy po trzy pod nosem bąknąłem.

Od tej chwili rozmowa nie ustawała. — Na każdej stacy pokrzepialiśmy duszę, jak się wyrażał pan Dezydery, zapaliliśmy nowe cygaro i pędziliśmy dalej, choć nie lotem błyskawicy, ale lotem pary. — Przed samą Częstochową, uściskawszy mnie po raz setny, i usłiniwszy po raz tysięczny, szanowny mój sąsiad zapytał z rodzajem naiwnej tęsknoty.

— A więc pan za Częstochowę jeszcze?

— Do samój granicy.

— Tak tedy w Częstochowie rozstać się musimy.

— Ha, cóż robić.

— A panu pilno bardzo — zapytał znów po chwili.

— Mnie, niezbyt — jadę do krewnych.

— Ach panie de N. gdybyś mi raczył nie odmówić śmiałym prosić go o jedną łaskę.

— Owszem, owszem, jeżeli tylko w mojej mocy...

— Och, i jak jeszcze. — Mam do niego jedną prośbę — jedną maleńką — idzie o to, abys zboczył o trzy milki od Częstochowy — konie czekają — w dwie godziny stanemy na miejscu. — Upewniam pana, że nudzić się nie będziesz. Mam dom obszerny, wygodne łóżka. — Żona Małgosia wprowadzie trochę gderzy, ale w gronie najlepsza kobieta. — Mam córkę Leosię; dziewczyna jak jagoda, wesola, fertyczna i gra panie — tak, gra wielkie sztuczki na fortepianie, a śpiewa jak słowik. — Powtarzam więc, że nudzić się nie będziesz; znajdziesz nawet polowanie jeśli lubisz — i wino co się zowie, czyste jak łza. — No, jakżeż — dobrze — zgoda!

— Ha, nie mnie nie pili to i dobrze — zgoda!

— Zgoda, brawo!! To mi człowiek, znać że żył na świecie, znać, że żyć umie! — Ach panie, jakżem mu wdzięczny. A pozwólże się uściskać, ucałować — i tu całym swym ciężarem rzucił się w moje objęcia. Wyteżyłem ramiona ku bohaterskiemu wytrzymaniu tego ataku i odpowiedziałem godnie na salwę jego całusów.

No, pomyślałem siadając zmęczony — powiedzże teraz, że nie ma Opatrzności Boskiej, któraby kroki nasze wiodła. — Dziś rano wyjeżdżałem z Warszawy niewiedząc na co i po co — otóż w ciągu parę godzin znalazłem przyjaciela, znalazłem złote serce obywatelskie i dom otwarty na moje przyjęcie. — Ha! nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło. Z ostatnią tą myślą filozoficzną, wjeżdżałem pod tunel na terytoryum Częstochowy.

Przy banhofie stała szeroka bryka z parą dzielnych miezrynków — na koźle siedział wyrostek i strzelał gapie po przybyłych wagonach. — Pan Dezydery lekko wyskoczył i krzyknął prawdziwie po szlachecku, aż się po mieście rozległo:

— Bartek! gamoniu — a czegoż się ty kulfonie gapisz — zajeżdżaj co żywo!

Bartek cmoknął — biczem wykreślił hieroglif w powietrzu i para kasztanków pomknęła ku naszej stronie. — Jak przyrzekł pan Dezydery tak się też stało, o zmroku stanęliśmy pod gankiem schludnego dworku, otoczeni tuzinem psów, stadem kaczek, kur, gęsi, indyków — a w ganku przyjęła nas pani Małgorzata Guga, kobieta arcypokaźna i śnać bardzo krwistego temperamentu. — Za nią tuliła się jak młoda gołąbka ujrzawszy jastrzębia (to jest mnie niby) wcale niebrzydka Leosia.

Po dziwnych wysileniach, wyciągnąwszy za sobą parę garści słomy, wypełzliśmy z bryki i stanawszy pod gankiem pan Dezydery cmoktał swą Małgosię, a ja z Leosią zabierałem pierwszą znajomość kładąc par force w jej dziewicze uszki dźwięki męskiego nazwiska. — Z rozmowy pana Gugi z małżonką, tyłem tylko dosłyszałem, że mnie nazwał hrabią N. de N. incognito podróżującym i *snakomitym emigrantem*.

Po takim zarekomendowaniu weszliśmy hurtem do pokoju, wraz z częścią inwentarza domowego, biegnącego obces pod nogi. Obszerna izba, do której weszliśmy, skromnie ale nadzwyczaj czysto przybrana, z białą jak mleko posadzką z białymi na meblach pokrowcami i kwiatkami w oknach, miała w sobie coś tak lubego, tak pożądanego, że wchodząc tu, jakiś pokój i swoboda zalegała duszę. — Poznałem tu wszędzie staranną rączkę Leosi i w powietrzu przesiąkniętém wonią kwiatów i światłem ostatnich słońca promieni zdało się słyszeć jeszcze ostatnie tony wesołej piosenki, jaką to lube dziewczę zapewne przed chwilą nuciło.

— Jestem bardzo wdzięczna mężowi — rzekła pani Małgorzata, sadzając mnie na kanapie, że nam tak miłego sprowadził gościa. — Pan podobno z obcych krajów powraca — powiedzże nam, co też słysząc nowego — bo my tu na wsi siedzimy jak za piecem, i o Bożym nie wiemy świecie.

— Ależ moja Małgoś — dajże nam przekąskę — bo dalebóg jestem czczy, jakbym od roku nic nie jadł — a do kolacyi pewno daleko.

— Kochanie, Dyziu, zajmij się sam z łaski swojej i nie mój zwyczaju przeszkadzać mi, kiedy z gośćmi mówię.

Pan Dezydery podrapał się w ucho i ciągnąc się za koniec wąsa, poszedł do kuchni z córką gospodarować. — Pani Małgorzata zasiadła przedemną i w dalszym ciągu zaczęła wiodła rozmowę.

— Tak tedy Pan dawno powrócił?

— Tydzień zaledwo minął jakem stanął w Warszawie, a załatwiwszy komissa powierzone mi przez rodaków pozostałych za granicą, jadę do familii spocząć na rodzinnej ziemi po trudach i zawodach doznanych pod obcym niebem.

— Pan długo bawił za granicą?

— Dla jednych krótko, bo zaledwie lat kilka — dla mnie całe wieki, bo tęsknota za krajem trawiła mi duszę. — Pani Małgorzata westchnęła, aż szyby jęły i spuściła oczy. Kiedy wzrok podniosła, postrzegłem wilgotne jej źrenice i twarz nieco bladą. — Byłoby wspomnienie jej przeszłości lub współczucie dla mnie? — Otóż tę zagadkę wyjaśnić wziąłem sobie za obowiązek.

Zmrok tymczasem zapadł — światło wnieśli i rozmowa weszła na tór ogólniejszy. — Kolacya stanęła jakby cudem. — Przy tegim zrazie pieczeni znalazła się jeszcze jedna figura, prócz dotąd poznanych. — Był nią — jak mi przedstawiono pan Rymwid Kurejko, rodzony brat pani Małgorzaty, a od dwóch lat w sąsiedztwie osiadły, wzięwszy dymissyą w stopniu koleżskiego sekretarza.

Pan Kurejko; zupełny kontrast z siostrą swą stanowił: o ile pierwsza była kolosalną — o tyle pan Kurejko był szczupły i wątły. — Małeńki, chudy, z twarzą, na której lat dopatrzyć się nie było można, z dwiema rzadkimi kępkami włosów wyrosłymi na szczękach jak owies na piasku, z parą oczu małeńkich i nastroszonych czubkiem włosów ostrych, szczeciowatych, nieokreślonego koloru — był doskonałym typem i reprezentantem swego rodzinnego powiatu, gdzie się kopami tacy ludzie lęgną.

Pan Kurejko całe niemal życie spędził w pogranicznej służbie — ztąd wyrażenia jego były po większej części niezrozumiałe, a często śmiesznie brzmiały, — zresztą człowiek dobry, cichy, niezbyt daleko widzący i zacięcie obstający, że nie ma szczęścia jak w urzędowaniu.

— No miły gościu, rzekł pan Dezydery ujmując mnie pod ramię — czém chata bogata tém rada — siadaj ot bez ceremonii i przyjmij co Bóg dał.

Siedliśmy — przy mnie z jednej strony Kurejko, z drugiej gospodyni domu dalej pan Dezydery, a naprzeciwko mnie Leosia. — Byłem jak w niebie częstowany, pojony, karmiony, a gdym zapragnął duchownej lub serdecznej strawy, patrzałem na miłe vis à vis i czerpałem zapach natchnienia w oczach jasnych i uśmiechniętych ustach prześlicznej dziewczyny.

Przyparty obfitością stołu, zamilkł nareszcie apetyt — pan Kurejko otarł usta, wychylił jeszcze jeden kieliszek i odwracając się ode mnie, zapytał:

— Pan z Warszawy jedzie?

— Tak jest.

— A nie poznał pan czasem jednego młodego człowieka — ach! jakżeż jego familia?... cóż u pana Jezusa — przypomnieć nie mogę! — a... a... wiem, Józef, — jego otczystwo Jakowlewicz, a familia Zuzulewicz

— Zdaje mi się, że coś podobnego znałem — ale któż to taki.

— On w Kobrynie wybył z księdzów i opowiedział się w pograniczu tamozniu — no potem za nieimieniem formulara (co znaczy stanu służby) peremieszczon był w pocztowe czynowniki.

— Teraz przypominam sobie, jest podobno sekretarzem.

— Czyż!...

— Tak mi się zdaje.

— A to widno, że jego dzieło rieszeno w inspektorskim departamencie — a toby on ni za co nie dostał czina.

— Żeni się nawet.

— Czyż!...

— Nawet majątnie.

— Ha! sławny mały — u niego jest dużo umysłowych sposobności, tylko, że lubi czasem zapiwszy — ot i bieda — a jeśliby nie to — to samy dobry człowiek. My razem służyli i razem jedli i razem pili. — A raz pomnę poszlimy oba i na bal Mieszczańskiego Obszczestwa, tak my i czut' czut' żywy z tamtąd wybraliś, tak nas kupcy podeziwali.

Tu znudzony niezrozumiałą dla mnie rozmową zacząłem szukać pod stołem nóżek pięknej Leosi — jużem znalazł, już dotykam, gdy pan Kurejko krzyknął, zaczerwienił się jak ćwikła i kieliszek na obrus upuścił.

Byłem pewny, że go apopleksja tknęła — rzuciliśmy się do niego z pomocą — lecz on tylko chwycił się za nogę i zaczął narzekając, że go ktoś udeptał w mozol (co miało znaczyć nagniotek). Czułem się winnym, lecz milczałem — ale Leosia rumieńcem spłonęła — bo kobieta, choć mało wie, ale wiele się domyśla.

Godzina 10-ta wybiła, wszystko umilkło we dworze — w pokoiku tylko moim, którego okna na ogród patrzyły, chodźłem wielkim krokiem, myśląc o dnia tego wypadkach — łojowa świeca gorzała w mosiężnym lichtarzu; krucica podróżna na stole leżała — obok niej papier, pióro i coś w rodzaju kałamarza. — Te wszystkie przybory wraz z migotliwem światłem błędzącem po ścianach, z szumem drzew na dworze, miały w sobie coś rozpaczliwego, rychtyk jakby to... jakby to... nie wiem co. Dosyć, że każdy, ktoby wszedł w tej chwili, mógłby myśleć, że tu jakiś okropny dramat się odbędzie, że broń ta zabójcza z odwiedzionym kurkiem życiu kres położy; że ten, który z rozwianym włosom, szklannym wzrokiem mierzy wzdłuż i wszérz gorączkowo, niecierpliwie komnatę, wkrótce zalegnie snem wiecznym to waziuchne łoże i krwią... Ha, ha, ha! zaśmiałem się, bo te myśli rzeczywiście przyszły mi do głowy — a w oczach szumiała mi nie rozpacz wprawdzie lecz wino — w sercu wrzało nie piekło — lecz niebo — a przed oczami méj duszy nie dwa otwory po-

dwójnej krucicy — lecz igrały jasne oczy Leosi. — Porwałem za świecę... dmuchnąłem, i... ległem jak martwy na łożu.

Wysoko się podniosło słońko na niebie — skowronek śpiewający pławił się w błękicie i ranna rosa w liliowych tylko drżała kieliszkach — kiedym senne me otworzył powieki. Skoczyłem na równe nogi — i krótko skończywszy mą toaletę, zapaliłem ultimatywne cygaro i roztworzyłem na rozcież okno. Razem z balsamiczną wonią czeremchy doleciał mych uszu dźwięk piosenki:

Gdybym ja gwiazdeczką była...

Jakżeż gładko wpadła do duszy ta prosta nasza krakowska melodia — jakżeż lubo i lekko było mi w tej chwili. Ale gdy spójrzałem na dół, idąc wzrokiem za dźwiękiem piosenki ujrzałem Leosię w białej lekkiej sukience, z gwoździkiem w czarnych włosach i oczkiem ku memu zwróconém oknu. — Ach, figlarko pomyślałem, z takim szczęściem i radością jakiej oddawna nie doznałem — ty patrzysz w mą stronę, a więc szukasz mnie równie jak ja ciebie — czekaj, nie dam długo czekać na siebie. — Stałem na oknie, chwyciłem się gałęzi i byłem w ogrodzie. — Leosia się niby wylęknęła — a ręczę, że pragnęła tego — ja drżałem jak listek i byłem pewny, że febry dostał, bo aż mnie coś w gardle dławilo. — Otóż to są skutki dziewiczego wpływu i tej atmosfery jaka je otacza. — Szczęściem, że się wczasy jeszcze zdobył na głos ludzki i rozpocząłem arcy obojętną ustami o kwiatkach a oczami o sercach rozmowę. — Aj, co też to za rokosz chodzić rano w cieniastym ogrodzie, z piękną jak anioł dziewczyną — ale ja zawsze wolę przy blasku księżycy.

Panna Leosia, choć rada bardzo przeciągnąć tę przechadzkę choćby do wieczora, powodowana jednak zwyczajną rustyczną skromnością zapraszała mnie na śniadanie; ale nie tak łatwa była ze mną sprawa, byłem waleczny i natarczywy i dopóty nie opuściłem placu aż zyskałem pąsowy gwoździk z jej wielkich hebanowych splotów.

Byłbym się chętnie wyrzekł na ten raz śniadania, byle jeszcze choć chwilę z nią pogawędzić, — bo też dziwnie

w tym dniu byłem nastrojony na miłosną nutę, tak, że gdyby Leosia o sto procent nawet brzydszą była, byłbym nie mniej ognistnie palił do niej cholewki. — Niechże teraz kto nie wierzy w sielanki i arkadyjskich pasterzy.

Śniadanie odbyło się w tak apetyczny sposób, jak tylko wiejskie śniadanie odbyć się może. — Po śniadaniu zaś w parę sekund wpadł jak bomba pan Edmund Lalkowski, sąsiad o granicę i dziedzic potężnie obdłużonej wioski, a jakem się domyślił konkurent do Leosi.

Uchodził on w okolicy za lwa powiatu i jego wyrocznie. Zapewneście kochani czytelnicy ciekawi poznać lwa prowincjonalnego. — Otóż różni się on od miejskiego jak but od filiżanki i żaden człowiek z nieco delikatniejszym gustem bez uśmiechu na taką figurę patrzeć nie może. — Pan Edmund, jako lew z natury i powołania, miał w sobie ten ton i wzięcie, jakie nadaje pewność siebie i przekonanie, że wszystko co robi, jest w najlepszym guście. — Ubrany był fantastycznie (jak sam utrzymywał) w czapeczkę małą koloru i kształtu pomidora, w rajtuzy niesłychanie szerokie, żółte dymowe, z pomarańczowym lampasem, w kurtkę aksamitną zieloną — bez kamizelki i szelek, lecz ściśnięty w talii paskiem elastycznym, z klamerką wyobrażającą motyla, na szyi wygolonej jak do ścięcia wisiała niby powróś mała fularowa chusteczka, na którą wywinęte kołnierze koszuli imitowały uszy zwierzęcia pomówionego o brak rozumu. — Włosy ciemne wijące się, lecz rozrzucone, tworzyły najdoskonalszą strzechę objemu parę łokci. — Bakembardy i wąsy nastrzępione, o tyle różniące się od włosów o ile się różni mulat od murzyna. — Wszystko to rozrosło w nieładzie wraz z siną czerwonością policzków stanowiło cechę lwa groźnego dla płci obojga.

Wpadłszy, wyciął dubeltówkę w oba policzki pana Gugi. Panią Małgorzatę serdecznie za rękę uściśnął, Kurejkę po plecach poklepał, aż mu w głowie trzasło — a Leosi rzucił wraz z całusem od ust posłanym pełne niby wymowy spojrzenie. — Na mnie, to ledwo spojrzeć raczył; rzucił się na kanapę — jedną nogę pod siebie podwinął, drugą wyciągnął na środek po-

koju i począł nie na żarty zbijać mój kastorowy, na krzesło rzucony kapelusz. Myślałem, że to jest chwilowa tylko zabawa, chwilowy lwi kaprys, lecz widząc, że to trwa zbyt długo i siła razów wzrasta, posunąłem rękę i biedny kapelusz uchyliłem z pod bolesnej chłosty. — Lew nie zwrócił na to uwagi i zaczął też samą zabawę z wątlą łytką pana Kurejki, który z kolei piskliwym zaskomlał głosem:

— A cóż to pan myślisz — drewno ja il-co?

— Alboż to boli — z śmiechem lew zapytał.

— Żartuj zdrów — a nie rób takie paskudztwa, co to z boleścią i przykrością połączone.

Lew nie słyszał ostatnich wyrazów, bo przechyliwszy się za poręcz kanapy, coś naszeptywał w uszko Leosi — a musiało być coś arcydowcipnego, bo biedna dziewczyna raka upiekła i z oburzeniem wyszła z pokoju. — Lew mimo tych niepowodzeń nie tracił na minie — porwał za resztki śniadania — za bułki, masło, i słodkie placuszki, zjadając sam zacięcie i karmiąc dwa swoje harty tarzające się pod stołem. Nasyciwszy lwi i psi apetyt, wydobyl cygarnicę i zapalił prawdziwy los trotuaros, wonią nawodzący na pamięć okolice stajni i obory.

— Ja tymczasem prowadziłem rozmowę z mojem uprzejmém gospodarstwem i robiłem uwagi nad koniecznością dobrego wychowania. — Lew puścił kilka olbrzymich kłębow dymu, zaciągnął się aż po żołądek i odetchnąwszy pełnemi jak miechy płucami, zawołał:

— Śliczna pogoda!!!

— Przepyszna, odrzekł pan Dezydery, pykając zwolna waksztafik.

— Wartoby wyjść na staw u młyna, widziałem tam przejeżdżając miryady krzyżówek.

— Czyż?... zagadnął Kurejko, zwolennik łowów.

— Jak honor kocham. — A przy karczmie Zapadni dwa stada kuropatw charty wypłoszyły.

— Czyż?... powtórzył Kurejko.

— I żałowałem djabelnie, że flinty nie wziął z sobą byłbym cokolwiek ustrzelił.

— Gapia — mruknąłem pod nosem, nie myśląc, aby mnie kto usłyszał. — Lew jednakże bystre miał ucho — bo ostro spojrzął i przygryzł strzępate wąsy. Udałem, że nie uważam tego, poglądając z największym zajęciem półroku temu wyszły numer Gazety Codzienniej. — Lew jednakże oka ze mnie nie spuszczał i po pewnym namyśle rzekł, cedząc przez zęby:

— Zapewne pan nie tutejszy.

— Pan N. przybywał z zagranicy — podchwycił pan Dezydery, i w przejeździe do rodziny raczył nam zrobić tę przyjemność i zabawić u nas czas niejaki.

— A, z zagranicy! — jeździłem parę lat temu do wód w Warmbrunn i Kissingen i widziałem tam masę Polaków trudniących się różnemi rzemiosłami — wszystko to nędza...

— Pan bezwątpienia hojnie wspierał rodaków i niemało się przyczynił do polepszenia ich bytu.

— Tak, robiło się — robiło co tylko było w mocy — ale któż wystarczy tej zgłodniałej tłuszczy.

— Jakżeż mi przykro, że zawstydzić go muszę — ale proszę mi wierzyć, że każdy z naszych ziomków, który zamieszkał pod obcem niebem — w żebractwie nie szukał sposobu do życia. — Zasób nauki lub talentu wyniósłszy z rodzinnego kraju, starał się wzbogacić środkami, jakie tam zastał, gdzie się osiedlił, i własną pracą, usilnością i staraniem znalazł pocziwy kawałek chleba. — I jeżeli dziś który wraca udarowany łaską i przebaczeniem swego Monarchy — nie jest on trutniem w naszym towarzyskim ulu — ale czynnym i pożytecznym jego członkiem.

— Pewno i pan oddawał się z zamiłowania jakiemu rzemiosłu.

— Rzemiosło nie krzywdzi mój panie — i gdybym się niem zajmował, równie dumny byłbym z tego, jak z posiadania wysokiego urzędu, — ale los inaczej mnie rzucił i służąc na przód na statku kupieckim, następnie byłem jego kapitanem a w końcu pracowałem jako dysponent handlu mego zwierchnika, a właściciela okrętu, który był bardzo majątnym kupcem.

— Jakżeż wyglądała szlachecka korona przy łokciu, korcu i wadze decymalnej?

— Myślę że bardzo dobrze — a pewno lepiej jak w brudnej knajpie żydowskiej na jarmarku lub jeszcze brudniejszym miejscu, gdzie nieraz ciężka praca przodków niknie, stawiona na kartę, honor się ulatnia jak gaz szampana, a z zdrowia zostaje się tylko wspomnienie.

— Nie znać jednak na panu tego zdrowia, o jakim rozprawiać raczysz, i z nas dwóch zdaje się, że ja lepiej wyglądam, przynajmniej państwo.

— Nie robiłem też alluzji do niego i wspomniałem tylko nawiasowo, jak źle zrozumianą u nas jest duma szlachecka, a co do wyglądu, mój panie — człowiek co z każdym dniem głową i ręką pracować musi, co wiele trosk i bólów przeszedł w swym życiu, nie może mieć postawy tyrolskiego wołu lub tłustego osła.

— Pracując tak, aż do schudnięcia — musiałeś pan znaczny zebrać majątek — nieprzymierzając jak rządzca u nas, który o tyle chudł w ciele o ile pęczniała mu kabza, aż wreszcie połowę dóbr naszych zakupił.

— Ja panie nie byłem tak szczęśliwy — a raczej łakomy i więcej ceniąc honor niż pieniądze — choć szczerze się poświęcałem dla mego pryncypała — pozostałem jednak zawsze biedny i zawsze czysty na sumieniu.

— A to, przyznam się, niezbyt rozsądnie.

— Jak dla kogo... Są niskie głowy i miękkie sumienia, są serca i dusze ze stali — co kto woli.

— Ja wolę zawsze i wszędzie piękne oczy młodego dziewczęcia, zawyrokowałem ostatecznie wstając pan Edmund i przeciągając się w sposób arcydwuznaczny, — szczęściem Leosi nie było w pokoju, a ja na to nie miałem nic do nadmienienia.

Cichaczem, wymknąłem się w dziedziniec i wiedziony pociąganiem serca, sunąłem w ogród odetchnąć świeżym powietrzem. — Lekko mi było na duszy, lekko na sercu i lekko, ale jak lekko w kieszeni! — Nie myślałem o niczym — nie marzyłem o niczym, ale niebo było tak jasne, zieleń tak czysta —

wzrok mój kąpał się w złocie słońca, w lazurze niebios i byłem tak swobodny, jak chyba cherubini lub Irokezy swobodni być mogą. — Byłem tak wesoły, że aż żałowałem, że nie mam kogo ucałować, złać na kogo mojego szczęścia i tej prawdziwie anielskiej radości. Traf mi przyszedł w pomoc i na powiernicę moją zesłał śliczną Leosię. — Ha! Bóg jest Bogiem, a Mahomet jego prorokiem — rzekłem słowami z Koranu i przystąpiłem do tej powabnej polskiej hurysy.

— A i pan tutaj? rzekła, niby zdziwiona, a dałbym gardło, że wiedziała o tym tak dobrze jak i ja, że szukać jej będę.

— Czy to panią dziwi?

— Trochę.

— Wytlómacz się pani.

— Czyż to potrzebuje tłómaczenia co pan sam rozumiesz. Wszakże lepiej siedzieć w dobrém towarzystwie niż samotnie chodzić w ogrodzie.

— Co pani nazywasz dobrém towarzystwem?

— No — nie udawaj pan, rzekła figlarnie — czyż nie zostawiłam pana z naszym sąsiadem; — miły człowiek nieprawdaż?

— A to zakazana figura — czyżby się pani rzeczywiście miał podobać?

— Och! i jak jeszcze.

— Dobrze, nie omieszkać go o tym uwiadomić.

— Nie zrobisz pan tego.

— Dla czegoż?

— Bo nie wierzysz temu.

— Przeciwnie, — zrobię, bo wierzę. — Czyż nie widziałem na własne oczy jak coś szeptał pani do ucha? — jak się zarumieniłaś i chcąc ukryć swoje pomieszanie, wyszłaś do ogrodu.

— I pan mnie nie żałowałeś.

— Czegoż miałem żałować? — szczęśliwy człowiek! zażdrościłem mu.

— O! nie miałeś pan czego.

— Nie zapieraj się pani, rumieniec ją zdradza, a jednak ja dałbym życie za jedno takie zapłonienie.

Leosia wzięła mnie za rękę i ściskając ją w swoich, rzekła z takim ogniem i entuzjazmem — jak tylko kobieta zakochana mówić może:

— Panie N. nie wiem dla czego, ale tak dbam o twoje zdanie, że aż serce mnie boli, że nie chcesz mi uwierzyć. — Czego mnie prześladujesz tym człowiekiem, którego z całej duszy nienawidzę — od którego uciekam — którego się boję.

Uśmiechnąłem się na ten pierwszy objaw rodzącego się w niewinném sercu uczucia — ale nie mogłem się powstrzymać od pocałunku, który na nieszczęście rozległ się zbyt głośno.

Leosia krzyknęła i pobiegła boczną ścieżką ku dworowi, a vis à vis mnie w alei ujrzałem pana Edmunda i dwóch jego chartów. Zmieszany nieco tym widokiem usiadłem na darniowej ławce, kończąc w cygarnicy ogonek cygara. Na ustach pana Edmunda błąkał się wpół uśmiech, wpół skrzywienie — usiadł koło mnie i poprosił ognia. Oddając cygaro, zapytał:

— Jak też pan możesz palić tak brzydką rzecz jak cygaro po tak słodkiej, jaką jest pocałunek dziewczyny?

— Nie rozumiem pana.

— Bo Pan nie chcesz.

— Nie — na prawdę.

— A ja widziałem jednak!

— Coś pan widział, to schowaj dla siebie.

— A gdybym chciał z tego zrobić użytek.

— Żlebyś pan wyszedł na tém.

— Teraz ja pana z kolei nie rozumiem.

— Wszystko mi to jedno.

— Przecież — racz mnie objaśnić, jakbym ja też źle mógł wyjść na tém? — Tu wstał i przybrał pozę gladjatora.

Ja wstałem równie i wymijając go, rzuciłem od niechcienia.

— Bo zwykle karce wadę długojęzyczną.

— Zobaczymy.

— Zobaczymy...

I na tém rozeszliśmy się — on poszedł ku stajni, ja do mego pokoju.

Po południu siadając do partyi preferansa pan Edmund rzekł do Kurejki:

— Nie wygrasz dziś kopiejki od pana emigranta — tak, kochany Sowiecie — a dlaczego, to ja wiem tylko.

— A powiedz — powiedz, — zmiłuj się kochany somsiaduniu.

— Oj pięknie poprosić mnie musisz.

— No, jak mnie kochasz.

— Nie mogę.

— Aj figlarzu, figlarzu.

I zaczęliśmy preferansa. — Ja gracz nie tęg — alem grał dnia tego na podziw szczęśliwie. — Pan Edmund grając siedm bez atu, wpadł na siedm, bo w pierwszym impecie zapomniał żem ja na rękę, a miałem dwa kolory pik i karo, których u niego ani poświeciło. Ten fatalny casus, zirytował do reszty szlachetnego lwa Powiatu ***. Rzucił karty i rzekł odsuwając krzesło.

— Nic dziwnego że pan wygrywasz — kto całuje dziewczęta w ogrodzie, ten.... ten....

— Och! panie, czyż?... zawołał Kurejko — a kogóż to?

— Kogo? — a kogóż, Pannę Eleonorę.

— Moją córkę, — ryknął Pan Guga.

— Jesteś pan kłamca — odrzekłem z flegmą.

— Daję słowo honoru.

— Jesteś pan podły oszczerca.

Tu porwał się lew, nastroszył grzywę — a ja parę pięści, i Bóg wie do czego by przyszło, gdyby nie mój gospodarz i kochany Kurejko, którzy rozdzielili zwaśnionych.

Z tém wszystkiem w godzinę dostałem bilecik w tych słowach:

„Panie!

Wyjeżdżam do domu — lecz jutro, o godzinie 5 rano na granicy dóbr moich, u figury, czekam go z sekundantem i parą

pistoletów. Jeżeliś człowiek honoru, przybędziesz, abym w krwi twojej zmył wyrządzoną mi zniewagę.

Edmund Lalkowski.”

List ten o ile nie miło oddziałał na moje pacyfikalne usposobienie — o tyle rad byłem, że zmierzę swe siły z tym krwiożerczym potworem prowincyi. A co najbardziej, że stanę się w oczach Leosi wielkim płci pięknej obrońcą.

Z rezygnacją więc w sercu dobyłem parę podróźnych Tercerolli i poszedłem za stodołę próbować ręki i oka. Przy piątym strzale, zeszedł mnie gospodarz wiodąc Kurejkę ze sobą. Obydwa zdaleka już uśmiechali się do mnie i podszedłszy, zapytał pan Dezydery:

— A cóż to pan naprawdę myślisz zamordować nam tego wiercipiętę?

— Cóż mam robić, jestem wyzwany.

— Ależ pan dobrze strzelasz — dorzucił oglądając ścianę stodoły — dalibóg dobrze.

— Mam dosyć wprawy.

— Wiesz pan co — zostaw mi ten interes, ja go sam załatwię.

— W jaki sposób?

— Bądź spokojny, obydwaj wyjdziecie z honorem — ja panu sekundować będę.

— Panie łaskawy, zarzut który mi Lalkowski uczynił, zarówno i pańskiej córki dotyczy; pozwól więc, aby cała ta sprawa poszła zwykłą drogą — a ja szczęśliwy będę, jeżeli na przyszłość powstrzymam niesmaczny język tego jegomości.

Pan Dezydery ze łzami w oczach rzucił się w moje ramiona i sapiąc jak wieloryb jeździł mi nielitościwie po policzkach swemi wąsami.

— Ach panie N. de N, gdybyś wiedział ilem cię pokochał, to...

— Panie Dezydery, wierz mi pan że i ja niemniej. Od pierwszego spojrzenia uczułem nieprzyzwyczajoną do niego sympatią, z której sobie sprawy zdać nie potrafiłem i dziś

szczęśliwy jestem, że para kropli krwi, będą w stanie dowieść mu mojej życzliwości dla jego domu.

— Nie pozwolę, nie pozwolę na to — jak mi Bóg miły — a to pięknie — słyszysz szwagierku — a to ślicznie!! Cóż to ja pana na szlachtuz tu przywiozłem — czy co?

— Nie o to tutaj idzie, po coś mnie przywiózł — ale jako człowiek dobrze wychowany, czuję się w obowiązku stanąć w obronie honoru panny Eleonory.

— A ja nie pozwalam — ja pana aresztuję.

— Pan tego nie zrobisz — zarzuciłem. — Pan nie zechcesz narażać mnie na opinię tchórza i... jeszcze co gorszego.

— Więc chcesz się gwałtem strzelać?

— Myślę że tego uniknąć niepodobna.

— Więc zgoda — ale ja ci służyć będę za świadka i na mnie témsamém zdajesz urządzenie téj sprawy.

— Pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Że honor mój na tem nie ucierpi.

— Na to daję ci słowo uczciwego człowieka.

Wróciliśmy do domu — a przez drogę Kurejko wykładał mi teorię strzału pistoletowego w odległości okiem niedościgłej i zaręczył za pewność ugodzenia w centrum.

Gdym wchodził do pokoju, który mnie w dniu przybycia zajął tak swą schludną sukienką — dostrzegłem jak Leosia schylona przy oknie, patrząc niby na świeże geranium kryjomo łezki sączyła. Obejrzałem się, byliśmy sami. Na palcach do niej podszedłem i zlekka ująłem za rękę.

— Pani — rzekłem drżącym od wzruszenia głosem, — bo i jakiegoż kamiennego serca łązy kobiet nie wzruszą?

— Pani — rzekłem — ty, która jesteś tak anielsko-dobra, spodziewam się że mi wybaczysz chwilę zapomnienia, której tak gorzko już w téj żałuję chwili. Zaklinam panią, spojrzij choć raz na mnie — niech twe spojrzenie rozsiej troskę, która serce me uciska, i niech doda mi odwagi....

— Och nie mów tak, nie mów tak pan do mnie. Mój Boże, mój Boże czy ja warta żebyś pan życie dla mnie ryzykował.

— Dla ciebie pani z rozkoszą ostatnią kroplę krwi przeleję — krzyknąłem tak patetycznie — tak w czystym stylu galantów księstwa Warszawskiego, żem się aż zdziwił i aż mi włosy na głowie ze strachu powstały.

Musiąłem być okrutnie straszny, bo aż oczy Leosi obechły. Nastąpiły przysięgi, zapewnienia, łyzy, znów przysięgi, znowu łyzy i wreszcie całus bardzo, bardzo długi, który zapieczętował tę czysto-eteryczno-deszczową konferencję. Skutkiem zaś tego posiedzenia, jeżeli je tak nazwać się godzi, bośmy ciągle stali — był układ dobrowolny, że na przypadek mojej śmierci, Leosia umrze... jeżeli będzie mogła.

Tak uspokojony co do serca i pragnący uspokoić ciało, wypaliłem na dobranoc flakon starego tokaju ofiarowanego mi w tym celu. To wszystko usposobiło mnie do bardzo bardzo poważnych myśli, — i tak myślałem, że gdybym mógł co wymyślić byłbym niezawodnie wymyślił. Los chciał jednak inaczej — bo wśród szarych, chmurnych i różowych marzeń... wśród... wśród poduszek i kołder... usnąłem.

Ledwo słońko błysnęło brylantowem okiem... ba, zapomniałem, że tego dnia wcale nie świeciło. Otóż to pamięć zakochanych ludzi. Mniejsza jednak o to, błysnęło czy nie błysnęło — dosyć, że bardzo rano wszedł do mnie pan Dezydery, ubrany w szarą wołoszkę z potrzebami, niosąc pod pachą ogromny zwit bandarzy, szarpi i różnego rodzaju chirurgicznych przyrządów. Za nim dostrzegłem pieczarkowatą twarz Kurejki. Zerwałem się na równe nogi, przywdziałem czarny tużurek, zapiąłem pod szyję, i brzegi angielskiego kołnierzyka w krawat ukryłem; słowem przygotowałem się podług wszelkich zasad do spotkania się oko w oko z okrutną śmiercią.

Siedliśmy w nejtyczankę i sami powożąc pędziliśmy drogą do lasu. Gdyśmy wjechali pod cieniste drzew sklepienie — gdy uszu mych dobiegł ten szum smętny, poważny, który stanowi lasu wyłączną cechę, duszę mi obwiał nie strach, nie obawa, ale jakby rzewne wspomnienie przeszłości połączone z żalem za tak pięknym, uroczym światem. Niedługo jednak trwał ten stan méj duszy. Zemsta zawrzała w wojowniczym

sercu — bom ujrzał pana Edmunda stojącego z sekundantem na małym śród lasu wyrębie. Wskoczyłem jak tygrys z poczciwej nejtyczanki, która ani się domyślała jak straszego wiezie Czingis Hana. Zmierzyliśmy się srogim spojrzeniem, i dziś gdy wspomnę tę chwilę zawsze przypuszczam, żeśmy bardzo do złośliwych kozłów byli podobni.

Sekundanci, w słowach pełnych pokojowości i ewangelicznego namaszczenia, starali się nas pojednać, lecz Lew był zacięty, a ja nieprześlągany. Odmierzono metry — stanęliśmy o kroków piętnaście. Założyłem ręce na piersi i czekałem aż sekundanci stojący na boku nabiją pistolety. Każdy z nich nareszcie wziął po jednym i oddał swemu protegowanemu. Oddając mi broń, pan Dezydery uśmiechnął się tak dwuznacznie, że gdybym mniej był w tej chwili zaciętrzewiony byłbym poznał, że się w tém coś święcić musi. Ja jednak tak byłem morderczych zamysłów, że nie więcej prócz krwi przed oczami nie widziałem. Gdyśmy ujęli broń do ręki zawołałem do pana Edmunda.

— Mierz Pan dobrze — bo ja go oszczędzać nie będę — a strzelam w lot jaskułki — i raz na polowaniu w Bengalu, strzałem pistoletowym o 40 kroków, położyłem trupem ogromnego jak wielbłąd Czarnego Tygrysa. Przy tych słowach — pan Edmund zbladł jak chusta i dolna warga drgała mu jak w febrze. Odwiodłem kurek, podniosłem rękę do wysokości oka, i w tejże samej chwili zabrzmiała komenda: „Baczność raz, dwa.... trzy!.. Dwa strzały wypadły jednocześnie i ja uczułem uderzenie w nogę — noga jednak była zdrowa i nie czułem najmniejszego bólu. Za to mój przeciwnik leżał jak długi, cały zsiniały. Podbiegłem do niego, krwi nie było — ale nie było i życia. Jednem słowem zemdłał ze strachu.

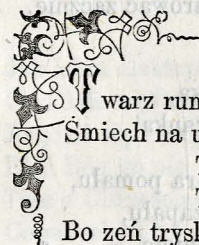
W tydzień dopiero wyjaśniono mi rzecz całą, gdy pan Edmund do wód ze wstydu wyjechał. Że w tej chwili gdyśmy otworami luf godzili na swoje życie — nasi sekundanci mierzyli do nas schowanemi przy nabijaniu w rękawy ołowiankami

ULOTNE POEZYJE.

— 158 —
WARSZAWIANKI
ŚMIECH I TĘSKNOTA

Improwizacya z powodu słyszanėj muzyki Szopenowskiej.

(Mazur).



warz rumieńcem szczęścia płonie,
Śmiech na ustach — w sercu żar,—
Taki śmiech
To nie grzech,
Bo zeń tryska uczuć czar.

Kiedy obcą piosnkę słyszę,
Śmiech na ustach— w sercu skra,—
Taki śmiech
To nie grzech,
Bo w nim tysiąc uczuć gra.

I gdy znów złudzenie mija,
Wracam ja w uciechy świat,—
Bo wasz kraj
Istny raj,

W nim marzenia rośnie kwiat.
Lecz gdy wspomnę moję matkę,
Słodki dźwięk jój miłych słów—
Wnet rodziną ujrzę chatkę,
Miejsce mych młodzieńczych snów.

O! już wtenczas śmiać się trudno,
Przykre dla mnie życia szaty,
I krainę waszą cudną,
Oddam za mój domek mały.

Ale pocóż łudzić zmysły,
Wierzyć ciągle w same sny,
Gdy dni szczęścia nie zabłyśły,—

I tęsknoty wieczne łyzy,
Bo choć niebo tu tak czyste
I tak wonny każdy krzew,
Droższe łany są ojczyste,
Droższym widok własnych drzew.

WARSZAWIANKI.

Czy znasz dziewicę, co w jednym słowie
Całą ci duszę — serce wypowie....
Troską powlecze twe czoło;
A gdy zobaczy, że ci nieznacznie
Miłość pierś własną czarować zacznie,
Porzuci ciebie wesoło.

O! to nie naszój ziemi kochanka,
To chluba Francyi!... to Paryżanka!

Czy znasz dziewicę, która pomału,
Roznieci w tobie iskrę zapału,
Słów cię zaleje strumieniem,
Pragnąc rozmową swą fantastyczną
Rozniecić w sercu skrę elektryczną,
Rozżarzyć duszę marzeniem.

I ta dziewica nie z naszój ziemi
Hofman się tylko zachwycił niemi.

Czy znasz dziewicę co w życia kwiecie
Już się dojrzałej równa kobiecie,
Co błyska okiem namiętném,
Co cię posiadzie jednym spojrzeniem,
Jednym gorętszym ręki ściśnieniem,
I duszę oddasz jój chętnie.

O to gorących stref są kochanki,
Namiętne Włoszki — zdraadne Hiszpanki.

Ale jest dziewczę z godłem anioła,
Co w tobie święte czucie wywoła,
Pierś ukołysze ci błogo,
Które wzniosłem, szczeremi słowy
Nie sprawi tobie zawrotu głowy,
Lecz przyszłość wskaże ci drogą....

O! to już naszój ziemi bogdanka!...
Lecz któż jój nie zna? — to Warszawianka.

Nieodżałowanej pamięci Ministra Turkull.

Jak iskra elektryczna przebiegł odgłos wieści.,
O skonie męża, który w życiu swoim całym,
Rządził się zaciętą duszą i sercem wspaniałem,
Póki Bóg go nie wezwał na łożo boleści.
Tam z Chrześciańską pokorą czekał końca losów,
Co na schyłku nas życia w kraj daleki wiodą,
A głos tysiąca ludzi wzniosł się do niebiosów
I ich żal był najmiłą cnotą Jego nagrodą.
A dziś cóż wyrzekniemy, gdy już zimne ciało
Oblane łzą rodaków złożono do ziemi,
Że w duszy ich niezgasłe wspomnienie zostało,
Boś je związał z sercami ogniwy świętymi.

POŻEGNALNY ŚPIEW

artystki opuszczającej Warszawę.

Wracam aby wam w ofierze
Pieśń rodzinną nieść;
Żeście radzi — teraz wierzę,
Cześć wam, bracia — cześć!

*
* *

Ja w mazura dźwięki zleję
Wdzięcznych uczuć ton,
Wiara w przyszłość — w was nadzieję
Łączy w sobie on.

O ja pragnę w nim serdecznie
Tym wyrazem brzmieć,
Że w pamięci mojej wiecznie
Wy będziecie żyć.

* * *

Że i zdala za morzami
Gdzie nie będzie was,
Pieśnią się połączę z wami
Mazur zabrzmi wraz.

* * *

A gdy będę tam szczęśliwa,
Gdy wrócą te dni,
Powiem, że warszawska niwa
Dała szczęście mi.

KONIEC DRUGIEJ CZĘŚCI PAM. WAMPIRA.

LISTA PRENUMERATORÓW

PAMIĘTNIKÓW WAMPIRA Nr. 2.

Egzempl:

Asterblum Plenipotent kupiecki	1
Bauerertz Bankier	1
Bouquerell	1
Czartkowski Walenty	1
Cybulski Kazimierz kupiec	1
Czaplejewski Piotr Urzędnik komory Warszawskiej	1
Czarnecki Wacław Urzędnik komunikacyj Łąd. i Wod.	1
Fersztendig kupiec	1
Fejwelzon kupiec	1
Geldblum kupiec	1
Joles Bankier	1
Janasz Bankier	1
Kleinman Bankier	1
Kruszyński Mieczysław Urzędnik komory	1
Krawczyński Urzędnik	1
Ławrynowicz Dyrektor Wydziału N. I. O.	1
Majerhold Plenip. kupiecki	1
Piotrowski Urzędnik kom. Łąd. i Wod.	1
Parys Obywatel	1
Rejchel plenip. kupiecki	1
Rakowski Konstanty Urzędnik komory	1
Rutkowski Urzędnik kom. Łąd. i Wod.	1
Ruśkiewicz Albin Urzędnik kolei	1
Siemiński Urzędnik kom. Łąd. i Wod.	1
Spiesbach Urzędnik kom. Łąd. i Wod.	1
Spielrein kupiec	1
Temler	1
Twardowski Seweryn	1
Troetzer	1

UWAGA. Lista innych prenumeratorów zakomunikowaną mi
nie została.
(przypis Wydawcy).

SPROSTOWANIE OMYLEK W PIERWSZEJ CZĘŚCI.

				<i>zamiast:</i>	<i>powinno być:</i>
Str.	6	w 16	od góry	przez które	przez który
„	„	„	— „	duszą,	dusze
„	„	20	— „	obelga	obelgę
„	„	22	— „	bydłectwa	piętno bydłectwa
„	11	1	— „	w stan	do stanu
„	15	10	— „	Hauke	Hanki
„	„	„	— „	Szafarczyka	Szafarzyka
„	22	2	— „	powołanie.	powołanie...
„	23	9	— „	nieprawdaz	nieprawdaz
„	„	16	od dołu	której	który
„	„	15	— „	w młodzieńca	w młodzieńcu tań-
„	25	3	— „	tańczącego	czącym
„	32	6	— „	gości	goście
„	35	11	— „	zapytaniem	zapłonieniem
„	„	7	— „	prozopopeję	prozopopeję
„	44	9	— „	eplembatycznój	emblematycznój
„	45	5	od góry	pana	panna
„	48	10	— „	powinny. —	powinny,
„	72	2	— „	zgromadzenia.	zgromadzenia,
„	84	3	od dołu	nieumiejących	nieumiejącym
„	„	„	„	lisem	losem

POSTĘP I EMANCYPACYA

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY

w dziewięciu szkicach,

NAPISANY

przez

Jana Kapistrana Włóczykija.

WSTĘP.

W dzisiejszych okolicznościach i położeniu kraju, gdy pękły więzy zastarzałej nienawiści i uprzedzeń kast, gdy zespoliły się serca i dłonie synów jednej matki ojczyzny, wypada byśmy rzucili okiem bezstronnego krytyka na lata niedawno minione, byśmy studjując typy i postacie powziąć mogli pewne wyobrażenie o tém, co wyrugować z pośród nas należy, co poprawić, co dodać lub rozwinąć. Nie zrażamy się jeśli obrazek nie będzie miał barw jasnych, uroczych, nie zrażamy się jego ironiczną formą, bo chcąc wyleczyć się z błędów wypada je poznać i zgłębić do gruntu, a lekarstwem najlepszym — obrócić je w śmieszność. Śmieszność jest to broń straszliwa, przed nią pierzchają ci nawet, którzy w obec zdrowej logiki, w obec przeważnego zdania ogółu, trwają zacięcie w swym uporze i błędzie. Niechże ta broń skruszy ostatki przesądów, ostatki zastarzałych grzechów, niech nam odrodzi te pojedyncze indywidua, przeciw którym walczyć zamierzamy (bo całość już nam dłoń podała), a będziemy szczęśliwi, żeśmy dorzucili swój grosz wdowi do narodowego skarbcu.

SZKIC I.

Zareczyny w roku 1808.

Było to zatem roku pańskiego 1808, w mieście sławetnem Brodach, gdzie rzeczywiście przez trzy części roku brodzi się po kolana w błocie, a przez czwartą po kostki w piasku. Nie chcę tu naśladować wielkich historyków, którzy w dwóch tomach in folio wywodzą etymologią nazwy, a w drugich dwóch zbijają poprzednie dowodzenia, lecz opisując wypadek familijny starodawniej rodziny Geszefterów to nadmienić muszę, że dalecy jej przodkowie (choć o tém bardzo wątpliwe) pamiętają nawet wodę w studni na rynku, a przecież ta już od półtora wieku ani kropli tego płynu w sobie nie posiada. Mimo to jednak, jak studnia jest ozdobą miasta, tak Geszefterowie są luminarzami ludności szlachejnych Brodów. Otóż w wigilią czwartą niedzieli po Śtym Janie, to jest w sabat, nad wieczorem wielki był ruch i wrzawa w domu rynkowym o facyacie, z ogromną jak paszcza wielorybia jamą, w której Mendel Geszefter wyglądał jak drugi Jonasz, jeżeli tamten natabene palił drejkenig z długiej fajki z porcelanową odlewką. Pan Mendel tedy stał w onej bramie, będącej, ni mniej ni więcej, wrotami jego własnego zajazdu, który na sławę miasta, a niewygodę podróżnych od lat 20 utrzymywał w wielkim nieporządku. Stał i liczył czas zachodu słońca i oczekiwał błysku pierwszej gwiazdy, by rozpocząć wieczór, na której spełnić się miał ważny obrzęd zareczyn jego najmłodszego syna.

Tymczasem gromadki jego współwyznawców przechodząc mimo bramy, kiwały głowami z pozdrowieniem i podziwiała prześliczny cytowy szlafrok Geszeftera, który na sto kroków bił w oczy pomarańczowymi różami wielkości spodka, na tle brudno trawiałem. Niemniejszy podziw wzbudzała czapka,

która była z czystych amerykańskich elków z czarnym aksamitnym wierzchem. Lecz wszyscy wiedzieli, że Geszefer był bogacz i słynął na całą okolicę z wystawnego stroju i stosunków w obywatelstwie, które go mocno poważało nie mijając nigdy jego winiarni, handlu korzeni, bławatów i innych drobiazgów, o rozpacz pripraviających straż celną graniczną.

Nareszcie upragniona gwiazda zabłysła na wschodzie, za nią druga i trzecia. Pan Mendel poważnie wyjął z ust fajkę, wytrząsnął popiół i wszedł do mieszkania. Jak gdyby czekało tylko tego sygnału, we wszystkich świecznikach i lichtarzach zapalono świece i na czystym obrusie zastawiono jadła; była tam i gęsina i łoszyn i kugel i wódka słodka, a nawet parę butelek starego wina.

Więc w około stołu zasiadła cała rodzina Geszeferów, zaczawszy od siwobrodego ojca gospodarza aż do ostatniego czteroletniego bachurka, który w antraktach jedzenia przywiązywał sznurki od cycela do pięknie skreconych pejsaków, co rodzicom dawało wiele do myślenia o jego wrodzonym dowcipie.

Wesoło odbyła się wieczerza, a stroje biesiadujących dawały jej prawdziwie uroczystą postać. Mężczyźni w czarnych jedwabnych poważnego kroju żupanach, podpasani także czarnymi wązko złożonymi pasami, w futrzanych czapkach nieraz bardzo kosztownych, z dziwnym namaszczeniem w licu, siedzieli po ukończeniu uczy, nucąc przez zęby zwrotki majufesa. Kobiety w złotogłowych bindach i zausznicach, w bogatych napierśnikach i sztywnych jedwabnych sukniach, szeptały z cicha pomiędzy sobą, chichocząc od czasu do czasu; mężczyźni jednakże nie brali w tej rozmowie udziału, dumając głęboko i nucąc wciąż żalosne kuplety. Aż siwobrody ojciec gospodarza, głośnawszy brodę i podparszy się łokciem, drżącym głosem zaintonował tak płaczliwą nutę, jak gdyby kubek łez wypił. Tu wszyscy obecni poderwali tenże sam ton i zaczął się śpiew chóralny, smutny, żalosny, niby wspomnienie tej ziemi obiecanej, z której wygnani ich prapraojcowie rozbiegli się na tłuactwo po całym świecie obszarze.

Śpiew ten z początku wolny, wzrastał w siłę i szybkość tempa w miarę wzrastającego zapалу śpiewaków; entuzjazm ich dochodził najwyższego stopnia zapomnienia, gdy wejście nowego gościa przerwało to wokalne zatrudnienie.

Nowo - przybyły był to Rabin, podeszły już wiekiem, schylony pracą i ślęceniem nad talmudem, który umiał na pamięć od deski do deski, tam i napowrót, a nawet na wyrywki. Cześć więc jaką go otaczali nie miała granic; za jego wejściem wszyscy powstali i pozdrowili się wzajemnym „git Woch.“ Od niechcenia siadł w honorowym gospodarza fotelu, roztworzył *Sefer* (księgę świętą), którą mu dwaj towarzyszący mu nieodstępnie *szamesy* (asystenci) podali, i począł odczytywać z niesłychaną szybkością i wprawą niektóre wybrane przez siebie ustępy, a wszyscy w niemem milczeniu, z wlepionym w niego okiem, śledzili niepoścignione drganie jego brody. Gdy się już naczytał dowoli, zdjął mośiężne okulary, położył na książce i rzekł uroczystym głosem: „A drzewo które nie rodzi, nieplodne jest...“ Poczem w nową wpadł zadumę, a wszyscy tylko emokali z podziwieniem nad tą przemadrą i trafną sentencją *). Po chwili podniósł oczy, jakby się obudził z długiego letargu, powiódł niemi do koła pytając: „A gdzie jest Zamel? — gdzie jest Sore?“ — Zamel był synem Geszefera, Sore córką jego szwagra. Na to wezwanie, dwoje bachurząt wyskoczyło naprzód, jedno lat dwunastu, drugie dziesięciu. Chłopiec był blady, wątły, z oczami obwiedzionymi błękitną prążką, z krzyżującymi się żyłkami na skroni, wzdłuż której jak dwa grajcarci, wiły się cieniuchno ukręcone pejsy. Dziewczynka żywa, rumiana, z płonącym czarnym okiem, panowała swemu starszemu towarzyszowi siłą i czerstwością. Za to młodzieńca uważano za prawdziwego geniusza i podziw wszystkich uczących go *belferów* (nauczycieli).

— A szejner bucher — wybąknął Rabin, rozpoczynając temi wyrazami długą przemowę, w której dowodnie wykazał,

(*) Co za różnica od dzisiejszych Rabinów i ich gmin?

że aby zawrzeć małżeństwo, potrzeba koniecznie dwóch osób płci odmienniej, co przyjęto ogólnem potwierdzeniem i poklaskiem. I rzeczywiście tyle było nieubłaganej logiki w tém zdaniu, że wszyscy tylko cmoknęli ustami z uwielbieniem, nie czyniąc żadnych komentarzy.

Po takim wstępie, rozpoczął się sam obrzęd starożytną formą, z towarzyszeniem śpiewu, w którym górowali nosowym zaciągami i piskliwością dwaj obecni *szamesy*. Pomagali im z całą serdecznością tak mężczyźni jak i kobiety, a gwar i zawierucha w mieszkaniu do tego wzrosły stopnia, że



łojowe szabasówki w srebrnych stojące świecznikach dymiły pod sufit, a kapaty aż na ziemię. Całe towarzystwo długo w noc przyspiewywało tupiąc i przykucając w nadmiarze radości, i niejedną spełniono butelkę piwa i niejeden kieliszek wódki, aby godnie uczcić ważny akt w famalii Geszeftera.

Na drugi dzień młodzi narzeczeni rozeszli się z sobą; — pan młody aby jeszcze rok chodzić do *chajderu* (szkoły), pan- na młoda aby się poduczyć handlu i gospodarstwa.

SZKIC II.

W lat pięćdziesiąt potem.

Przy jednej z pryncypalniejszych ulic Warszawy, w wielkim domu, na pierwszém piętrze, zajmuje wytworny lokal bankier i przedsiębiorca bogaty (bo ma dużo interesów), znany nam Zamel Geszefter. Niewiele urosł od owego czasu, niewiele zmężniał, została też sama wątła szczupła figurka, też same zapadłe policzki, tylko dziś miejsce aksamitnej krymki i pary pejsaków zastąpiła gustowna paryzka peruczka, a po obydwóch stronach twarzy świecą starannie strzyżone i na czarno wytuszowane bokobrody. Cieniuchna bielizna, gustowne ubranie, kosztowna brylantowa szpilka i takież pierścien na palcu, dopełniają tego awantazownego przeobrażenia. Pan Zamel jest wdowcem od lat kilkunastu; ukochana jego Sore, zadając fałsz pozorom zdrowia, zesła z tego świata obdarzwszy męża trzema dorodnemi jak sama córami, a pan Zamel sprawdzając przysłowie, że skrzypiące drzewo najdłużej przetrwa, kaszlał, spluwał, ale żył upornie, żartując sobie z całego areopagu lekarzy.

Godzina 4 po objędnie; pan Zamel siedzi w miękkim wolterowskiem krześle, tonąc jak dziadek do orzechów w ela-

stycznych poduszkach; fezka na głowie, w ustach wonne cygaro, a gazeta z kursem giełdy w ręku. Nie czyta jednak, tylko machinalnie wodzi okiem po bibulastej wyroczni, ale częściej niż na gazecie wzrok jego spoczywa na strzałce stołowego zegara.

Powolność tego zegara niecierpliwiła go widocznie, bo wstał, przeszedł się kilka razy po wysłanej kobiercem posadzce i stanął zamysłony u okna na chwilę. I to go jednak zająć nie mogło, poszedł do stolika i zadzwonił. W tej samej chwili wbiegł lokaj czarno ubrany, oczekując rozkazów.

— Czy panna jeszcze nie przyjechała?

— Nie jeszcze.

— Czy kto pojechał po nią?

— Pojechała bratowa pańska.

— To dobrze.... to dobrze.... ale — a czy są listy jakie do mnie?

— Nie ma żadnych.

— Hm!.... nie ma — to źle.... jutro termin wypłaty trzech weksli po 3000 rubli.... możesz odejść Józefie. Hm!.... 9000 rubli.... to źle.... bardzo źle. Ostatnia spekulacja mnie zjadła.... przytém inne wydatki.... edukacja... dom... i t. d. to źle....

Rzeczywiście, pan Zamel długo i z dziwnie upartem szczęściem rzucał się na najbardziej ryzykowne spekulacje. Żaden większy interes nie obszedł się bez jego współudziału; nie było entrepryzy, dostawy, słowem żadnej handlowej czynności, aby on do niej ręki nie przyłożył i nie osiągnął znacznej korzyści; — pieniądź garnał się do niego z najwątpliwszych, z najryzykowniejszych przedsięwzięć i nie było przypadku, aby kiedy stracił.

W ostatnich dopiero czasach los go prześladować zaczął. Zdarzyła się dostawa rozlicznych materiałów do pewnego zakładu fabrycznego w ogromnej ilości, której chciwy zysku, nie dopuszczając nikogo do licytacyi, podjął się po bardzo niskich cenach, aby odstraszyć wszystkich konkurentów. Dostawa skontraktowana została na lat pięć. W tym czasie ma-

terywały mające być dostawionemi podskoczyły w cenie o drugie tyle i przywiodły naraz dostawcę do zupełnej ruiny. Kaźda z córek pobierała nauki w wyższych pensjach. Dwie starsze wyszły za mąż, a posag im dany znów uszczuplił szkatułę ojcowską; — ostatnia wreszcie Natalja, skończywszy kompletne ukształcenie — grając jak Liszt, śpiewając jak Borghini-Mammo, miała zjechać do domu, aby osłodzić ojcu smutne godziny niepowodzeń i cierni losowych. Jakoż w tej samej chwili zajechał powóz opakowany tuzinem waliz i drugim tuzinem rozlicznych kształtów pudełek, wśród którego to pakunku tkwiły jak dwie główki sałaty, dwie kobiety wygarnirowane, wykoronkowane, wykrochmalone i podwleczone dziwnej objętości krynolinami. Serce ojcowskie zabiło radością i oczekiwaniem przyciśnięcia do piersi najukochańszej Natalki, tego dziecka wypieszczonego, najdroższego, bo żyjącego ofiarą życia swjej matki. Był to Benjaminiek rodzaju żeńskiego, szczęście i pociecha, radość i nadzieja.

Z gorączkową niecierpliwością chodził pan Zamel po komnacie, oczekując przybycia córki, ramiona miał otwarte do przyjęcia jej w swoje objęcia — łza nadziei kręciła się w oku, i człowiek ten, który gotów był dla własnego zysku do zguby przywieść tysiące rodzin, rozczulał się mimowolnie myślą o swoim dziecięciu. Drzwi jednak nie otwierały się — córka nie wchodziła powitać ojca po trzech-letnim oddaleniu. Smutne przeczucie ścisnęło pierś ojcowską — wątpliwość jakaś osiadła w myśli — i znów dzwonek zabrząknął krótko, konwulsyjnie — i znów lokaj ukazał się sztywny, milezący jak poprzednio.

— Gdzież jest panna?

— Przebiera się teraz u siebie.

— Jaktó! więc jej pilniejsza toaleta niż powitanie ojca! to okropne!... Idź, powiedz jej, że ja czekam — natychmiast.

Lokaj znikł — on chodził wielkimi krokami — a chmura smutku zawisła na czole. Ale długo chodził zanim Natalka wyświeżona, wyperfumowana przybyła, by ucałować oj-



W. BOJARSKI.

cowską rękę. Na jej widok zapomniał biedak gniewu i uniesienia, — podbiegł pierwszy do niej, aby uścisnąć, ale ta na nieszczęście świeżą miała suknię i świeże koronkowe żabo; szkoda ich zmiąć od razu — więc się z lekka usunęła i brzochem ust dotknęła ramienia swego ojca, który osłupiał na tyle chłodu i tyle wdzięków.

Panna Natalja została wyrocznią i bożyszczem rodzinnego ogniska, a sława jej sięgała nawet półtrzęciwej ulicy. Silną choć bardzo białą dłonią chwyciła ster domowego zarządu i w imię mody, w imię ostatniego żurnalu, w imię nareszcie dobrego tonu, wydawała despotyczne rozkazy, dla których wykonania rujnowano wszystko do ostatniej nitki. Ojciec w dobrą wiarę ufał jej słowu i nie śmiał się oprzeć tej, która za granicami kraju, w świątyni oświaty, zaczerpnęła pełnymi ustami

ze źródła wykwinności, wyszukanego smaku i elegancji. — Próżno nacisk wierzyteli, domagał się swych należności — próżno imię nieskazitelnego *bankierskiego* honoru wywoływało przed kratkami sądu i szargano w komorniczych aktach, nikt wydusić nie mógł grosza kapitału i szczęśliw był jeśli zaspokojono procenta — ale panna Natalja nie zaliła się nigdy na brak w szkatule, a złoto i srebro nikło jak kamfora pod jej wynalazczą ręką. Suknie, biżuterie, koronki, batysty, gromadami zalegały jej garderobę — i co tylko zdolne jest podwyższyć naturalne wdzięki, co tylko mogło dodać blasku płci, ognia oczom i gracy figurze, użytem zostało z wielkim powodzeniem ku podziwieniu całej kliki rodowej, lub ku zazdrości i zmartwieniu nieprzyjawniej partji. Tak zbiegały na skrzydłach motyla dni, tygodnie, miesiące. Zbiegałyby i lata, gdyby nieraptowny i niespodziany wyrok sądowy, grożący bankierowi aresztem na Lesznie. Ten fakt, napozór małoważny i drobnostkowy, wywarł przecież znakomity wpływ na dalszy los Natalki. Pan Zamel zamyslił się głęboko — wypił aż trzy filiżanki bardzo cienkiej kawy, wypalił aż siedem cygar prawdziwych Hawanna, i myśląc tak przez kilka godzin z rzędu, przekonał się że... nie nie wymyślił. Po takim rezultacie narady z samym sobą, udał się wreszcie do rozumnej główki swjej siostry, która będąc wdową bezdzietną bawiła u niego dla matkowania Natalce.

Słusznie mówi przysłowie, że co dwie głowy to nie jedna i na odwrót. Otóż pani Hanna bynajmniej się nie zdziwiła ujrzawszy w swym apartamencie brata — owszem rzecz można przewidywała ten wypadek i oczekiwała go z pewnością. Gdy jej objawił cel swego przybycia, pokręciła główką i z dowcipnym uśmiechem zapytała go czy naprawdę postąpi według jej porady. Pan Zamel był w takim położeniu co to mówią „nóż na gardle,“ nie miał więc co wybierać, ale przyjął co Bóg zdarza — zapewnił więc o zupełnej zgodzie. Tu pani Hanna w krasomównym okresie zeszłocowała bardzo zręcznie całe obecne położenie, dotknęła nieco czarnej bardzo przyszłości i za jedyny środek wybrnięcia z kłopotów podała wyda-

nie za mąż Nataliki i to jak najprędzej. Pozbędziesz się z domu, — mówiła, — zbyt niocy córki — dwóch jej garderobianych francuzek i jednej angielskiej do towarzystwa. A co najważniejsza skończą się te ekspensa, któreby zjadłyby w przeciągu lat kilku bogactwa Peru i Golkondy — bo idą w szalonej progressy — i z coraz większym zapalem. „Tak więc wyrok sądowy zdecydował o losie paryżkiej modnisi.

SZKIC III.

Lew grzywiasty z Wałowej ulicy.

Lew grzywiasty znany w Zoologii pod nazwiskiem *leo generosus*, zamieszkuje w szczególności północną i środkową Afrykę i tem się różni od lwa cywilizowanej Europy, że nie pali cygar i nie nosi modnej zakiety. Zresztą też same ma szlachetne przymioty, a mianowicie nie je kiedy jest syty, nie chodzi kiedy się położy i jak spi to nie patrzy; ale znowu tém góruje nad lwem europejskim, że nigdy nie szermuje językiem bez potrzeby, gdy tymczasem cywilizowany jego pobratymiec używa na to tylko mowy, aby wyrzucić jakąś niedorzeczność. Jeden z tych lwów towarzyskich urodził się w poczciwej naszej Warszawie, w bardzo nieporządnym domu i bardzo niechlujnej izbie przy ulicy Wałowej, i jako anomalia swojego rodzaju, pochodził wprost od zająca, bo jego ojciec nazywał się Berek Hase. Pan Berek Hase, ni mniej, ni więcej, utrzymywał szynceł na dwie staje woniejący kartoflanką i pociągający nieprzepartą weną amatorów taniego trune-

czku. W świątyni tej jednak panowała samowładnie żona jego Ruchla, kobieta bardzo zabiegła i zdatna do handlu. Mąż tymczasem handlował końmi i dobre na tém robił interesa. Zwolna, grosz do grosza, uciułał się kapitalik, a ten znów zrecznie użyty, podwoił się, potroił, i doszedł do takiej potęgi, że już parę nieruchomości sąsiednich oprzeć mu się nie mogło i przeszły na własność bogatego Berka. Kto inny spo- cząłby na laurach swoich zabiegów, lecz Berek był niezmordowany; zakosztowawszy raz niebezpiecznego napoju *gotówki*, czuł wieczne jej pragnienie, i jak gracz stawiający na kartę swe mienie, jak pijak codziennie zarzekający się trunku, a przecież codziennie wracający do niego, tak i nasz kapitalista nie mógł oprzeć się ponęcie zarobienia tysiąca na tysiącu, ilekroć do tego zdarzyła się okazja.

Z wzrostem bogactwa mało zmienił tryb codziennego życia. Przybrał tylko parę izb więcej do swego mieszkania, bo i familja się rozrosła, zakupił parę garniturów dobrze podniszczonych, ale za małe pieniądze mebli; ale zresztą tenże sam nieład, tenże sam zaduch i nieporządek panowały w jego apartamencie, które zresztą miłemi mu były, bo przywykł do nich, bo się zrośł z niemi.

Mały Jasek, który w przyszłości wyszedł na pana Józefa i lwa dobrego tonu, był sobie mały bachur biegający po ulicznym bruku, z obwarzankiem w ręku, z podobnemi, jeżeli belfer nie zagarnął go do Hajderu, od czego mówiąc nawiasem, bardzo się zrecznie wykpiwał. Śród takiej swobody i takich rozrywek urósł na dziesięcioletniego chłopaka. Tu ojciec pomyślał o jego przyszłości — zapragnął by syn jego nie był głupszy od wszystkich gojów (tém mianem zwykł był czcić Chrześcian), przyjął mu więc jakiegoś tam metra, który w pocie czoła kładł w Joskową głowę pierwsze początki czytania po polsku, a potem i w innych językach. Gdy już Jasek nauczył się tyle, ile umiał sam korepetytor, szanowny jego ojciec, ogarnięty naraz powiewem emancypacyi, wnikającym aż w zakątki Wałowej ulicy, oddał go ku zdziwieniu wszystkich sąsiadów do Realnego Gimnazjum.

Pan Józef, bo już mu Joskiem być nie wypadało, ślicznie się prezentował w studenckim mundurku, a cała familja od rana do nocy oglądała go na wszystkie strony, klaskała ustami i kiwała głowami, na taki rarytas swojego rodu. Joszek ze swęj strony nie zawiodł ojcowskiego zaufania, robił wszystko co tylko było w jego możności, aby jak najdłużej siedzieć w każdej klassie i nie było szkoły w Warszawie, którejby nie zwiedził, nie było ławki, na którejby nie odsiedział lat parę — aż nareszcie po dziesięciu latach peregrynacyi z gimnazjum do szkoły powiatowej, ze szkoły powiatowej do gimnazjum, przekonał się pewnego poranku, że już jest szósty rok w drugiej klassie i że coüte que coüte... nie dostanie promocyi. Poszedł tedy do ojca i z prawdziwie synowskiem zaufaniem złożył na jego łono tę miłą mu tajemnicę. Ojciec, podrapał się w głowę, pogłaskał po nosie i rzekł bardzo poważnie i bardzo pobłażliwie:

— Mój kochany Józiu, oni wszystkie są głupie, ale ty będziesz bardzo wielki człowiek, ja to widzę.

— Juźcić to nie podlega żadnej kwestyi mój tatu, że tu są największe niesprawiedliwości, boć kiedy mam w cenzurze tylko siedem małych, a reszta mierne stopnie, zdaje się że powinien dostać promocyę.

— Co to jest promocyę?! Tyś powinien dostać i wszystkie promocyę i wszystkie nagrodę i medal i podziękowanie.

W dwudziestym drugim roku Józio, chlubnie nieskończywszy drugiej klasy, wyszedł na wcale pięknego mężczyznę. Zaczął się ubierać podług ostatniej mody, zapuścił wasy i bakenbardy niepomiernej wielkości i obfitości, dostał od ojca zegarek, od matki dewizkę, od ciotki breloki, od wujaszka pierścionelek, od stryjenki spinę; słowem nakładł na siebie tyle złota, że trzem jubilerom wystarczyłoby na bardzo gustowne wystawy.

Pierwszą wyprawę zrobił do szwajcarskiej doliny, aby przyjrzyć się zbliska młodzieży i nabrać dobrych manierów; następnie puścił się do Loursa i zaczął próbować sił na billardzie, co mu dość przypadło do gustu. Zaczął siadywać w pier-

wszych rzędach krzeseł i patrzeć na amfiteatr przez bardzo wielką i bardzo bogatą lornetę, a nawet ośmielił się po jakim czasie przesyłać całusy do aktorskiej loży.

Znajomości szły mu jak z płatka, bo bardzo wiele wydawał pieniędzy, więc znalazł mentorów, zaufanych przyjaciół od bilardowego kija i zielonego stolika. Cóż więc dziwnego, że po parę latach takiego życia i takich znajomości wyszedł na dandego, a wkrótce na lwa awansował. Zresztą miał do tego niezaprzeczone prawo. Ubierał go Chabou, karmił Chevrieux, uczył konnej jazdy Schneeberger, a rozbijał bruk tylko w wagnerkach. Dla takiego człowieka potrzebny jest koniecznie tytuł i stanowisko, aby mu się otworzyły salony, aby się mógł ślizgać po ich woskowanych posadzkach, upajać się ich wonią, ich światłem.

Wiele też spędził bezsennych nocy, zanim doszedł do tego rezultatu, że taki tytuł i takie stanowisko dać mu może tylko, i jedynie tylko posiadłość ziemska.

Cóż łatwiejszego dla człowieka posiadającego kapitał jak zakupić jakie kilkanaście włók ziemi, z jakim takim dworem i inwentarzem? Bagatela!... Złoto jest to dźwignia, której napróżno szukał Archimedes, aby świat poruszyć; biedak ani się domyślał, że dźwignia ta spoczywa w szkatułach bogaczy.

Pomyśleć i wykonać, było to dziełem dni kilku. Ohszerne, dobrze nadniszczone dzierżawą, a jeszcze bardziej długami dobra, po usunięciu prawnych formalności, zakupiono z wolnej ręki, pod bardzo korzystnymi warunkami na imię pana Józefa. Ojciec z uwielbieniem patrzył na młodego obywatela, niewierząc własnym oczom, własnym uszom i własnemu sercu, że to syn jego, i zapominając, że wszakże to sam on zfacjendował to kupno i za własne swoje pieniądze; ale zawsze syn był w jego przekonaniu, a grose Purec i szejne morejne.

Na nieszczęście ani syn ani ojciec nie znali się na gospodarstwie rolnem. Dóbr i tak dobrze już zniszczonych nie umieli podnieść do lepszego stanu, a co gorsza, nie wiedzieli jak się wziąć nawet do tego. Ojciec byłby jeszcze jako tako z poradą obeznanych z tém żydków uradził środki zapobiega-

jące ruinie, ale syn zastrzegł sobie zupełną swobodę działania i niemieszanie się do zarządu jego posiadłości; rzeczy więc zostały in statu quo.

SZKIC IV.

Wielki bal w małym salonie.



Zawód księgarski jest bardzo zyskownym zawodem, daje sto za sto, albo częstokroć i 150 za 100. Księgarz gdyby chciał być tém, czem być rzeczywiście powinien, musiałby naprzód posiadać wysoką naukę, głęboki pogląd krytyczny na każdy w szczególności rodzaj pismienictwa, zdrowe zdanie i znajomość potrzeb umysłowych kraju, w którym zamieszkuje. Na nieszczęście księgarze po większej części, są to ludzie, którzy zawód ten ze wszech miar zaszczytny, pośredniczący pomiędzy autorem i publicznością, pomiędzy talentem, zdolnością i pracą, a kilkoma milionami ludzi łaknącemi umysłowej strawy, księgarze, powtarzam, obrali sobie zawód ten jako rzemiosło, jako sposób łatwego zarobkowania i stali się monopolistami tych nieszczęśliwych istot, które świat autorami nazywa (*). Nie jestem tu zupełnie stronnym, bo

(*) Jednakże wiele już w naszych czasach widzimy przykładów, o których wspomina autor. Dziś księgarze więcej dbają o postęp, światlejszy mają pogląd na rzeczy, a za lagrowemi ozłoconemi szymbami, któremi upiększają wystawy swych sklepów, napotykać się częstokroć dają oryginalne utwory, ojczystych pisarzy, których imiona przeszły daleko po za obręb kraju, których sława jest największą ozdobą księgarskiej firmy.

Przyp. Wydawcy.

nie jeszcze nie wydawałem i z pewnością wydawać nie będę; nie mam pretensyi do autorstwa i spodziewam się nie mieć nigdy stosunków z temi panami, którzy stoją za kontuarem, obróceniu tyłem do półek wypełnionych tysiącem dzieł, na które się składało tysiące głów siwych, łysych i porosłych i nieporosłych włosem. Jednym z takich monopolistów był pan Leon Stück, człowieczek mały, pękaty, dobrodusznój fizyonomii, który nie snił nawet nigdy o żadnym wynalazku, prócz zebrania porządnego kapitału, wygodnego życia i wychowania czeredy dzieci z poczwórnego małżeństwa zrodzonych.

Zresztą pan Leon Stück, żył dosyć wystawnie jak sam zwykł był mawiać, mówił dość poprawnie po francuzku i języka tego chętnie używał do żony i dzieci w przytomności osób obcych, a nawet dawał tygodniowe wieczorki, na które z usilnością wabił figury ze świata literackiego i artystycznego.

Wieczory te bywały w soboty. Ledwo więc mrok zapadł, gdy pierwsi goście wchodzili do salonu rześisto oświetlonego, który zajmował przestrzeń kilkudziesięciu stóp kwadratowych. Na tej miniaturowej przestrzeni pomieszczono fortepian, duże kanapy, cztery fotele, kilkanaście krzeseł, stolików, taburettów, konsolek bez miary, a na tém wszystkiem stały lampy, wazon, klosze, figurki i wszystko co tylko słuc się może, jakby naigrawając się ze zreczności zakłopotanych takim natłokiem gości. Zaprawdę trudno sobie wyobrazić większego nagromadzenia mebli w tak małym pokoju, który zresztą podobniejszy był do składu gratów niż do salonu.

Otóż goście zajęli miejsca, kobiety w buchastych sukniach pomieściły się zaledwo po dwie na kanapach, reszta zasiadła fotele, mężczyźni zwolna się schodzili, rażąc kontrastem w manierach, fizyonomiach i humorach. Z kobiet były dwie panny Kinderman, jedna panna Biberklot, trzy siostry Apfelding i panna Natalja Geszefter, a nadto ściągnięta nolens volens, przybyła z zagranicy włoszka primadonna. Korpusowi temu towarzyszył zastęp matek, ciotek i kuzynek w podeszłym już wieku będących.

Z młodzieży męskiej, rej wodził pan Józef Hase, dziedzic dóbr i obywatel, który nie odstępował ani na krok Natalki, i prezentując jej swój pierścień z kilku złożony brylantów, swoje spinę brylantową, swój zegarek brylantami kameryzowany i swój łańcuszek, w którym także przemysłny jubiller zdołał pomieścić parę brylantów, przy każdym okazie, wyłuszczał ceny co do kopiejki. Po tym magnacie, pierwsze miejsce trzymał pan Ludwik Frysrgold, kupeczyk z bławatnego sklepu, który także miał na sobie parę brylantów; później szli ci co mieli tylko po jednym brylancie, a nareszcie literaci i artyści, którzy nie mieli żadnego. Otóż był jeden literat w bardzo wytartym fraku i wątpliwiej czystości bieliźnie, którego par force wyciągnięto z ciasnej izdebki pod strychem, od cienkiej łożówki, przy której tworzył prace, dające mu prawo mieścić się między pierwszymi potentatami tynśli; był to klient naszego amfitrjona. Przy nim siedział ślepy skrzypek, któremu przyznawano wysoki talent muzyczny; we framudze okna stał suchotny tenor i ziewający malarz.

Po obniesieniu konwencyonalnej herbatki z homeopatyczną zakąską, jedna z amateerek uderzyła pierwsze akkordy wielkiej symfonii Bethowena; wszystkich uszy się podniosły, a niewidomy wirtuoz zwrócił twarz w tę stronę. Symfonia płynęła jakby darł za włosy, a w pewnych passażach szpik w kościach wysyszał. Tenor pocił się za dziesięciu i przyzywał wszystkich świętych z kalendarza na świadectwo takiej rozpusty amatorskich paley. Po półgodzinném morderstwie słuchu, skończyła się symfonia przy głośnych oklaskach, w których najszezerzy brał udział... kupeczyk bławatny.

Nastąpił potem popis wirtuozu, tenora, primadonny i całego grona amatorów, którzy w heroicznym chórze uwzięli się pogrzebać wszelki nawet ślad melodii.

Skończyła się nareszcie próba pocziwych uszów i falisty wale Webera zagrzmiał nieklamana ochotą i życiem. Pan Leon Stück, który swoją figurą spotrzebował siedm ósmych części salonu, uchwycił w pół swą połowicę i z najszańszym zamachem puścił się na deptanie niewinnych nóg zgromadzonych



W. BOUJARSKI.

gości. Ile ci męczennicy dobrego humoru gospodarza wynieśli nagniotków z owego wieczoru, żadna kronika wprawdzie nie podaje, ale ja sumiennie mogę zaręczyć, że tyle ich przybyło ilebyś palcy naliczył.

Każdy początek jest trudny, mówi nie bez racji przysłowie, bo po tej introdukeyi szły tańce nieprzerwanym ciągiem do późna w nocy, nie dla tego jednak, aby się bawiono ochotą, broń Boże! lecz dla prędszego doczekania się posilnej wieszery. Przypadki jednak po ludziach chodzą, mówi drugie przysłowie, które niestety znalazło tu zupełne zastosowanie, bo parę talerzy z leciuchno nakrajaną szynką i sztufadą, znikły wśród tych szczęśliwców, którzy się do nich pierwsi dostali, reszta biesiadowała oczami i słuchem. Pocieszano się drugim daniem, ale o dziwo! drugiego dania nie było, i

butelka piwa na dwadzieścia przeszło osób zakończyła sutą kolacją, która nie zaspokajając, podrażniła tylko żołądki. Dwie jednak figury wyszły z wieczoru zadowolnione, promieniejące, jedną była Nattalka, a drugą lew-dandy, pan Józef.

SZKIC V.

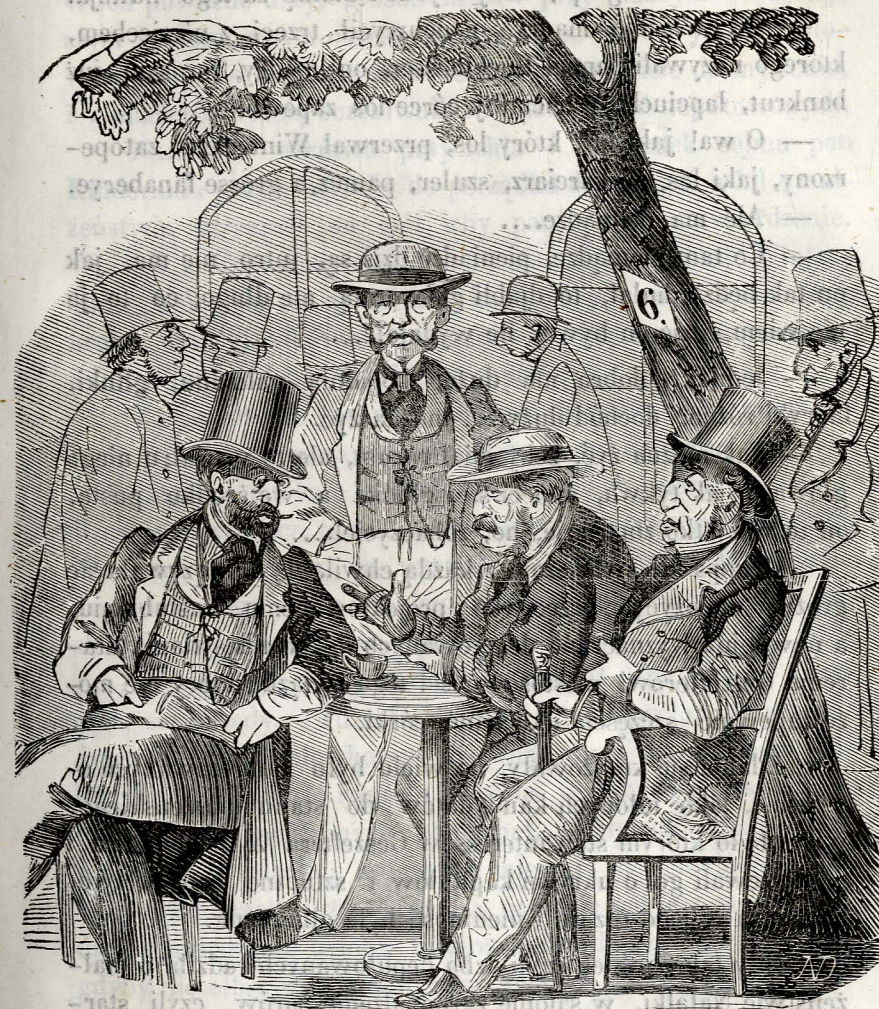
Izba parów i deputowanych.

W jednym rogu ogrodu Krasieńskich, dotykającym do Nalewek istnieje od lat bardzo dawnych cukiernia pod firmą Haberkanta, a choć już lat parę jak przeszła w inne ręce, firmę przecież zachowała i tak jest znaną w całej Warszawie. Przy tej cukierni jest niewielki ogródek, z altanami, z estradą dla orkiestry i innemi przyborami. Ogródek ten i cukiernię nazwać by można przysionkiem giełdy, tyle tam jest gwaru, ruchu i spekulacyi, tyle się tam zawiera umów, układów, kontraktów i spółek; jedném słowem dość jest powiedzieć, że to jest miejsce zgromadzenia i mniemanego wypoczynku, towarzystwa z Nalewek i ulic przyległych.

W chwili gdy cię wprowadzam kochany czytelniku do tego przybytku bożka Merkurego, tylko co wybiła piąta po południu; jest to zwyczajna godzina, zwyczajnych gości. Salon więc jest nabity, ogródek pełny i jabłko rzucone nie doleciałoby ziemi.

Dziwna rzecz jednak, że żadna spekulacja nie zajmuje dzisiaj tych ruchliwych umysłów, rozmowa jakkolwiek gwar- na i ożywiona po innym biegu przedmiocie. Jedno gronko siedząc pod rozłożystem drzewem, popija kawę, popala cygara

i tak szermuje językiem, tak wymachuje rękami, że dalibóg bierze mnie ochota podслуchać tych oratorów.



Znany z krasomówstwa i wysokości o sobie zarożumiałe- ści pan Winterfeld, krzywiąc się i spluwając wrzeszczy na całe gardło:

— A ja tobie mówię panie Fern, że to fałsz! to kłamstwo, ja temu nie wierzę!...

— Jakto fałsz, jakto kłamstwo, kiedy już o tém mówią całe Nalewki.

— On nie tak głupi, żeby wydał Natalkę za tego hultaja.

— On właśnie mądry, podchwycił trzeci z uśmiechem, którego nazywali panem Hackmesser, on mądry, bo sam już bankrut, łapciuch, a chciałby córce coś zapewnić.

— O wa! jaki los, który los, przerwał Winterfeld zatopiony, jaki los, on karciarz, szuler, panicz, a grosse fanaberye.

— Ale ma pieniądze....

— Co tam pieniądze, pieniądze dziś są, jutro nie ma, jak on tak będzie hulał, to djabli go wezmą nie długo; co to ja nie wiem gdzie on bywa, ile wydaje?!...

— Jednakże dobra ma duże, kopalnię galmanu, glinki, fabryki różne, dochód duży.... można żyć.

— Tak można żyć, żeby miał rozum, ale to warjat; u niego głowa to jak tykwa, świeci się, gładka a we środku pusta, on to wszystko zmarnuje, no, zobaczycie!...

Gruppa się zwiększała z każdą chwilą i zawiązywała się groźna opozycja przeciwko projektowanemu zaślubieniu, a nawet już wyznaczano delegowanych do przedstawiania staremu Geszefterowi niestosowności tego związku; który nie może zapewnić szczęścia ukochanej córki.

Zdania się krzyżowały, bo wielu było interesowanych osobście, jako młodych kandydatów do stanu małżeńskiego, wielu było którym stan interesów Geszeftera był tajemnicą i podejrzewali go o ukrycie kapitałów i sztuczne bankructwo, bo wiara w jego rozum i nieufność była olbrzymia.

Gdy tak ogródek czyli izba deputowanych radziła o małżeństwie Natalki, w salonie zgromadzenie parów, czyli starszych wiekiem, majątkiem i znaczeniem, tymże samym przedmiotem było zajęte. Panowie Apfelgriny, Fuchbardy, Fiszlekrebse i t. p. ogromnie pili wodę szklanka za szklanką, ogromnie palili ofiary dystrybucyi z czterogroszowych Lady Rosów, rozmyślając głęboko, czy małżeństwo od którego trzęsą się całe Nalewki jest możliwem lub nie.

Gwar z ogródka dolatał do nich przez otwarte okna, urywane wyrazy wslawionych mówców padały jak szmermele w ich poważne uszy, głośnie brawa przy każdym zręczniejszym krasomównym okresie sypały się aż szyby jęczały, słowem wszystko to razem zebrane dawało im wiele do myślenia, i z niecierpliwością oczekiwali rezultatu narad deputowanych.

Nareszcie, wrzawa przycichła i marszałek sejmku pan Kinderman przywołał izbę do porządku dziennego, a bil o małżeństwie przeszedł na stół izby parów pod zatwierdzenie. Wniosek zredagowany został przez sławnego mówcę Winterfelda, który się zaklął na swój kapelusz panama, iż nie ustąpi kroku, dopóki takowy nie zostanie przyjęty i usankcjonowany. Winterfeld był uosobioną opozycją.

Zgromadzenie parów z należytą powagą i zastanowieniem poleciło przedstawić bil pod swój sąd delikatny i całego toku interesu słuchało z wielkiem zajęciem i namaszczeniem. Rzecz zadziwiająca, że nikt nie przerwał uroczystego milczenia, ale dodać winienem, że wszystkie języki były sfatygowane dwugodzinnem szermowaniem, odpoczywały więc i ztąd pochodziła ta niespodziana cisza.

Po wyrecytowaniu wniosków ustąpił deputowany i zaczęły się narady. Tu cały jenuz, cały dowcip, cały spryt dyplomatyczno-nalewkowy wypłynął oliwą po nad fale dialektyki. Głębokość rozumu jaśniała w złotych okularach od Pika optyka, nacisk myśli wybuchał.... kłębami dymu tytoniowego, a zapal i uniesienie zalewały się cieniuchną kawką. Zmierzch już zapadał, a parowie nie jeszcze nie uradzili i posiedzenie byłoby niezawodnie odroczonem do jutra, gdyby nie olbrzymie kombinacje znanego publicysty, pana Herszka Sohn, krewnego, który zdecydował stanowczo trzy pewniki, że zamierzone małżeństwo, albo zaraz przyjdzie do skutku, albo później się spełni, albo też wcale nie dojdzie. Oparłszy się na tych trzech niezbitych pewnikach wniosek: o przyjęcie bilu przedstawionego przez izbę deputowanych z pewną modyfikacją, to jest: aby przedniej i ze zgromadzenia i najwymowniejsi starali się o tém panu Geszefterowi, nie nie

mówić. Na tém walne posiedzenie ukończone zostało i zerwanie rozeszło się do domów, aby użyć wczasu po tak trudzącej pracy.

SZKIC VI.

Zaproszeni nie przybyli, nieproszeni także, a to dlatego że nie byli proszeni.

Mimo nieprzychylnego wrażenia, jakie wieść o małżeństwie Natalki z panem Józefem wywarła na szlachetnych mieszkańców Nalewek, mimo to, że pan Geszefter detalicznie był uwiadomiony o wszystkich knowaniach i zamachach stanu, przygotowania do ślubu odbywały się zwyczajnym trybem i wyprawa kompletowała się z zadziwiającą szybkością. Jakkolwiek panna Natalja obdarzona przez naturę gustem bardzo wykwiutnym, znacznie go jeszcze wykształciła u ogniska mody, jakkolwiek pan Geszefter chorował na lorda i wcale ukształconego człowieka, nie mógł się oprzeć zastarzałej swego rodu passyji, aby jakąś bagatelkę, jakiś gracik bez smaku, wyrwany gdzieś na tandecie, nie wciśnąć w szereg wytwornych toaletowych przyborów swjej córki. A ta dla świętej spokojności i harmonii musiała te straszdyła przyjmować, z uśmiechem ukontentowania, z wyrazem radości na twarzy. Taką drogą dostał się jej starożytny jakis fotel grubo wyłaczany, z którego pozłota plastrami odłaziła, bo wykonywał ją izraelski robotnik za bardzo tanie pieniądze; taką drogą przyszła gotownia z marmurowym blatem, którego spekania izraelski sztukator niezgrabnie szklarskim kitem zalepił, takąż nareszcie drogą obdarzoną została

parą brylantowych koleczyków najbezpieczniejszej formy i odrobienia, które wyszły z artystycznej pracowni pierwszego jubilera na całej Franciszkańskiej ulicy.

Były to zresztą małe usterki, których się nie mógł ustrzedz parwenjusz majątkowy i które zdradzały się jak szydło w worku. Panna Natalja mało na to zwracała uwagi, obiecywała sobie wszystko powetować po ślubie, a nie idąc z małżeństwem, ale po prostu dla tego tylko aby zostać mężatką, obywatelką i żoną człowieka z stanowiskiem w świecie, a potem bawić się do upadłego, z spokojnem sercem, z swobodną myślą, układała plany przyszłego życia, które się jej uśmiechało powabem rautów, pikników, podróży do wód i pierwszych stolicy Europy, gdzieby błyszczeć mogła urodą, bogactwem i zdobytymi talentami. Cóż dziwnego, że tak myślała młoda ośmnastoletnia panienka? czyż wiele dziś znajdziemy takich, które inaczej myślą, czyż wiele znajdziemy dziewczec, które z sercem płonącym tym najświętszym ogniem pierwszej, niebiańskiej miłości, z rumieńcem na liljowem licu, z łzą rozrzwienia w oku, przystępują do związku, który spełnia ich kwieciste, ich złote pierwszych rozbudzeń nadzieje? — Złoto, interes, te dwa bożyszcza cywilizowanego świata zabiły swem zaraźliwem technieniem najgorętsze serca porywy, wszystko co wzniosłe, co szlachetne, co wielkie, musi się stopić w bryłę złota lub zmienić w bilet bankowy, pierwsza, aby wytrzymać próbę wincerza, drugi aby wytrzymać wprawny wzrok wekslarza. W takiej dopiero formie i postaci może śmiało wystąpić na widownię świata i z czcią oglądać je będą i zegną przed niem kolano, a żaden uśmiech szyderstwa, żadne słówko dwuznacznie nie będzie śmiało zaczepić wypróbowanego metalu.

Jeżeli szczęście spoczywa w zbytkach i bogactwie, małżeństwa dzisiejsze powinny być bardzo szczęśliwe, więc i małżeństwo Natalki pod dobrą poczęło się wróżbą, bo drogie naszyjniki, kolce i bransolety zalegają konsole w jej buduarze; lecz czy takim było naprawdę, później zobaczymy.

Wobszernych salonach znanéj restauracyi przy ulicy Długiej przysposabiano, ustawiano, tapetowano, na świetny obchód weselny córki bankierskiej. Girlandy kwiatów, wazon z drzew i krzewów egzotycznych, drogie makaty i axamity, wszystko to użyła przemyślna tapicerska ręka, do utworzenia olśniewającej całości. Nie zaniedbano żadnej drobnostki, żadnej bagatelki, któraby się mogła przyczynić do powiększenia przepychu, do wykazania na jaw tej prawdy, że złoto jest magiczną laską starożytnych czarodziei, która cuda dzisiaj dokazywać umie.

W restauracyjnój kuchni ruch nie mniejszy i dwadzieścia rąk uzbrojonych w noże pracuje zawzięcie pod kierunkiem czterech głów ukoronowanych białą szlafmycą. Setki rądeli i rądelków zamyka w sobie najdelikatniejsze sekreta gastronomii, które mają z lubością spocząć w żołądkach biesiadników. To kolacya zamówiona na dwieście osób !!!...

Nastała chwila uroczysta. Przez dziedziniec oświetlony tysiącem kagańcy i lampionów, suną pojazdy jeden za drugim, długim szeregiem, razem dziesięć. I wyskakują z nich lekkie damy, w nastrzępionych sukniach jak motylki, wbiegają po woskowanych wschodach, a w ogromnym salonie przyjmują ich dzielne tony poloneza, którego z całym życiem i precyzją wykonywa doborowa orkiestra.

Mała liczba gości, mała nad spodziewanie, ginie w rozległym salonie jak kupka dromaderów w pustyni Saharze; w oczekiwaniu jednak przybycia reszty, rozpoczynają tańce, i bardzo im wygodnie, bo przestrono, a więc zapaleni tancerze korzystają z chwili, by ucieszyć dowoli wyposzczone nogi użyciem tej szalonej promenady, zanim tłok i nacisk przeszkodzi ich Vestrisowskim popisom. Mijają przecież godziny, a z zaproszonych ledwo pięćdziesiąt osób przybyło, licząc w to familję i krewnych. Skwasły się humory, wykrzywiły usta i duch bezwładności, zniechęcenia, ogarnął całe zebranie. Nie pomogły dziarskie mazury, powiewne polki i namiętne walce, nie pomogły nawet najmodniejsze lansiery, zabawa się rwała jak zbutwiała nitka i choć ją sztukował jak umiał stary

Geszefer, nie było życia, nie było ducha, i sam najmocniej żałował, że nie zaprosił tych których nie zaprosił.

Uderzyła godzina dwunasta; balujące grono z całą elegancją, udało się w parach do stołowej sali. Tu nowy przepych oczu uderzył. Kwiaty, cukry, kandelabry, całe drzewka z owocem dojrzałym, wypełniały środek stołu i rzecz można wieńczyły go, światłem, wonią, i widokiem. Suta bateria butelek czekała tylko sygnału, a cała ich potężna rezerwa z napisem: *Röderer* spoczywała w wanienkach napelnionych lodem, przy kredensie.

Nie poradził przecież ani węgryz, ani szampan, ani mader; ołowiany smutek zawisł nad biesiadnikami i cała uczta podobniejszą była do stypy pogrzebowej niż do weselnej kolacyi.

Puknęło kilkanaście korków, zabrzmiało głucho kilkakrotne *viwat!*.... runęły krzeselka i wstano od stołu. Niedługo potem też same pojazdy wracały do domu szybkim, wyciągniętym kłusem, kołyszac do snu strudzone główki, bijące serduszka, a jeden z obecnych literatów wychodząc z pustej prawie już sali szepnął na ucho przyjacielowi:

— Wierz co Edwardzie, Geszefer podrzył głowę; gdyby w miejsce niegrzecznych gości zaprosił grzecznych wierzyteli miałby najliczniejsze wesele, ze wszystkich znanych wesel w Warszawie.

SZKIC VII.

Pożycie młodej pary, które nie jest modne, a przecież bardzo niezdolne.

W dobrach Nowinki, w bardzo porządnym dworze, zamieszkała po ślubie państwo Józefowie, aby słodkie chwile słodkiego miesiąca przepędzić mogli w słodkiej samotności sielskiego ustronia. Nie wiem jak smakowały te chwile młodemu małżonkowi i czy bardzo był z nich zadowolony, ale pani małżonka dziwnie chodziła nieukontentowana i gniewna; ciemne jej brwi zeszły się prawie z sobą, a z oczu cięła pioruny.

Pani Natalja miała w części rację. Bo jakkolwiek nie szukała w małżeństwie zapалу uczuć i abeillardowskiej miłości, lecz jak prawdziwa bankierska córka robiła interes, oddając swą rękę i wolność pierwszemu lepszemu młodzianowi oprawnemu w banknoty i listy zastawne, to przecież w zamian za tyle poświęcenia pragnęła pewnych prerogatyw, pewnych ustępień należnych młodej i przystojnej kobiecie. Tymczasem w samych już początkach pożycia czekały ją gorzkie zawody; a kobieta, trzeba wiedzieć, wiele wybaczy, ale nigdy zawiedzionych nadziei.

Otóż pani Natalja miała przyobiecane, że zaraz po ślubie, a przynajmniej w bardzo krótkim czasie, odbędzie z swym małżonkiem podróż do Wenecyi, Rzymu i Neapolu, że jakiś czas zamieszka w Palermo, w pięknym położeniu, w jakiejś gustownej willi nad morzem, że z powrotem wstąpi do Paryża i Londynu. Słowem marzyła o wszystkiem, o czem tylko ukształcona, chciwa wiedzy i użycia, młoda kobieta marzyć może. Jakżeż jej się dziwnem i nudnem wydać musiało to

wiejskie smutne zacisze, w monotonnem sam na sam z człowiekiem bez żadnej nauki, bez żadnego wykształcenia, bez znajomości pierwszych potrzeb umysłu, człowiekiem grubych obyczajów i niezdolnych nałogów? Jakżeż jej wolno biegły te ołowiane chwile samotności, bez żadnego wylania na zewnątrz, bez żadnej komunikacji i towarzystwa, bez wieści o całym świecie, którego biciem jej serce biło, którego życiem ona żyła. Najczęściej, po śniadaniu, młody małżonek siadał do bryczki i objeżdżał gospodarstwo; pani tymczasem zajmowała się toaletą i przechadzką po nędznym kwietniku pod oknami zasadzonym.

Nadeszło południe, pan wracał z pola spocony, zakurzony, zgniewany i głodny, wołał więc głosem trąby archanioła o rychłe podanie objadu. Przy stole bardzo mało mówił, ale jadł za dziesięciu i często ten pakunek zalewał węgrzynem. Po objedzie czarna kawa; pan wyciąga się na kozecie jak długi, zapala piankową fajkę i bucha kłębami dymu jak lokomotywa; pani bierze książkę, chrupie karmelki albo czekoladki i wychodzi do swego buduaru. Po wypaleniu fajki pan śpi snem błogosławionych nieprzerwanie aż do zachodu słońca. Następuje narada z ekonomem, karbowym, gorzelanym, pisarzem prowentowym, hałas, gwar, sprzeczka, wymysły, uderzenia, plagi wymierzane chłopom kradnącym z lasu drzewo, słowem istna wieża Babel, i czynność ta trwa do godziny dziesiątej. O dziesiątej wreszcie podają samowar i jegomość zasapany, zaczerwieniony i gniewny, wlewa w siebie milcząco kilka szklanek herbaty z należytą dozą araku, bo utrzymuje, że to mu do snu pomaga, i kończy dzień spoczynkiem w wygodnym łóżku, na wygodnym materacu. Taki to człowiek dostał się kobiecie, która nie pragnąc uczucia, pragnęła rozumu, pragnęła napotkać umysł wyższy, wykształcony, umiejący nadać życiu jakąś harmonię i powab, oparty na wzajemnym szacunku i cenienu swych przymiotów. Strona ta jednak, jaką przedstawiłem w dopiero skreślonym obrazku dnia jednego, jest jeszcze dodatnią w porównaniu z tą, którą teraz skreślić zamierzam.

Pan Józef obok zupełnego braku elementarnego nawet, że tak rzekę, wykształcenia, posiadał jeszcze niektóre wady nabyte w pierwszych latach swych wypraw dandysich. Wszedłszy w towarzystwa młodych ludzi, którzy za zasadę życia wzięli użycie, używał wraz z nimi wszystkich rozrywek, jakie tylko płodny umysł bogatego próżniaka wymyślić jest zdolny. Były więc i kolacyjki w zamiejskich restauracjach w towarzystwie wesołych cór Terpsychory, były pikniki, opieki nad płcią nadobną, były gry hazardowe i inne różne facecye, które urokiem swoim, jak zwodne syreny, pociągają w bezdenną przepaść młodych marynarzy na morzu miejskiego żywota. Pan Józef jakoś szczęśliwie uniknął ruiny, czy to zaś winien wrodzonemu sprytowi, czy też po prostu ślepego szczęściu, dość, że wyszedł z tego ognia zdrów i cały, a choć nadszarpnął niezgorzej szacunek swych wiejskich posiadłości i hipoteka weale nie wesoły miała pozór, dość, że nie umarł i nie zbankrutował, ale owszem ożenił się z młodą, przystojną i na swoje nieszczęście starannie wychowaną osobą. Marjaż ten, chociaż dość mu z początku przyszedł do gustu, wprędce stanął mu ością w gardle, jak sam zwykł był mawiać, bo uważał, iż żona za nic go nie ma, a nawet widoczny wstret mu okazuje. Przypominał więc sobie dawne znajomości i czekał tylko z utęsknieniem okazyi, aby mógł do nich powrócić. Że zaś kto chce psa uderzyć z łatwością kij znajdzie, i pan Józef też wprędce wyinwenjował bardzo ważny powód zmuszający go na dni kilka odwiedzić Warszawę.

Dni kilka minęły jak błyskawica i nie obejrzał się nawet, że czas już wracać do domu. Wrócił też, ale w najgorszym humorze. Bił ludzi, lżył każdego kto mu się nawinał, z wszystkiego był niekontent i z żoną nawet widocznie szukał zaczepki. To się działo we trzy miesiące po ślubie. Jak dalszy czas upływał, łatwo sobie przedstawić, jeśli się zważy, że pan Józef na sześć miesięcy, pięć i pół przesiedział w Warszawie, a jeśli wrócił na wieś, to chyba na dwa lub trzy dni najwięcej, aby zabrać co się da pieniędzy, a nawet koszto-

wności i znów ruszyć do Warszawy, gdzie go czekały płatne piękności i płatni przyjaciele.

Biedna Natalka drogo okupiła chęć błyszczenia w świecie jako mężatka; spodziewała się znaleźć w Józefie człowieka zakochanego, a tém samem powolnego wszystkim jej zachcianom i rozkazom, tymczasem natrafiła na indywiduum bez charakteru, bez isierki energii i woli, ale którem powodowały nałogi zdawna nabyte, a górowały namiętności i rozpusta. W obec żony był kępowany pewną przyzwoitością i tym tonem jaki sobie umie nadać każda rozsądna kobieta, w obec niej czuł przymus i niesmak, uciekał więc do grona godnych siebie towarzyszy i tam rozpasany na wszelkie zdróżności tracił ostatni grosz, jaki się dał zkać wydobyć, czego dał dzielny dowód na posagu żony i biżuteriach znikłych w jego rękach bezpowrotnie. Zły bieg interessów wprowadził go w szalony humor, stał się w domu zgryźliwym, gwałtownym, zapalał się o lada bagatele i długi czas wywierając swój gniew różnie i na różnych, doszedł w końcu do tego, że go skrupił na bielutkich plecach swęj żony.

Tego już było zanadto dla kobiety takiej jak Natalka, była to obelga, na którą się oburzyła jej dusza i miejsce dotychczasowej obojętności zajęła nienawiść głęboka, bolesna. Nie czekając ani chwili dłużej, zabrawszy wszystkie swe rzeczy i resztę precyozów, siadła do pojazdu i przybyła w dom rodzicielski rozpocząć kroki rozwodowe.

SZKIC VIII.

Olbrzymie talenta, którym nic nie brakuje prócz talentu.

 Prowadziłem was kochani czytelnicy po różnych ulicach po różnych apartamentach, chcecie więc raz pofatygować się zemną do mieszkania renomowanego artysty muzyki. Nie myślcie, że was ciągnąć będę na jakie czwarte piętro lub wyż, broń Boże! artysta mój mieszka na drugim piętrze, w bardzo porządnym domu, bo wam przecież wspomniałem, że jest renomowanym.

Gdybym miał pisać tytuł tego szkicu, stosownie do ogólnego głosu całych Nalewek, musiałbym powiedzieć: „Młodzi geniusze“ lecz ja jestem człowiek tak bojaźliwy, aby mnie nie wzięto za jakiegoś partyzanta tej lub owej strony, żem wolał tych wielkich ludzi utytułować poprostu *Olbrzymiemi talentami*, bo takimi są rzeczywiście w własnym swym przekonaniu. Dziś u nas wszystko się rodzi olbrzymie: mamy olbrzymią pietruszkę, olbrzymie buraki, olbrzymią kukurydzę, olbrzymią kapustę, olbrzymich skrzypków, olbrzymich fortepianistów i olbrzymich wreszcie śpiewaków.

Gdyby przypadkiem natura zechciała dawać odpowiedni olbrzymim talentom wzrost olbrzymi, biedna ziemia nasza nie podołałaby temu ciężarowi i runąć by musiała koniecznie w nieskończoność, bo na 1000 pospolitych ludzi najmniej trzy czwarte mamy olbrzymów. Szczęściem jest przecież, że te wszystkie olbrzymie zdolności w tak niepozornych mieszczą się skorupach, że żaden z starożytnych mędrców, nie mógłby geniusza poznać od razu; prawda i to przecież, że i potem by go nie poznał.

Jak różny jednak jest sposób zapatrywania się każdego z osobna człowieka na rzecz jedną i też samą, tak różne są objawy talentu na zewnątrz u rozmaitych utalentowanych indywiduów. I tak jeden zawarł cały symbol swego talentu w pięknie związanym krawacie, inny w czepurzasto nastroszonej grzywie, którąby zapuścił po pięty nawet, gdyby mu urosć tylko chciała, inny nareszcie w wąsach i brodzie, a jeszcze inny w obcisłym i doskwierającym bucie. Tak panowie, nie śmieJCie się, dzisiaj głupi but nawet, może być cechą talentu i to olbrzymiego talentu!!... Dziś wszystkiemu wierzyć jestem gotów, bo dziś dzieją się rzeczy, o jakich się nigdy żadnym filozofom nie śniło.

Otóż w małym saloniku na drugim piętrze, zasiadł przy fortepianie jeden olbrzymi talent, niejaki pan Klejnmann. Drugi olbrzymi talent wirtuoz pan Smithner nakreca po raz trzeci kwintę na skrzypce, która mu już dwa razy pękła. Trzeci nareszcie olbrzymi talent, tenor, pan Schwartz, wspina się na palce, aby wyciągnąć swą małą figurkę i lepić się wydać przy swych kompanionach.

Głównem ich w tej chwili zajęciem jest świeżo przez pana Klejnmanna skomponowana opera pod tytułem *Teper i Kopernik czyli Piekarski na mękach*. Treść tej opery do której libretto napisał były utalentowany literat, a obecnie mekler bankowy, trudną jest do opisanie w krótkości; wiem tylko tyle, że przez długie akta zabijają się wszyscy w najniegodziwszy sposób, w czwartym grzebią ich z wielką okazałością, a w piątym, księżyc blade, ponury, wyjrzawszy z zaobloku na opustoszałą scenę zdecydował się dobroduszenie uprzedzić publiczność, że tu kres jej cierpliwości, bo żaden z pocho- wanych nie wstanie, a żywej duszy już nie ma w całym teatrze. Tu przy odgłosie trąb i kotłów pan księżyc na zakończenie odśpiewuje sobie figlarny kuplet chowając się za obłoki i opera się kończy. Na całym tym arcydziele spoczywa głębokie piętno traiczości i wysokiej melancholii, którą nazwałbym czarną, gdybym się nie obawiał, że mnie autor ukamieniuje. Opera ta ma dać cały byt, całą przyszłość panu

Klejnmanowi, bo człowiek ten prócz olbrzymiego talentu, nie posiada, a dziewczina w której ręce złożył swe artystyczne serce jest dziedziczką piętnastu tysięcy talarów. Słuszna więc aby naciskiem swego talentu przeważył szale szczęścia na swoją stronę, a gdy raz uchwyci w ręce dobry kapitalik, rzuci do licha talenta, zdolności i zacznie na giełdzie robić interesa.

Pan Smithner, ma niezaprzeczone zdolności smyczkowe i jest wcale porządnym człowiekiem i to tylko go szpeci, że jest wedle wyroczni Nalewek *olbrzymim talentem*. Zresztą jak przystało na taki talent, bywa u wszystkich znakomości muzykalnych, chodzi z niemi, sypią z niemi i chce bądź co bądź dochrapać się za pomocą sławy, jakiego milego grosza.

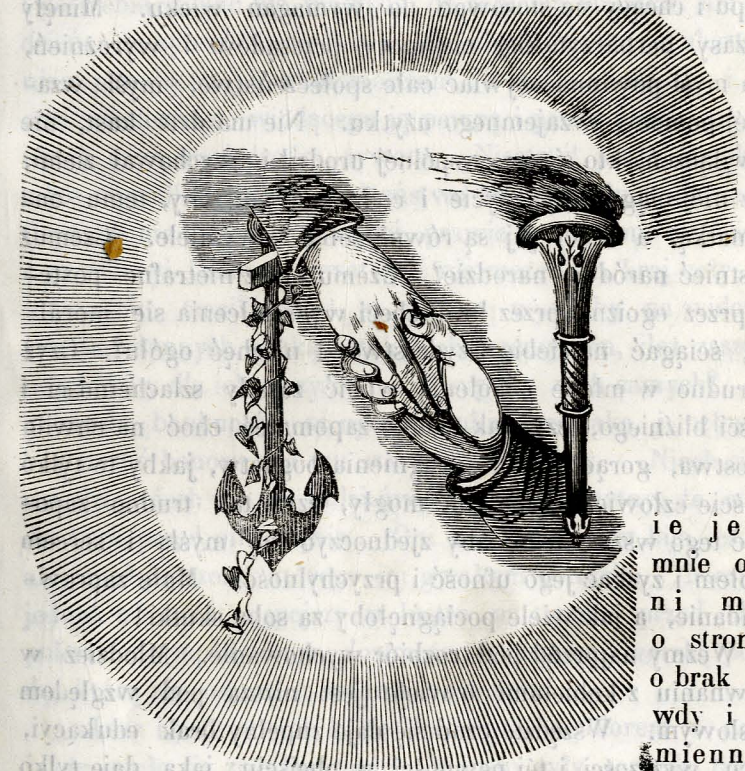
Odrębną zupełnie figurą jest młody, a. przecież także *olbrzymi talent* p. Filistyn Schwartz, człowiek wysokości czterech stóp i sześciu cali, arcy podobny do flakonika od kolaniskiej wody. Człowiek ten wymarzył sobie zawód śpiewaka i do tego tenora, oparłszy się na tych zasadach: Sławni Rubini, był krawczykiem, a dziś jest magnatem. Ja wprawdzie nie byłem krawczykiem, nie jestem Rubinim, a tém mniej magnatem, ale mam głos dosyć czysty, i dużo dobrych chęci nabycia majątku. I paścił się na koncertowe risico, lecz publiczność ani dowidzieć, ani dosłyszeć go nie mogła. Po takim fiasco zdawało się, że go na zawsze odpadnie chęć do wystąpień, ale zaciętości jego nie ma końca; chęć zysku, i dużego zysku przemogła w nim wstyd i upokorzenia przed publicznością, bo przygotowuje się do jeszcze jednego wystąpienia, gdzie ma śpiewać arją księżycą. Być może, że na niebie lepiej mu się uda niż na ziemi, czém by wielce ucieszył swych protektorów i wielbicieli.

POSTĘP I EMANCYPACJA

POJĘTA Z WŁAŚCIWEGO STANOWISKA.

SZKIC IX.

Postęp i emancypacya pojęta z właściwego stanowiska.



ie jeden
mnie obwi-
ni może
o stronność
o brak pra-
wdy i su-
mienności

w skreślonych przezemnie szkicach, nie jeden mi zarzuci, żem starał się chwytać tylko stronę ujemną i dostrzegając wady, przemilczał cnoty i przymioty, żem wreszcie piórem w żółci maczanem szykanował wszystko bez wyjątku i z silném uprzedzeniem przeciw wyznawcom religji Mojżeszowej osądził cały ich byt i cały ich ustrój towarzyski. Niech mnie Bóg broni od takiego występuku; czyn taki byłby niegodnym człowieka żyjącego w drugiej połowie XIX wieku i zakrawałby bardzo na współczesnika świętęj inkwizycyi.

Niech każdy co czytać te drobnostki będzie, zechce wniknąć w moje dążności, niech ciepłym sercem zdrową myślą zastanowi się, że człowiek pragnący dotknąć jadowitym dowcipem usterki cudze, nie rzuca od czasu do czasu zdań oderwanych wprowadzie, ale będących wskazówką drogi prawej, na którą z manowców zejść łatwo może każdy ochotny do postępu i chcący się stosować do wymagań wieku. Minęły już czasy barbarzyńskiej ciemnoty, przesądów i wyróżnień, jedna myśl powinna ożywiać całe społeczeństwo, myśl wzajemnej pomocy, wzajemnego użytku. Nie ma dziś kast, nie ma wyłączeń, kto się na wspólnej urodził i wychował ziemi, kto z niej ciągnie byt, życie i codzienne potrzeby, temu ona jest matką, a dzieci jej są równi sobie obywatele. Czemuż ma istnieć naród w narodzie? Czemu przez nietrafne postęпки, przez egoizm, przez brak chęci wykształcenia się moralnego, ściągają na siebie szyderstwo i niechęć ogółu? Czyż tak trudno w młode pokolenie wpoić zasady szlachetności i miłości bliźniego, czyż tak trudno zapomnieć choć na chwilę sobkostwa, gorączkowego pragnienia bogactw, jakby te tylko szczęście człowieka zapewnić mogły, czyż tak trudno zapomnieć tego wszystkiego, aby zjednoczyć się myślą i sercem z ogółem i zyskać jego ufność i przychyłność. Małe zaprawdę zadanie, a jak wiele pociągnęłoby za sobą skutki!

Weźmy najprzód pod rozbiór wychowanie. Młodzież w porównaniu z kobietami o wiele jest niższa pod względem umysłowym. Wszędzie czuć się daje zupełny brak edukacyi, poloru, wyższości i tej pewności w obejściu, jaką daje tylko gruntowna nauka i znajomość świata.

Każda majetniejsza dziewczyna, uczy się usilnie, z zapalem, przyjmuje nauki bystro, i chwalebnie kończy edukacyą, posiadając talenta, języki, znając historyczną przeszłość narodów, ich zwyczaje i literaturę. Uposażona tak osoba, wychodzi za mąż za młodzieńca, który albo wcale żadnego nie odebrał wychowania, albo przyjąwszy je licho, a najczęściej nie dokończywszy, opuszcza książkę i rzuca się do spekulacyi goniąc za groszem, od pierwszego prawie dni swych zarania do

najpóźniejszego wieku. Żądza złota, zabija w nim wszystkie uczucia, zapomina o wszystkim dla miłego grosza, drwi z literatury, drwi z sztuk pięknych i jedynym pismem, na którem spoczną jego oczy, jest gazeta, w której przerzuci kurs papierów publicznych i monety. Otóż z takim człowiekiem wiąże swój los kobieta, którą nauka postawiła w możności i potrzebie szukać nie maszynki do robienia majątku, ale młodzieńca ze sposobem myślenia jej odpowiednim, z ukształceniem panującym jej wiadomościom, a duszą wzniosłą i sercem szlachetnym, wiodącego ją pewną i prostą koleją po cierńnię częstokroć drodze żywota. Niestety! jakże rzadkie są takie wypadki, gdzieby małżeństwo było zupełnie dobrane! Czyż ich nie możemy policzyć prawie w naszym mieście, bo o prowincyi i mowy nawet być nie może. A kraj cały małoż na tém traci?! Iluż to mężów wyszłoby na widownię świata, słynnych nauką, sztuką lub przemysłem, ileż zaszczytu przybyłoby dla ich ojczyzny, a sławy dla nich samych? Czyż gromada banknotów w ręku nieuka, prostaka i człowieka bez uczuć honoru, da mu szacunek publiczny. Niech się nie uwodzi, niech się nie łudzi ów Krezus nowożytny, że stu ludzi kark przed nim zegn timer. Oni nie przed nim biją czołem, ale przed groszem, którego im gwałtem potrzeba. Niech się jednak odwróci, i spojrzy w lustro na twarz przed chwilą pokornych suplikantów, dostrzeże szyderstwo i gorzką pogardę, którą się mszczą za minutę uniżoności.

Lecz i pośród tych kobiet świecących polorem i nauką, jakże mało się znajdzie takich, któreby żyły sercem, tak jak kobiety żyć powinny! Ileż jest takich (a liczba ich przeważa), których jednym celem i marzeniem jest chęć błyszczenia wytworną toaletą i gromadą kosztowności zawieszonych na szyi rękę i w uszach, u których na piersi, gdzie płonąć winno dziewicze uczucie miłości bez granic, goreje złudnym ogniem kosztowny brylant w złotą oprawny broszę?

Kilka tych szkiców ciemnych, i smutnych, które rzuciliśmy, pochwyłując rzecz z natury, przekonują dowodnie, jak fałszywie bracia nasi mojęszowego wyznania pojmowali po-

stęp i emancypacją, te dwa słowa tyle myśli, tyle przyszłości mieszczące w sobie. Wiele lat ciągnęła było ich tendencją, za pośrednictwem blasku, przepychu, bogactwa zająć miejsce właściwe sobie w swój rodzinnej ziemi. Lecz całe wieki pracy, całe wieki zaparcia się zupełnego dla nędznego kruszcu, nie zdołały ich postawić na tym szczeblu godności i braterstwa, jaki im dało połączenie dłoni z dłonią wszystkich synów jednej ojczyzny!

Czemuż to dawniej nie nastąpiło!... czemu ta nienawiść nieuzasadniona, niewłaściwa, drażniła serca, odpychała dusze jednym płonące ogniem miłości kraju. Wielka zaprawdę była wina z naszej strony, do której bijąc się w piersi przyznaję się z pokorą, lecz czy nie było winy i z przeciwnej strony? zostawiam to uznaniu naszej braci, niech oni sami bezstronnie to ocenia. Dziś przecież wybiła godzina zgody i pojednania, a chwila ta niech zatrze smutne przeszłości wspomnienia. Szeroka przyszłość przed nami otwarta, przyszłość świetna, wspaniała, obyśmy tylko wytrwali na raz obranej drodze.

Czegóż nam potrzeba by dopiąć tego celu? Jedność pojęć i wyobrażeń do niego nas doprowadzi, aby zaś to nastąpiło wypada postarać się tylko o równe wszystkich klas ukształcenie, bo oświata jest wszechmocną dźwignią i spójnią narodów, bo przez nią dochodzi się do wiekowych zadań zakreślonych ręką Przedwiecznego. Bogactwo materialne obudza zazdrość i nienawiść, bogactwo umysłu szacunek i uwielbienie. Wpierw więc niż o majątku, winni myśleć rodzice o ukształceniu umysłu i serca swych dzieci, a ta część wychowania była w zupełnym zaniedbaniu u pewnych kast ludności naszej.

Są zaprawdę wśród współbraci naszych możeszowego wyznania, ludzie celujący nauką, wzniosłością uczuć, postępową tendencją, i to są luminarze narodu, ale jakżeż niedostateczna jest ich liczba! Handel zabijał wszystkie umysłowe władze, zabijał uczucie, które często dla interesu poświęcano, a choć sumienność bankierska jest cnotą w handlowym

znaczeniu, to przecież obok tej cnoty trzeba coś ofiarować i dla swych braci, trochę serca, trochę uczucia i zapału dla wspólnej sprawy. Na tém przemysł nie straci, a szacunek ogólny wynagrodzi pocziwe myśli i zamiary. Szkice przemennie rzucone są ciemną stroną medaljonu, rzuciłem je dla tego tylko, aby ci którzy się do winy poczuwają, weszli na drogę postępu po której kraj cały kroczy. Społeczność zapomni win przeszłości, dla obecnych cnot obywatelskich, które oby się krzewiły bujnie na pocziwnej glebie naszej w jak najdłuższe lata!!!

OBRAZKI Z ŻYCIA

LITERSKIEGO MAGAZYN

OBRAZEK Z ŻYCIA

LITEWSKIEGO MAGNATA.

OBRAZEK Z ŻYCIA

LITEWSKIEGO MAGNATA.

(Poświęcony Wmu L. Rappoport.)

I.

Było to we wsi P. w gubernii G. położonej, a do liczących włości litewskiego magnata należącój. A pan to nie-lada.... mąż zasłużony, pułkownik. Charakteru rzadkiego, który w tysiącznych swoich odcieniach, tysiące typów szlachetnych na jaw wydaje; serca dobrego, bardzo dobrego, czule ono, tkliwe, gdyby niewieście, hojności książęcój. Wspierać krocie biednych, to u niego tak szybko szło, jak „va banque,“ u szczęśliwego ponitera. Powierzehowność jego dziwnie zgadzała się z charakterem. Mina dzielna, postawa wzniosła, rysy twarzy przemawiające otwartością. Słowem, natura snadź wiedziała dla kogo nie skąpić swoich darów.

Imię pułkownika słynęło w całej okolicy, to też wszystko co żyło, wiedziało, że to pan z panów, dziedzic miasta, bogaty i gościnny w całym znaczeniu tego słowa; małoż więc pohudek do poważania?

Sąsiadem pułkownika był szlachcic W. wielkiój niegdys fortuny, ale zrujnowany obecnie zbytkami, i marnotrawstwem bez granic.

Styrawszy wiek swój na hulance, na pastwę niedoli, bez miłosierdzia rzucił nadobną małżonkę swoją Hannę i pię-

cioletniego Tadzia, jedyne go potomka i jedyne szczęście młodej matki; roniąc jej już łzy nad jego kolebką. Nie tajno jej bowiem było, iż lada chwili straszny wróg zakłóci jej spokój domowy, zniszczy macierzyńskie nadzieje.... i na wieki zatrzyma jej życie. Tym wrogiem.... to nędza! A najdotkliwszy cios miał wypaść z okrutnych rąk.... potworu bez uczuć i sumienia.... z rąk jej własnego męża!

Teodor W. zepsuty przewrotnym wychowaniem, miał już w poranku życia przez zgubne prowadzenie, rozwinięte zarody złego, i zbyt zawcześnie rozbudzone namiętności. Uciechę uważał on za jedyny cel życia, a zabawy i rozkosz za ich nieodłączną towarzyszkę. Bożyszczem jego była śmieszna często duma i zarozumiałość, a czereda otaczających go darmozjadów, poklaskiwała wybrykom rozrzutnego szlachcica, bijąc czołem jego wadom. Lata mijały, niecne postępowanie syna przyspieszyło grób rodzicom, i na to tylko przywdział żałobę, że mu w niej było do twarzy, a na to objął milionową spuściznę, aby uraczyć kolegów, wypraktykować wszystkie gry i pokrzepiać worki synów Izraela.

To też w chwili zaczęcia naszego opowiadania, pędził już ostatkami mienia, a ostatkami u milionera nazywała się wieś z 60000 gotówki, kareta, para siwoszów czystej angielskiej rasy, dwór liczny i sług coniemiar.

II.

Pułkownik znając familię żony W. odwiedził ją pewnego razu i zastał w głębokim zamyśleniu, a łza co wolno toczyła się po pobladłych licach, zdradzała chwilę bolesnego rozpamiętywania.

Tadzio, prześliczna dziecina, wskoczył na matki kolana, która wzięwszy go w swe objęcia, z czułością przytuliła do macierzyńskiego łona.

Pułkownik stał przez chwilę wzruszony tym widokiem, w tém młoda matka westchnęła, wzniosła spojrzenie w górę i jednocześnie ujrzała gościa.

Zsadziła Tadzia, powstała zmieszana na przyjęcie pułkownika i o ile możności starając się rozjaśnić czoło, zaprosiła uprzejmie do bawialnego pokoju.

Długo toczyła się zajmująca rozmowa, pułkownik utrzymywał ją z wrodzonym sobie dowcipem, ale w końcu przedmiotem rozmowy został mąż nieobecny.

Twarz młodej małżonki chwilowo zarumieniona, pobladła, rozmowa stała się posępną, nieszczęśliwa żona tała boleść zranionej duszy, za każdym wyrazem niemiłej dla szlachetnej żony rozmowy, walczyła z uczuciem żalu, co łzami objawiać się chciało, znękana cierpieniem potrzebowała ulgi, w poufnym się zwierzeniu znaleźć ją obiecywała sobie....

Powoli pułkownik dowiedział się jakie nieszczęście wisi nad głową biednej matki i jej dziecięcia, a twarz jego w miarę opowiadania wyrażała współczucie lub pogardę.

— I pani cierpisz bez nadziei, czy przyjmiesz pani pomoc moję, pomoc człowieka bezinteresownego, powodowanego jedynie chęcią powrócenia człowieka zbłąkanego namiętnością, żonie, dziecku i rodzinie?

— Panie, czyż mniemasz, że mąż mój może zapomnieć się tak dalece, żeby miał naruszyć resztę naszego mienia, będącego, mogę powiedzieć, własnością naszego dziecięcia?

— O! pani, nie obrażaj się przedwcześnie, nie wiesz pani gdzie namiętność gracza swój koniec znajduje, dowiedz się więc pani, że zupełna ruina jeszcze niezupełnie wyniszcza to uczucie. I mąż pani dziś lub jutro, może stawić na kartę wszystko, i zgotować los żebraczy własnemu synowi.

— Ach panie! przerażasz mnie prawdą słów swoich, zlituj się, radź na Boga cóż uczynić?

— Jest jeszcze ratunek, lecz niepewny.

— Mów, zaklinam cię.

— Nie chciej go pani wiedzieć, aby nie niszczyć swęj spokojności niepewnością i jeżeli chcesz się pani przyłożyć do

pomyślnego skutku, oświadczył mężowi swoją wizytę; nie omieszka zapewne mi ją oddać, a wtedy zrobię wszystko co będzie w mojej mocy.

— Dziękuję ci panie, szlachetny zbawco, co słabiej kobiecie podajesz przyjazną dłoń pomocy.

— Bądź pani mniej dobrą, bo pomocy moja niepewna. Bóg jeden uczynić ją może pożyteczną, proszę go więc o wsparcie.

I rozrzucony nieszczęściem młodej cnotliwej małżonki, pożegnał ją z gorącą chęcią uczynienia największych ofiar dla jej ocalenia.

III.

W domu pułkownika zjazd gości coraz większy, wszyscy cisną się z powinszowaniem, bo to dzień jego imienin. Znakomity solenizant nie szczędził starań, aby godnie przyjąć życziwych gości. Salony niezwykle ruch cechował.

Wytworna wystawność, słowem urządzenie całej uroczystości, świadczyły o dobrym guście gospodarza, i wróżyły powodzenie zabawie.

To też gdy strzeliło kilka korków szampana, gdy wzniesiono pierwsze toasta, rozweselone grono dzieląc się na rozmaite grupy, wesoło czas pędziło.

W tym wszedł W. i dość obojętnie złożył swe życzenia.

Pułkownik udał, iż nie zważa na to, a widząc ile się niecierpliwi, gdy go do towarzystwa dam zaprowadzić chciały, jakby odgadując myśl jego, zaprowadził go do salonu gry.

Życie namiętnego gracza to gra wrażeń.

Szatan chcąc zgubić duszę jego, zesłał mu namiętność, węzłem bratnim połączył ją z pokusą, a ona porusza sprężyny uczuć, aby każdą namiętność w uludne ustroić barwy.

W. pokochał grę, głos pokusy za tajemny instynkt uważał i najdroższemu dlań uczuciem nazywał, bez względu, iż majątek rodziny swojej na łup jej oddawał: człowiek ten znudził

się zawczasem, nie go nie było w stanie zająć, gra jedynie była elektrycznym środkiem przeciw nudom.

W. założył bank, szczęście mu dzisiaj sprzyjało, stosy papierów i złota szybko gromadził przed siebie.

W tym wszedł pułkownik i zajął miejsce jako poniter.

Na jego widok wzdrygnął się bankier; pułkownik, znany był za bardzo szczęśliwego ponitera, dziś zdawało się że szczęście podbił pod swą władzę.

Zaczął od małej stawki, lecz zwiększał ją stopniowo.

I rozpoczęły się owe szybkie jak piorun zwroty szalonego losu, jak piorun spadające na głowy nieszczęśliwych.

Z czoła bankiera pot spływał wielkimi kroplami; już większa połowa banku rozbitą została przez pułkownika, który jednym skinieniem resztę poniterów zrobił neutralną.

W tym groźny wykrzyk: „va banque”, jak wyrok śmierci ozwał się w głębi duszy W. i wkrótce potem pustem było miejsce, gdzie stosy bogactw promieniły się przed chwilą.

— Ha! przegrałem gotówkę, rzekł głucho W., ale pozostała mi jeszcze wioska.

— Przyjmuję ją w 200,000, odrzekł zimno pułkownik, proszę oddać oblig trzeciej osobie, a walutę wypłacam natychmiast.

Z zimną krwią marnotrawcy zagarnął pieniądze W. chcąc gwałtem szczęście sprowadzić na swoją stronę.

Kwadrans cieszył się nadzieją, w minutę potem, już mógł nucić hymn śmierci na ruinach swego mienia.

Ale on zbyt zajęty był teraz grą, aby o śmierci miał myśleć. On miał jeszcze kareta i parę koni do spieniężenia.

Z bezczelnością szulera to oświadczył.

Nagła radość zabłysła w oczach pułkownika.

— Służę panu odpowiedział, masz pan jeszcze rewansz na 3000.

Po chwili W. wyszeptał ponuro: „jestem zdebankowany”, a zwracając się do pułkownika, rzekł tonem przybranej pokory.

— Panie, prawo graczy, pozwala zaciągnąć pożyczkę od wygranego, proszę o 2000.

— Nie byłem graczem, odpowiedział pułkownik z godnością, lecz sędzią wykonawcą Boskiej Sprawiedliwości, a sędzia nie może mieć litości nad marnotrawcą.

IV.

Małżonka W. czuwała noc całą, blade jej lica zalane łzami, pierś ciśniona wzruszeniem bije gwałtownie, tam brzmi strona boleśnego przecucia.

Nad ranem mąż jej powrócił, ubiór jego w nieładzie, twarz nabrzmiała, oczy podsiniałe i nieprzystojne ruchy, zdradzały stan opilstwa.

— Ha! cieszyć się żono, ochrzypłym wybąkał głosem, przegraliśmy wszystko, co do grosza, a co więcej, jutro trzeba nam się wynieść i z rodzicielskiej chudoby, a wiesz ty, mówił głos podnosząc, a żrenica dziko zabłysła, wiesz ty kto był szczęśliwym zdobywcą mego majątku? To pułkownik N. gra mu idzie jak z płatka, ten człowiek mógłby miliony ryzykować. I nie uważając że śmiertelna bladość pokryła twarz nieszczęśliwej małżonki, potoczył się na sofę i wkrótce zasnął głęboko.

— Boże! jęczała biedna matka, głosem najwyższego żalu, więc ten pułkownik mnie zawiódł, on co się miał stać, zbawia, on wtrącił ojca rodziny w przepaść. O Boże! już nie ma ludzi na świecie. Boże! Boga-Rodzico módl się za nami i zwolna urywał się głos w jej piersi, oddech ustał i ona zbytkiem wzruszeń osłabiona, wpadła w stan nieczulój odrętwiałości.

W parę dni potem, żona W. wyobraziwszy sobie w najczarniejszych kolorach rzeczywistość, pogrążona była w najżywszej rozpacz.

— Pierwszy raz uczuła nienawiść dla człowieka, którego czciła dotąd jako u osobnioną szlachetność, a tak boleśnie roz-

czarowana została; rozpacz obudziła nawet gniew w tej anielskiej duszy, i na widok nędzy czekającej najdroższą jej istotę na ziemi, syna, wpadała w obłąkanie, złorzeczyła pułkownikowi.

Jakby na urąganie jej rozpaczy, turkot powozu dał się słyszeć; wyjrzała oknem i poznała karetę swego męża, ale z niej wysiadł pułkownik N.

Wówczas pewien rodzaj szału ogranał nieszczęśliwą matkę; z zapamiętałem obłąkaniem poskoczyła ku pułkownikowi.

— Ha! zawołała z wybuchem najżywszej boleści, przyszedłeś pan pastwić się nad swoją ofiarą, uragać się danemu słowu.

— Pani, z godnością odparł pułkownik, słowa danego nigdy jeszcze nie złamałem, oto dowód i podał jej jakiś papier.

Rzuciła nań okiem, lecz zaledwie przeczytała, łza wdzięczności zrosiła jej żrenicę i pomimo oporu pułkownika pokryła dłoń jego gorącymi pocałowaniem i głosem największego uwielbienia wyrzekła:

— Panie! wybacz mi błąd mój, wątpiałam o twojej szlachetności, a w słowo twoje jak w świętość wierzyć można, więcej jeszcze, bom ciężko zawiniła, nazywając pana moim nieprzyjacielem. Pan jeden zdołasz mi to przebaczyć.

— Pani! rozpacz nie zna przyjaciół, odpowiedział pułkownik, na pani miejscu tak samo bym uczynił może, i nie łatwiejszego jak puścić wszystko w niepamięć.

Teraz tylko, gdy aktem niniejszym urzędownie sporządzonym, uczyniłem panią jedyną właścicielką wioski i 60,000 wygranych od jej męża, a złożonych u rządy dóbr, który za niniejszym obowiązkiem w każdym czasie oddać jej okazicielowi nie omieszkam, należy być stałą, nieubłaganą i majątku swego dziecięcia oszczędzać z macierzyńską troskliwością.

Mąż pani ma teraz pole otwarte do skruchy i poprawy, bo przyczyna jego namietności już się wyczerpała.

Staraj się pani wpływem swoim powrócić go rodzinie; mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze; obym nie był fałszywym prorokiem.

W tém rozległ się trzask bicia i karetą pułkownika zjechała przed dworzec.

— Żegnam panią! dodał pułkownik i zwracam jeszcze ostatnią część wygraną, to jest karetę jej męża. Żegnam!

Wdzięcznością jaśniejące spojrzenie rzuciła na odchodzącego nieszczęśliwa żona, a w niem więcej było wymowy jak często w słodkich słowach eleganckiego świata, w których nie ma cienia prawdy.

Wkrótce już tylko tuman kurzu wznosiły się za powozem pułkownika, który znikł na zakręcie wioski, unosząc najszlachetniejszego człowieka.

POETA

NA PRZEDSTAWIENIACH PANNY RACHEL

POETA

na przedstawieniach panny Rachel.

POETA

na przedstawieniach panny Rachel.

POETA

NA PRZEDSTAWIENIACH PANNY RACHEL.

- Dokąd spieszysz?
- Po bilet, na przedstawienie panny Rachel.
- Ósma godzina dopiero, jeszcze zbyt wcześnie....
- Nic to nie znaczy..... lepiej wcześniej dostać się do kassy.
- Ależ.... mróz siarczysty, stać godzinę przy kassie, to szaleństwo wierutne.
- Szaleństwo! a choćby i szaleństwo, aby widzieć pannę Rachel w Aktorce Weneckiej..... szaleństwo nie jest grzechem..... bądź zdrow.
- Ależ zatrzymaj się zapamiętałcze. Mam ci coś do powiedzenia, lecisz jak opętany..... palcami cię wytykać zaczyna.....

Nie słuchał zagadnięty, ale szybkim krokiem zdążył do kassy Michajłowskiego teatru w Petersburgu.... nie zważał nawet jak mróz złożył serdeczny pocałunek na jego włosach.... i pozostawił tam niezaprzeczone ślady swego pobytu.

Był to pan Werther (imiennik sławnego męczennika tegoż nazwiska), który trudnił się mozolnem poezji rzemiosłem

i p. F.... Wampir (z którego pamiętników szkic ten wyjęliśmy). Kassa teatru Michajłowskiego była jeszcze zamknięta, kiedy nasz poeta zdyszany, zlany potem utrudzenia, przybył do celu.

Zastał tam już jakiegoś jegomości w zielonych okularach, Jejmość w nocnym czepku na głowie, i eleganta z szkiełkiem w oko wstawioném.

Pomiędzy niemi toczyła się następująca rozmowa:

— Widzieliście pannę Rachel.... w Fedrze i Adryannie Le-couvreur.

— Pan, o ile się dowiaduję, byłeś na pierwszym przedstawieniu Aktorki Weneckiej; nieprawdaz, że w każdej z tych ról, jest ona nieporównana.

Jegomość w zielonych okularach wytrzeszczył na nich oczy z ciekawością.

Poeta nateżył uwagę.

— Ja sędzę pani, iż talent panny Rachel więcej odbija się w klasycznych utworach jak w nowoczesnych.... tam ona jest pierwszą, nie do naśladowania, tu często jej ruchy, jej głos, przypominają sceny dawniej słyszane, od artystki znaniej nam oddawna, która nam je oddaje z tym znanym ogniem i czuciem, i każe nam mimowolnie zbierać wspomnienie ubiegłych wrażeń.

— O! pan się mylisz.... Rachel nie lubi ani jednego słowa, ani jednego gestu pożywać od swoich współzawodniczek.... ona brzydzi się naśladownictwem.... ja od kilku lat bywam ciągle w Michajłowskim teatrze, mam prawo więc do imienia znawczyni.... i nie pozwolę nigdy!....

— Jak się pani podoba... de gustibus non disputandum.

— Naprawdę pan wyjeżdżasz z łaciną swoją.... jest to jeden argument więcej potępiający pańskie zdanie.

— A więc?....

— Zamilez pan lepiej! ot kassę otwierają....

Poeta usłyszawszy ostatnie słowa, rzucił się jak sęp na okienko kassy i patetycznym zawołał głosem:

— Proszę o bilet na balkon!

— Nie ma ani jednego.

— Proszę o dwa krzesła w dziewiątym rzędzie.

— Są tylko dwa i to w pierwszych.

— A z łóż?

— Trzy są do wzięcia i to na pierwszym piętrze tylko.

— A więc wszystko zajęte! zawołało chórem całe zgromadzenie, które co chwila zwiększało się nowo przybywającemi.

— Wszystko! zawołała tryumfującym głosem jakaś figura, która ukazała się w oknie kassy.

— Panie Raphael Felix, zawołał elegant, czy nie będzie można dostać dobrego miejsca na trzecie przedstawienie tej sztuki!

— Przyjdź pan z pieniędzmi.... a zobaczymy.

— A! może pan być pewny, że nigdy bez pieniędzy nie chodzę, odpowiedział nasz elegant urażony.

— I ja nie zobaczę panny Rachel, powtarzał nasz poeta z westchnieniem.... ot moje szczęście.... tyle czasu straciłem na próżno.

— A czyż nie uprzedzałem cię o tém, powiedział jakiś głos za nim z wesołym śmiechem.... no! nie martw się, synu Appollina, muzy wprowadzą cię na swoje przedstawienia, każ tylko osiedlać pegaza....

— Śmiej się, śmiej, odpowiedział nasz wieszcz z smutną miną, bo śmiech ci bardzo do twarzy.

— No, nie gniewaj się.... entuzyasto.... bo oburzysz na się cały parnas.... chcesz widzieć twoje Melpomenę.... ułatwie ci to, przyjdź do mojej loży.

— Jaktó! zawołał poeta z radością.... ty masz lożę! żartujesz Wampirze....

— Aha! uśmiechasz się teraz, no, do widzenia! Nie zapomnij: Nr. 14 na drugim piętrze.

Biła ósma godzina, plac Michajłowskiego teatru napełnił się licznymi rzędami karet. Publiczność zbierała się gromadnie.

Po wschodach prowadzących do łóż drugiego piętra, biegł szybko jakiś młody człowiek, uzbrojony lornetą; na ustach jego jaśniał uśmiech zadowolenia i ożywił całą jego fizyonomią.

— Numer 14? zapytał z niecierpliwością lożmajstra.

— Drugi z boku na lewo.

Nasz poeta rzucił się z zapalem w tę stronę; w tém w zapędach swoich zatrzymany został przez mężczyznę w średnim wieku, wschodnich rysów twarzy, w którym poznał tego samego, co rano proroczym zapowiadał głosem, że nie ma już miejsca.

— Za pozwoleniem pana, gdzie tak spieszysz?

— Nie rozumiem co to pana może obchodzić?

— Zaraz się pan dowiesz; który numer pańskiej łóż?

— Czternasty!

— A więc proszę o należność rubli sr....

Jakto? ja jestem proszony do łóż.... która jest abonowana przez mego przyjaciela Wampira.

— Wiem o tém; nie uwalnia to pana jednak od opłaty.

— Ale to jest pomyłka zapewne, pan bierzesz mnie pewnie za kogo innego.

— Nie o godność tu pańską idzie.... ale o pieniądze.

— Pieniądze i zawsze pieniądze! zawołał nasz poeta rumieniąc się.... ale jeżeli ich nie wziąłem z sobą?

— Więc niech się pan wróci po nie....

— W tej chwili nasz poeta ujrzał wychodzącego z łóż Wampira.

— Wampirze! zawołał, to takie twoje zaproszenie.... to mistyfikacya z twojej strony.... wzbraniają mi wstępu, żądają pieniędzy.

— Jaka mistyfikacya? odrzekł tenże, kto ci wzbrania wstępu?

— Ja! Dyrektor urlopów panny Rachel.... pan Raphel Felix do usług pańskich, odpowiedział ten co zatrzymał poetę.

Ten pan jest siódmym z kolei, łoża według warunków powinna mieścić tylko sześć osób, a każdy siódmy, płaci siódmą część jej wartości.... Czy pan rozumiesz?

— A, rozumiem, odpowiedział Wampir, wydobywając sakiewkę i nachylając się do ucha poety szepnął:

— Przypatrz się dobrze temu i nie zapomnij o nim w poezyi, którą na cześć panny Rachel układasz. Ten pan, to brat opiewanej przez ciebie muzy.

Skończyło się przedstawienie.... sala trzęsła się od oklasków, wszyscy byli w zachwyceniu.... ale w największym entuzjazmie był nasz poeta.

— Wampirze! krzyczał on. Jutro pójdę złożyć mój utwór u stóp jeniałnej artystki.

— Wertherze! wstrzymaj swe zapęły!.... Namysł się, a może zmienisz swój zamiar.

— Nie! nie! po stokroć nie! jutro! jutro!

Na jednej z pryncypalnych ulic stolicy, wytworne pomieszkowanie zajmowała panna Rachel....

Schody wystane bogatym kobiercem. Już na samym wstępie spotyka się przepych, bogactwo i cóż dalej?

O godzinie dwunastej z południa wszedł nasz poeta.

Na jego spotkanie wyszedł lokaj, i młoda jakaś dama w towarzystwie tłumacza.

— Czego pan sobie życzy?... zapytano naszego poetę.

— Mam interes osobisty.... chce się widzieć z panną Rachel.

— Niech pan będzie łaskaw, pofatygować się do pana Raphaela Felix i wyłożyć mu swój interes.... panna Rachel uczyniła go swoim plenipotentem w tym względzie.

— Jakto? aby widzieć pannę Rachel, należy się udać do brata?

— Tak jest panie, oto jego adres i młoda dama skreśliła kilka słów na wizytowej karteczce poety.

W tej chwili weszła służąca, i powiedziała:

— Panno Anno! pani prosi ją do siebie....

Poeta wyszedł zakłopotany i udał się do wskazanego mieszkania.

Pan Raphael otoczony był całym orszakiem licznie zebranej publiczności, czém niemało się zmieszał nasz poeta.

— Proszę.... pana.... o łóżę pierwszego piętra.

— Proszę o jeden egzemplarz panny Rachel.

— Co to jest? wyszeptał nasz poeta z zadziwieniem.

— Proszę o dwa egzemplarze panny Rachel.

— A ja o trzy.

— Nic nie rozumiem, powiedział nasz poeta na głos.

— Niech pan będzie łaskaw, przygotować mi jeden egzemplarz pańskiej siostry, przerwał jakiś jegomość, kłaniając się z przymileniem panu Raphaelowi Felix.

— Czy i pan życzy sobie jeden egzemplarz? powiedział tenże zwracając się do naszego poety.

— Ja.... ja.... broń Boże; ja miałbym kupować pannę Rachel, ależ mój panie my nie jesteśmy w Indyach.

Wszyscy parsknęli hucznym śmiechem, a najgłośniejszym ten, w którym Werther poznał głos Wampira.

— Wampirze, wytłómacz mi tę zagadkę, na miłość Boską.... jakaż tu ohydna odbywa się licytacja.

— Bardzo prosto.... sprzedają tu się statuetki panny Rachel, które brat jój zakupił hurtem i główny skład założył w swoim mieszkaniu.

— Jakto? brat targuje sławą swojej siostry.... to niesłychanie.... to niegodziwie!

— Co pan sobie życzy? ofuknął pan Raphael Felix.

— Ten pan chciał się widzieć z panną Rachel, chce poświęcić poezję na cześć jój napisaną.

— A.... w takim razie mogę panu służyć, bo bez mojej protekcyi pan nie znajdzie dostępu.

— Dziękuję.... dziękuję.... i poeta wybiegł jak opętany z pokoju dyrektora.

— A! ostrzegałem go żeby się nie śpieszył, krzyknął za nim Wampir....

— Czy to waryat? zawołało kilka głosów.

— Nie, to rozczarowany poeta, odpowiedział Wampir.

MIŁOŚĆ ARTYSTY.

MIŁOŚĆ ARTYSTY.

Działo się to w roku 1831, w gustownie umeblowanym salonie pewnego zamożnego domu w Wiedniu. Na kwintnej kanapie siedziało dwoje dzieci, przynajmniej tak powiedzieć można było, spojrzawszy na ich świeże twarzyczki, na których nigdy jeszcze nie powstało piętno złego i wielkie oczy wesoło i spokojnie patrzące na świat boży. Młodzieniec nie liczył więcej nad lat 17; wysokie czoło jego ocieniał gieniusz, oczy czarne pały radością, prowadził on żywą rozmowę z piętnastoletnim aniołkiem. Wsparte na ramieniu młodzieńca miluchne dziewczę nie spuszczało oczu z niego, aby nawet jednego nie utracić słówka.

W tém zwolna drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł wysoki mężczyzna, lecz dzieci, w chwili zachwycenia nie spostrzegły przybysza, aż wówczas dopiero, gdy tenże dotknął się dłoni młodzieńca, który jakby obudzony ze snu, powstał nagle, zarumieniwszy się po uszy.

— Zostaw nas samych na chwilę, miłe dziecię, rzekł przybysz do młodziutkięj panienki, również zasmuconęj nagle jego przybyciem; i gdy ta, rzuciwszy na obu mężczyzn bojaźliwe spojrzenie, wyszła z salonu, nieznajomy znowu posadził młodzieńca na kanapie.

— Ile masz lat Wilhelmie? przysiadając się do niego zapytał.

— Siedemnaście, odpowiedział młodzieniec.

— A czy wiesz, ile jeszcze lat potrzebuje człowiek, który jak ty poświęcił się muzyce, do osiągnięcia należytej doskonałości, a w ślad za nią chwały i cześci światowej? Wielkim talentem obdarzony panie Wilhelmie, z przyjemnością przyjmowałem cię w domu moim, spoglądając na objawiające się przywiązanie twoje do mojej córki, bo talent stawiałem na równi z wysokim urodzeniem; znam także Wilhelmie przeciwną twą duszę. Lecz do czegoż, mówił dalej, doprowadzi cię ta miłość? Obdarzon jesteś od natury hojnie wszystkiem, z radością gotów jestem oddać ci moją córkę, ale dzisiaj jeszcze niczem nie jesteś, Wilhelmie. Jedź pan, ucz się, użyj ten czas na korzyść swego obranego powołania, stań się artystą, postaw się geniuszem swoim w rzedzie mężów, których sława przetrwa wieki, i wtedy wracaj do nas Wilhelmie, jeżeli przychylność twa ku nam nie zmieni się. Przyjmujemy cię jak krewnego, i daję ci słowo, że zmuszać córki mojej nie będę do małżeństwa z kim innym. Czy plan mój podoba się panu?

Młodzieniec podniósł głowę i cudny ogień zabłyś w jego oczach. Ścisnął silnie podaną mu reke: „Pragnę spełnić twe życzenia,“ wyrzekł głosem drżącym, lecz pełnym energii, cechującym mocne postanowienie.

— Dobrze! więc jutro zaraz wyjeżdżaj ztąd. O jak kontent jestem, że rada moja trafia ci do przekonania; uczyni to, a będziesz szczęśliwszym.

— Jutro rano jadę do Paryża, odezwał się młodzieniec głosem pełnym rzewności i szczęścia; dawno już miałem zamiar tak postąpić, lecz pan pozwolił mi się pożegnać z....

— Przypatrz do nas wieczorem, gdy poczynisz przygotowania do podróży, czekam cię Wilhelmie.

Siedem lat upłynęło. Nietylko Paryż, ale cała ucywilizowana Europa, znała imię młodego skrzypka, którego sam Paganini zaszczycał swą szczególną przychylnością. Minęło

siedem lat, czas naznaczony, w przeciągu którego Wilhelm miał stać się godnym przedmiotu uwielbionego i dowieść stałości swego charakteru.

Nie śmiał ów młodzieniec, ani jednej litery skreślić w ciągu tego czasu do tej, której poświęcił swoje najlepsze utwory muzyczne, ale żaden ustęp odnoszący się do niej, nie zdawał mu się być ani godnym, ani dość wypracowanym dla jego bóstwa. Czasami za odbierany od niej ukłon, odpłacał wzajemnością, załączając zarazem utwory swoje.

Zbliżała się ta chwila stanowcza, w której Wilhelm miał wyjechać z Paryża, czuł on już zawczasem uścisk śnieżnej rączki, całus koralowych ustek swojej młodej narzeczonej. Po dwóch dniach podróży, ujrzał nareszcie Wiedeń. Zaledwie zdążył przebrać się, poszedł pełen nadziei i szczęścia do domu, gdzie skarb jego miał nań oczekiwać.

Wrota były otwarte, lecz wewnątrz panowała cichość i posępność. Bolesne jakieś uczucie ścisnęło pierś jego; nieśczęśliwy zadrżał, jakby przeczuwał dla siebie cios okropny.

Wbiegł na górę po dobrze mu znanych wschodach i stanął jak skamieniały; rozdzierający wykrzyk wydobył się z piersi jego, oczy stanęły kołem i bez czucia upadł na podłogę.

Na środku tegoż salonu, leżały martwe zwłoki otoczone gorejącymi świecami, w których poznał trupa tej, dla której uczył się, pracował i za którą oddałby swe życie. Dosyć mu było raz spojrzeć, aby przekonać się, że życie porzuciło to cudowne ciało; kwiat uroczy zwiądnął na zawsze!...

Wilhelm nie mógł nawet odprowadzić jej na miejsce spoczynku, gdyż gorączka nerwowa przykuła go do miejsca i omal samego nie przywiodła nad brzeg mogiły. Silna kompleksja ocaliła go; we dwa miesiące potem odżył dla sztuki i zdaje się, że odrodził się na nowo, ale myśl jego wciąż błdziła w nadobłocznym świecie i oczy przyjęły wyraz smutny, mimowolnie poruszający każdego. Odtąd poświęcił się całkiem

ZŁODZIEJ PRZEZ LEKKOMYŚLNOŚĆ

SZKIC Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

ZŁODZIEJ PRZEZ LEKKOMYŚLNOŚĆ

SZKIC Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

W buduarze, który z przepychem łączył gust i niepospolitą elegancją, młoda kobieta zajęta jest układaniem drobnotek służących do wyprawy.

Jest nią 20 letnia Cecylia S. mająca wciąż wkrótce w związku małżeńskie z młodym urzędnikiem p. Ernestem K.

Rzecz się dzieje w stolicy.... a ponieważ osoby opowiadane żyją jeszcze, imiona więc takowych zamilezamy, ale cóż nas obchodzi imiona? tu idzie o fakt.

Ernest wszedł do pokoju swjej narzeczonój; kochankowie zamienili wzajem dwa spojrzenia, dwa takie spojrzenia, w których młodzieńcza dusza się odbija najświeższych uczuć pryzmatem.

To spojrzenie mówiło: dla innych cierpienie i ziemskość, dla nas.... szczęście i raj!

Ale i tym razem, ludzkie sny.... rajskie marzenia rozbiły się o smutną rzeczywistość, bo na boku stał Wampir... który poszepnął: rzuć myśl o raju kobietko! bo na ziemi go nie spotkasz. Ten Wampir, był to Wampir zazdrości!

Ernest wyjeżdża z zaproszeniami na wesele, ma być bal huczny.... muzyka.... tańce.... cukrowa kolacja....

Miedzy innemi wstepuje do jednego z współkolegów, p. Alfonsa D., wchodzi.... zastaje drzwi otwarte, a na stole leży bardzo kosztowny zegarek, śliczny ankier.

— Co za nieroztropny dziwak! wykrzyknął Ernest, zostawić drzwi otwarte, w chwili gdy tyle rzeczy leży rozłożonych na stole. Trzeba go nauczyć rozumu. To mówiąc bierze zegarek, chowa go do kieszeni i wychodzi z pośpiechem pomrukując: „,namęczę ja cię nie mało, nim ci go oddam.“

Nazajutrz opromieniony szczęściem i nadzieją Ernest, wysiadając z doróżki, spotyka przyjaciela swego Alfonsa, patrzy się na niego owym zapytująco, badawczym wzrokiem, który wyraża: „,a co zmartwiłeś się dobrze?“ ale jakże się zadziwił, gdy ujrzał, że kolega jego wita go z najserdeczniejszym uśmiechem, a na kamizelce jego lśni się przepyszna dewizka od zegarka, który tenże niebawem wyjął i patrzy na godzinę.

— Jakto? już kupił sobie inny zegarek, i w tém zasępiła się twarz narzeczonego, a zwracając się do kolegi zapytuje bez myśli:

— A co nastraszyłem cię dobrze?

— Czém? zapytał z kolei zdziwiony Alfons.

— Jakto? zastałem drzwi otwarte i zabrałem ci zegarek, aby cię ukarać za nieostrożność, pewnoś wrócił zaraz i zastał zgubę. No, nie chcę cię dłużej martwić i wracam własność twoję; to mówiąc odpina porwany zegarek i oddaje go koledze.

Ale ten cofnął rękę z wzrastającym zadziwieniem, mówiąc:

— Ależ daj mi pokój, co mi do cudzego zegarka, mój nigdy mi nie zginął. Nie rozumiem nawet jakim sposobem mógłby się dostać do ciebie; drzwi zamykam na klucz i na kłódkę, a przytém mam go przecież przy sobie.

— Ależ byłem u ciebie, aby cię prosić na wesele, w mieszkaniu twem w domu K. przy ulicy N.

— Dawno wyprowadziłem się ztamtąd; przypomnij sobie żeśmy się nie widzieli przeszło pół roku. Nie wiedziałem nawet, że się żenisz, winszuję, będę na weselu, ale zegarka cudzego przyjąć nie mogę.

— A więc pomimo woli skradłem zegarek. Boże com ja zrobił! i pędem jak szalony poleciał biedny młodzieniec do mniemanego mieszkania swego kolegi.

W mieszkaniu zajmowaném dawniej przez Alfonsa, zastał Ernest ruch nadzwyczajny. Właściciel jego otoczony był sługami policyjnymi i rozprawiał o świeżo popełnionej u niego kradzieży, gdy w tém Ernest błąd, zmieniony na twarzy oddaje mu zegarek i oświadcza drżącym głosem:

— Panie! wybac mi moją nieroztropność, mieszkał tu dawniej kolega mój Alfons, wszedłem a zastawszy drzwi otwarte zabrałem zegarek leżący na stole, chcąc pożartować i nauczyć go większej ostrożności; ale okazuje się że wszedłem do cudzego mieszkania, winienem przeto zwrócić co do pana należy.

— A więc zapewne przynosisz mi pan pugilares, w którym znajdowało się 5000 rs. papierami kredytowymi, który leżał przy zegarku, odparł zdziwiony i uradowany zarazem okradziony.

— Ależ panie, ja tylko zegarek wziąłem.

— O tym wątpię, odezwał się kommissarz policyi, dwie kradzieże na raz to za wiele.... musimy pana aresztować, gdyż widzimy w tém wybieg prawny.

— Jakto mnie aresztować....Boże co powie Cecylia! i biedny młodzian upadł nawpół zemdlony na sofę.

W kilka chwil potem odwieziony został do biura policyi miejscowej.

Zaproszeni goście na ślub zebrali się w mieszkaniu Ernesta.... ale pana młodego coś nie widać. Czekają godzin dwie, w końcu zaczynają się niecierpliwić.

W tém wchodzi ojciec Cecylji, błąd, zmieszany; on właśnie poszedł wyszukać zięcia i zastał go w Ratuszu.

Wampir się nie omylił, ślub zerwany został, szczęście i raj zginęły na zawsze. Ernest dotychczas pod sądem i stale zapiera się wzięcia pugilaresu.

Sprawiedliwość zaczyna wchodzić na trop i zdaje się, że odszuka prawdziwego złoczyńcę, który w kilka minut po Ernście wszedł i zabrał pugilares.

Któż więc był winien temu nieszczęściu, czy los czy lekomyślność Ernesta?

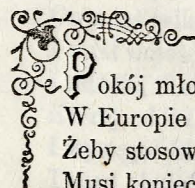
W mieszkaniu zajmowanym dawniej przez Allona, stał Ernest ruch nadzwyczajny. Właściciel jego otoczony był sługami policyjnymi i rozprawił o swięto popielnicę u niego kradoży, gdy w tym Ernest plady, zmierzony na twarzy od-
daje mu rękawek i oświadcza drżącym głosem:
— Pannie! wypuść mi moja nieostroć, mieszkać tu da-
wpię kolega mój Allona, wszedłem a zastawasz drzwi otwarte
zabieram rękawek leżący na stole, czego potrzebować i nanieść
go większej ostrożności, ale okazuje się że weszł do cudzego
mieszkania, winieniem przeto zwrócić co do pana należy.
— A więc zapewne przynosisz mi pan pugilares, w któ-
rym znajdowało się 5000 rs. papierami kredytowymi, który
leżał przy rękawku, obparł zdziwiony i niezadowolony razem
okradziony.
— Ale panie, ja tylko rękawek widział.
— O tym wątpię, odezwiał się komisarz policyjny, dwie tra-
dziste na raz to za wiele... musimy pana aresztować, gdyż
widziemy w tym wypiek prawdy.
— Takto mnie aresztować...! Bogo co powie Cezyl! i nie-
chaj miodzian upadł niewpół zadowolony na sofę.
W kilka chwil potem odwieziony został do biura policyj-
nego.
Zaproszeni goście na ślub zeszli się w mieszkaniu Er-
nesta... ale pana miodzianego, eż nie widąc. Czekając godzin
dwie, w końcu rozprzeczają się niecierpliwie.
W tym wchodzi ojciec Cezyli, plady, zmieszany op-
właśnie poszedł wyszukać zięcia i zastał go w balustradzie.

ULOTNE POEZYJE.

Aby uniknąć...
W tym...
A on...
Kopie w...
By...
Leci...
I...
S...
Z...
C...
A...
M...
C...
U...
L...
W...
M...
A...
W...

ULOTNE POEZYJE.

Miłość, karty i skrzypce.

 okój młodzieńca, rzecz to przyjęta
W Europie i świecie całym,
Żeby stosownym był dla studenta,
Musi koniecznie być małym.
A tam, rzecz prosta, w skutek ciasności,
Przy świecy leży sucharek,
Aby uniknąć nieostrożności,
W tytuniu spoczął zegarek.
A na talerzu złożono karty,
Szuwaks na etażerce,
Kapie w bielizny kufer otwarty,
By praczek radować serce.
Lecz dosyć tego, Staś był studentem,
I praw studenckich nie mącił,
Surdut był zawsze zlan atramentem,
Zegarek tytuniem trącił.
Staś grał na skrzypcach; zapal i czucie
Grę jego cudną czyniły.....
A chociaż smyczek nurzał się w bucie,
Miał dosyć ognia i siły.
Charakter Stasia, był wcale nowy,
Uczył się nieźle, lecz szalał,
I każdy concept szalonej głowy,
Z zapalem pierwszy pochwalał,
W piersi tysiące uczuć walczyło,
Sława mu z skrzypców patrzyła,
A znów twarz wdzięczna, rozmowa z miłą,
W duszę tęsknotę mu lała.

Bywały chwile, że chwytał karty,
By niemi tęskność rozpędzić;
Ale z hazardem już trudne zarty,
Staś musiał pieniądze szczenić.
Więc gdy przegrywał, skrzypce wnet chwytał,
O sławie, o laurach marzył,
To więc cel życia! sam siebie pytał,
Cel się niebawem nadarzył.....
Staś skończył kursa; człowiek skończony,
Stanu więc szukał.... z powagą,
Szedł więc poważny, szedł zamyślony,
Z wiarą, nadzieją, odwagą.
Szukał więc długo i marzył wiele....
I znalazł wreszcie, stan przecie?
O nie! zkał inąd Stasia, wesele,
Znalazł anioła w kobiecie.
I schwycił skrzypce i grał z zapalem,
I wśród uniesień zawoła:
Jéj sny młodości mojej oddałem,
Znalazłem mego anioła.....
Prawda, tym razem los mu dość sprzyjał,
Anioł to była dziewczyna,
Przy niej jak chwila dzień cały mijał,
I boskie były jéj lica.
Stasio w uczuciach dość był uparty,
W czułościach dni mu płynęły,
Po nocach strasznie zgrywał się w karty,
Skrzypce za piecem spoczęły.
O miłości! dodaj siły.....
Wołał, krzyczał..... wśród uniesień,
Lub mnie prowadź do mogiły,
Bo już pusta moja kieszeń!!....
Luba długo się wahała,
Chcąc w uczuciach pomódz jemu,
Wreszcie strój weselny wdziała,
Oddając rękę innemu.
Czy widzisz jak nasz Stasio za piecem tam grzebie,
Co szuka, noża pewno! niestety! niestety!
Czyliż w kwiecie lat swoich pragnie zabić siebie,
Za stracone nadzieje, wzajemność kobiety!
O! nie nóż jego wabi, on skrzypce wydobyl,

I grał... i bił w nie smyczkiem, głos do Nieba wznosił,
I w pośród gry szatańskiej na śmierć się sposobił,
On koncert na tych skrzypcach nieszczęsnych ogłosił.
Był to niemiecki teatr; strojne tualety,
Niemek twarze uśmiechem jaśnieją radości,
A Niemki, wszakże wiecie, rozumne kobiety,
Wolą strój, dobrą tuszę, niż umrzeć z miłości.
Na afiszu, wśród imion znanych z reputacji,
Stanął Stasio, elegię miał zagrać Mozera,
A później grać w djabełka po sutój kolacji,
I umrzeć,— nie, tak prędko młodość nie umiera.
On miał tylko wyjechać na długo z stolicy,
I miał unieść wraz z sobą w oddalone strony.
I miłość, i marzenia, i portret dziewczyny,
Któręj oddał młodości czas marnie stracony.
I wystąpił Stanisław, włos jego w nieładzie,
Twarz blada, uśmiech gorzki, i wargi ścisnione,
I po krótkiej z wzburzoną głową swą naradzie,
Wziął jakieś tony tkliwe, żałośnie, stęsknione.
I grał... Niemcy słuchali téj gry z nateżeniem,
On grał i niby tony wydobył z niebiosów,
Niemcy mu poklasnęli z szczerem uniesieniem,
Imię jego zabrzmiało, wśród tysiąca głosów.
Lecz nagle, spojrział Stasio, tam w łoży na prawo,
Siedzi ona, o Boże! smutna i milcząca,
Stasio nasz nieujęty panującą wrzawą,
Widział ją tylko jedną wśród ludzi, tysiąca,
I wnet skrzypce zabrzmiały jakąś dziwną nutą,
Złączoną z dzikim, śmiesznym fantazyi wybrykiem.
Na melodyi raz smętnej, raz skrzecznój usnutej,
Tak śmieszna... że spotkano go śmiechem i krzykiem.
Sykanie się rozległo w teatralnej sali,
Stasio uciekł z teatru, kłął miłość stokrotnie,
A widzowie na miejscach swoich pozostali,
I ona pozostała smutnie i samotnie.
Uciekł nareszcie Stasio.... dwa lata minęły....
I on dawał koncerty... lecz i kart nie rzucił,
Skrzypce jego na wszystkich jarmarkach słynęły,
Choć z żadnego jarmarku z pieniędzmi nie wrócił.
I nastała dla niego chwila przesilenia,
Chwila sławy.... i wzruszeń i tysiąca wrażeń,

W skrzypcach przebijał zapal i iskra natchnienia.
 Lecz jakież cel był znówu artystycznych marzeń.
 Dwa duchy mu wśród życia pielgrzymki stanęły,
 Duch kart ściagał go długo... i siły wyczerzył,
 Lecz aniołki artystę w swą opiekę wzięły,
 W karty przegrał tysiące, lecz duch nie zwyciężył,
 Bo namiętność ochłodziła... przy uśmiechu cudnym,
 Przy uścisku gorącym, przy szepcie miłośnym,
 A nasz Staś do uścisków wcale nie był trudnym,
 Szeptał, ścisnął i szalał w odmęcie radośnym.
 I grzmiało jego imię; talent już jeniałny
 Zakres przyjął, gra jego mistrzowską się stała,
 Nastąpił dla artysty, moment tryumfalny,
 Zajaśniała mu miłość, poezya i chwała.
 I znalazł znów ideał; niby rząd perełek,
 Tak jęj ząbki świeciły w usteczkach różanych;
 I gdyby się nie wniósł przeklęty djabełek,
 Staś by stapał śród ścieżek kwiatami usłanych;
 Lecz djabełek mu szepnął, wysoką wygraną,
 Siadł Stasio do stolika i postawił złoto...
 Przegrał, wykrzyknął wściekle, i nazajutrz rano,
 Miasto, laury, aniołków porzucił z ochotą,
 Powrócił do stolicy; tu znów aniołkowie,
 Wzięli go w swą opiekę; on marzy i marzy,
 Lecz niech już inny autor wam lepiej wypowie,
 To co znówu na jego wyczytałam twarzy.
 Namiętność do djabełka, to rzecz oczywista,
 Walczy z najlepszem sercem i duszą anielską,
 Ale mnie co do tego: on wielki artysta,
 I ja pierwszy mu podam rękę przyjacielską.

L Z Y

Fantazyja.

Biegł anioł śmierci w grubój żałobie,
 Blade oblicze boleść pokryła,
 Bo gdzie przeleciał, był grób przy grobie
 Gdzie stąpił, świeża mogiła.

Słowa weselne, zmieniał w śmiertelne,
 Uśmiechy szczęścia w smutne wspomnienia,
 Z dawnych pamiątek, zostawił szczątek,
 A na nim napis zniszczenia.
 O! lżo boleści, mówił z westchnieniem,
 Jeśli nie ziemskie masz cele,
 Wzbij się do Nieba, rzucisz cierpienie,
 A poznasz niebios wesele.

Zza *dziecinna* zajaśniała,
 I do Nieba już leciała,
 Ale matka przestraszona,
 Przycisnęła ją do łona,
 Pocałunkiem osuszyła
 I lżą ziemi powróciła,
 Ona jeszcze raz zajaśnia
 I spłonęła i zagasła!

Zza *sieroty* zajaśniała,
 I do Nieba już leciała,
 Lecz kochanka ją schwyciła,
 Znę do serca przytuliła
 I raj ziemski jęj odkryła;
 Zza się w uśmiech błogi zlała,
 I przy ziemi pozostała.

Zza *weselna* zajaśniała
 I do Nieba uleciała,
 Aniołowie ją przyjęli,
 I do źródła jęj zajrzeli;
 Ona cel rozkoszy miała.
 O jęj było bardzo pilno,
 Wzbudza *meża miłość* silną,
 Poratunek gwałtowniejszy,
 Uścisk ręki serdeczniejszy,
 Podwojone serca bicia,
 By powiększyć urok życia.

Zza *wdzięczności* zajaśniała,
 I do Nieba uleciała,
 Aniołowie ją przyjęli,
 I do źródła jęj zajrzeli,

I badali, i szukali,
I wdzięczności nie poznali,
Ale tylko ślady liczne,
Ironiczne, sarkastyczne.
U stóp Nieba łą się chwieje,
A Anieli zawołali,
Kiedy ziemi łąę rzucali:
Zkąd masz tyle bezczelności,
Przyjąć ma się strój wdzięczności,
Kiedy wdzięczność nie istnieje!

Łza kobiety zajaśniała,
I do Nieba uleciała;
Aniołowie ją przyjęli,
I do źródła jęj zajrzeli,
Uroczysta cisza trwała,
Łza niebiański powab miała,
O! bo dawno już Anieli,
Łzy kobiety nie widzieli;
O! bo komuż śród pieszczoty,
Śród okrzyków uwielbienia,
Przyjdzie kiedyś myśl tęsknoty,
Lub łą smutku i cierpienia,
U wrót Nieba łąa pobladała,
I u stóp lubego padła,
On wylanęj łąy żałował,
I jęj ślady wyczuwał,
I słówkami łudzającemi,
Łzę przywołał znów do ziemi!

Łza aktorki zajaśniała,
I do Nieba już leciała;
Tak udana, zagmatwana,
I w szczerości, strój odziana,
Że Anieli,
Już do Nieba wiaść ją chcieli,
Ale nagle łą się zrywa,
I wesola, i szczęśliwa,
Za kulisy znowu leci,
Tam lew jeden, drugi, trzeci,

Tknięty amatorskim żalem,
Tak aktorki łą się wzruszył,
Że natychmiast ją osuszył,
Perskim, czy tureckim szalem!

Łza artysty zajaśniała,
I do Nieba już leciała,
Lecz widzowie, ją zoczyli,
I poklaskiem, wieńcem, wrzawą,
Którą sprawiał, okrzyk, brawo!
Tak łąę biedną przestraszyli,
Że ją chwała pochłoneła,
I łąa na ziemi zginęła!.....

Łza poety zajaśniała,
I do Nieba uleciała,
Aniołowie ją przyjęli,
I do źródła jęj zajrzeli,
O! to była, łąa cierpienia,
Łza szlachetna, poświęcenia,
Łza serdeczna, łąa litości,
Dla przyjaciół i ludzkości,
On z niej usnuł życia watek,
Skarby uczuć i pamiątek.
On kobiecie oddał złoto,
Czeze tytuły rzucił w błoto,
Młodość sterał, zapal stracił,
By lichwiarzy nim wzbogacił;
W trudach spędził żywot cały
I gdy włosy mu zbieleły,
Od ludzkości opuszczony,
Od kochanki swęj wysmiany,
Od lichwiarzy wyszydzony,
Od przyjaciół zaprzędany,
Chcąc zakończyć życia brzemię,
I niewdzięczną rzucić ziemię,
Bez wyrzutu, bez szemrania,
Podniósł w Niebo łąy znękania.

Zabrzmiał z cicha dzwon kościelny,
Ludzie dali ciało ziemi;
Aniół śmierci tuż nad niemi,
Rzucił wieniec nieśmiertelny,
Z lez poety upleciony,
I uleciał w rajske strony.
W Niebie pieśń wesela brzmiała,
I poety łza jaśniała!

S N Y.

Sen kobiety, salonowy,
Sen poety, gorączkowy,
Sen lichwiarza, przerywany,
Sen zbrodniarza, wyżebrany,
Stariej panny, sen straszliwy,
Młodej żony, sen zdradliwy,
Sen dewotki, z natchnieniami,
Sen podlotki, z falbanami,
Sen krytyka, bez litości,
Sen młodzika, pełen czczości,
Sen cyganki, z tamburino,
Warszawianki, z krynoliną,
Sen doktora, z pacjentami,
Sen pacyenta, z lekarstwami,
Sen aktora, z oklaskami,
Sen aktorki, z bukietami,
Sen studenta, o szkielecie,
Sen szulera, o walecie,
Sen autora, z księgarzami,
Sen księgarza, z dukatami,
Sen stolicy, pełen scen,
Sen dziewicy, to mi sen!

Maniuleczko, pieszczoteczko
Skarbie matki swój,
W niewinności, wesołości,
Zawsze nam się śmiej!

Maniuleczce, w berżereczce
Každy będzie rad,
A w twarzyczce, jak w różyczce,
Zginie łezki ślad!

Maniuleczko, motyleczko
Za pustotą leć,
Bujaj śmiało, jak przystało,
Gwiazdką szczęścia świeć!

W życia kwiecie, niech ci w świecie,
Zawsze sprzyja los,
Bez zawiści, niech się zjiś ci,
Szczerych życzeń głos.

Leć dziecino, chwile płyną,
I z dziecięcia człek!....
Z motylkami, z zabawkami,
Wnet się spędza wiek.

Ktoś z nienacka, porwie cacka,
I obrączkę da.
W ślubnym wieńcu, przy młodzieńcu,
Kłęczy Mania ma.

Maniuleczku, aniołeczku,
Na to jeszcze czas!....
Jeszcze słowo, bądź mi zdrową,
I pokochaj nas!

Maniuleczko, kochaneczko,
Słuchaj moich słów.
Które wplotę, w dni twe złote,
Do dziecinnych snów!

MAZUR.

Witam ciebie wiosno miła,
 Ty powracasz me nadzieje,
 Gwiazda szczęścia zaświeciła,
 I świat cały mi się śmieje;
 Gdyby jeszcze dźwięk mazura,
 W duszę radość wlał,
 Troska znikła by ponura,
 Świat się rajem stał.
 Oj mazurze mój kochany,
 Twe wspomnienie jak radosne,
 Tyś z dzieciństwa snem związany
 Ty powracasz życia wiosnę.
 Brzmij mazurze..... rozprosz troski,
 Chwilę szczęścia daj,
 Wlewaj w serca nektar boski,
 Wznoś w marzenia kraj.
 Gdy pogoda wiosny świeci,
 W sercu błogo i wesoło,
 Myśl w krainy szczęścia leci.
 Smutek wnet opuści czoło.
 Oj mazurze mój kochany,
 Chwilę szczęścia daj,
 Tyś nam zawsze pożądanym,
 Graj mazurze graj.
 To nasz taniec ukochany,
 Graj mazura graj.

MAZUREK.

Kiedy widzę dziewczę moje,
 Tak wesołe i szczęśliwe,
 O nic więcej już nie stoję,
 I wnet nuce dźwięki tkliwe,
 Bo gdy w duszy jój wyczytam,
 Blask niebiański i wesele,
 To się serca mego pytam:
 Czy to anioł w ludzkim ciele?

Kiedy widzę jak pogodnie,
 Na jój twarzy radość płonie.
 To wnet serce me odmłodnie,
 I raj gości w mojem łonie;
 A gdy spojrzę na mnie mile,
 Choć wyrzeknie słów nie wiele,
 To uwierzę w szczęścia chwilę.
 I w anioła w ludzkim ciele,
 Więc ci niosę pieśń rodzinną,
 Bo w mazura dźwięki strojną,
 Tak jak dusza twa niewinna,
 Tak jak serce twe spokojną.
 Kiedy spełnisz me życzenie,
 I gdy będziesz ją śpiewała,
 Serce me ogarnie drzenie,
 Byś do Nieba nie w zleciała.

TARANTELLA.

Słyszę dźwięki tarantelli,—
 Jaka nuta w nich burzliwa,
 Niech się dusza rozweseli,
 I marzenia snuje nić,
 Uczuć gra, niechaj trwa,
 My o szczęściu będziem śnić,
 W cieniu tych pięknych drzew,
 Niechaj cudny zabrzmie śpiew.

La, la, la, la.

La, la, la, la.

Cudne dźwięki tarantelli,
 Zkąd zesłali was anieli,
 W nasz uroczy piękny kraj,
 W naszych świętych wieszczów raj.
 Zbieraj chłopcze plon młodości,
 Plon młodzieńczych twoich snów,
 Bo zapóźno gdy w starości,
 Tarantella zabrzmi znów.

Cudne marzenia,

Miłości kwiaty,

Słodkie wspomnienia,

Uciechy światy,

I dźwięk słodki, dźwięk uludny,
Cudnej tarantelli,
Rzuci w marzeń was kraj cudny,
Serca rozweseli.
Przy odgłosie tamburino,
W sferę uciech leć dziewczyno!
Sen młodości wrzając snuć;
Lecz gdy wicher żądz owionie,
Rzuć ognisty taniec rzuć,
O gdy młody zapał spłonie,
Rzuć ten taniec rzuć!

Jak weselny szczęścia dzwon,
Wzbił się tarantelli ton,
Kto z was wrzających uczuć rad,
Niech pospieszy w szalę świat.
O jak cudna tarantella,
Moją duszę rozwesela,
O jak piękne są jęj dźwięki,
Jak dzwoneczków strojny chór.

Dziewczę! czegoż ci potrzeba,
Masz uroczy błękit nieba,
Tkliwy mandoliny wtór.
Dziewczę! zapał z moim złacz,
Dłoń płomienną z dłonią splącz,
Niech się serce rozweseli,
Zabrmij nuto tarantelli!!!!..

Zabrmij nuto tarantelli,
By ją w dali usłyszeli!
Patrz jak pod cyprysów cieniem,
Tańczy dziewczę z uniesieniem,
Laur wieńczy jęj skroń.
Z upojeniem usta wrzące,
Wymawiają słowa drzące,
Łączą z dłonią dłoń.

DANDY SALONOWY.

Jest tu u nas figurka tak zacna i miła,
Że tysiące facecyi śmiesznych narobiła;
I tak jest upewniona w swem proroczem słowie,
Że zagada o Chinach, gdy Warszawa w mowie.
Figurka ta czterdzieści lat sobie licząca,
Gdy mowa o poezyi to zawsze milcząca,
Lecz niechno przyjdzie na stół system Kopernika,
Lub dwóch jakich walczących kobiet polemika,
Albo kodeksy prawa w całym swym ogromie,
Wszystko w godzinę skreślić umie w całym tomie,
I dowieść, że to właśnie jawnym prawa celem,
Ażeby być niezgody szczerym przyjacielem,
By się trudnić plotkami, obmową, potwarzą,
I by radzić to mądrym, o czym głupcy marzą.
Tu się na krok w swém zdaniu upartem nie ruszy,
Chociażby mu sto armat zagłuszało uszy.
Figurka ta spotkawszy się z czwartym krzyżykiem,
Została na nieszczęście starszym urzędnikiem,
Gdy więc powie, że ważna w polityce zmiana,
Bo mucha ukąsiła wielki nos Sułtana,
Lub że swoje Chińczyczy obrzydziwszy kraje,
Idą do nas by poznać Europy zwyczaje,
Wierzą mu, i nie jeden przestraczem wiedziony,
Zabiera się uciekać w południowe strony.
Albo jeśli wysławiać pocznie swoje czyny,
Jako smaczny obiadek zjadł on u hrabiny,
Jako z księżną sam na sam w koczu paradował,
I cichaczem jęj nawet rączki ucałował,
Jako pewien generał, gdy na koniu pędził,
Za zgrabność jego jazdy pochwał mu nie szczędził,
Jako za powiedzianych kilka komplementów,
Przez niego, odprawiono wszystkich konkurentów,
I że kilka powiedział panience grzeczności,
Już ta biedna usycha z gwałtownej miłości;
Słowem nigdy on prawdy świętości nie złamie,

Bo przy każdym frazesie, dziewięć razy skłamię.
 Ubiór jego wykwintny, pierścieni bez miary,
 W kieszeni spoczywają jedwabne fulary,
 Zegarek i dewiza główną rolę grają,
 I o jego funduszach dobre zdanie dają,
 I chcąc nawet zasłynąć pierwszym elegantem,
 Zapiął składki koszuli ogromnym brylantem.
 Mina jego pulchniutka... twarz lśniąca uśmiechem,
 Pierś odtrąca od siebie zbyt silnym oddechem;
 Żadnego się rywala nigdy nie przeleknie,
 Bo gdy ściśnie mu rękę, to aż mu kość pęknie.
 Znajomości dam jego są zwykle wybrane,
 Więc nosi rękawiczki zawsze glansowane,
 W rozmowie francuszczyzna grywa główną rolę,
 Boć ukończył nauki w powiatowej szkole.
 Gdzie go proszą raz w tydzień, to co dzień przychodzi,
 Gdzie inny dopomoże, on pewno zaszkodzi,
 A jeśli giniesz z biedy, z chrześcijańskiej litości
 Da składkę, by na cmentarz przyjęto twe kości.
 To mały rys człowieka, którego znam zbliska,
 I który mię za rękę dość serdecznie ściska.
 Panowie tak on miłym jest mojemu oku,
 Że ażeby uchronić się jego widoku,
 Gotów jestem wycierpieć ukąszenie żmii,
 Lub uciekać ze schodów na złamanie szyi.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

LISTA PRENUMERATORÓW

PAMIĘTNIKÓW WAMPIRA Nr. 3.

Benigsen baron	1
Bindugowski inżynier	1
Ciemnołoński Władysław, urzędnik kom. skład	1
Duschik, fabrykant machin	1
Edward	1
Epstein Stanisław	1
François	1
Fajans Maksymilian, właściciel litografii	1
Fejnstein	1
Gargulski Stanisław, nauczyciel	1
Grzybowski, intendent szpitala	1
Grantzow Kazimierz	1
Hubert Henryk, prowizor farmacyi	1
Janicki naczelnik, emeryt	1
Jaroszewska, marszałkowa	1
Kątski Antoni, fortepianista J. K. M. Króla Pruskiego	45
Kownacki, urzędnik Dyrekcyi Ubezp.	1
Keller, kassyer	1
Knobloch	1
Koope	1
Karpiński	1
Kirkor Adam, Redaktor Kuryera wileńskiego	30
Łaszczyńska	1
Marcinkiewicz, urzęd. kom. składowej	1
Majewski, starszy inżynier	1
Markowski	1
Masson, Dyrektor Pocht	1
Malcz Wilhelm	1
Nosarzewski	1
Piotrowski, obywatel	1
Podowski doktor medycyny	1
Pytliński	1
Rappoport L. z Kijowa	25
Rappaport Arnold, student krakowskiego fakult. prawn.	10
Rudzki, właściciel odlewni żelaza	1
Rosenblum	1

Strugul, urzędnik kom. skład.	1
Szawłowski, urzędnik kom. skład.	1
Stalewski, obywatel	1
Stacewicz Tomasz, prowizor farmacyi	1
Schweiger	1
Tutezek, generał	1
Wojewódzki, urzędnik kom. rząd. przych. i skarbu	1
Wege, zegarmistrz	1
Duschnicki, fabrykant maszyn	1
Edward	1
Epstein Stanisław	1
Francis	1
Rajana Maksymilian, właściciel hotelu	1
Epstein	1
Gargulski Stanisław, nauczyciel	1
Grzybowski, intendent szpitala	1
Grantow Kazimierz	1
Habert Henryk, prowizor farmacyi	1
Jankowski, emeryt	1
Jaroszewski, marszałek	1
Kęcki Antoni, lekarz	1
Kowalski, urzędnik Dyrekcji	1
Keller, kasyer	1
Knobloch	1
Kopec	1
Karpinski	1
Kirkor Adam, Redaktor Kurjera wileńskiego	30
Kaszyński	1
Marcinkiewicz, urzędn. kom. składowej	1
Majewski, starszy inżynier	1
Markowski	1
Masson, Dyrektor Poczty	1
Malcz Wilhelm	1
Nosaczewski	1
Piotrowski, opywał	1
Podowski, doktor medycyny	1
Pylinski	1
Rappoport L. z Kijowa	25
Rappoport Arnold, student krakowskiego lazaretu	10
Rudski, właściciel odlewni żelaza	1
Rosenblum	1

PAMIĘTNIKI WAMPIRA

OZYS

WAMPIR

W WILNIE W KSIĘGARNI WILKOWSKIEJ

PAMIĘTNIKI WAMPIRA

Tom II

WARSZAWA

WYDAWCA: WILKOWSKI W WILNIE